Zeszyt I. Styczeń

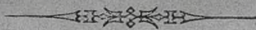
PRZEGLĄD SPOŁECZNY

PISMO

naukowe i literackie.

LWÓW
DRUKARNIA POLSKA
1886.

TREŚĆ.



Zeszyt I. *Styczeń.*

PRZEGLĄD SPOŁECZNY

PISMO

naukowe i literackie.





LWÓW

DRUKARNIA POLSKA

1886.


BIBLIOTHECA JAGELLONICA

KUSICIEL

NOWELLA

MICHAŁA WOŁOWSKIEGO.

Jest kraj łez i smutku, kraj poświęceń i zbrodni; kraj, w którym każda piędź ziemi przesiąkła krwią i łzami; a smutny tak, że orły do niego dolatywać i na skałach hodować swoich piskląt nie chcą. Smutny szczególnie od północy gdzie chłód wieje, gdzie wilgoć przejmuje ciało do szpiku kości, gdzie nagie skały nie mogą się poszczycić nawet listkiem kosodrzewiny, gdzie w tęskną zadumę wprowadzić cię muszą szczyty Longfieldu, Dounegala lub Kerry, a mgła owijająca ziemię wyda ci się parą z łez ludzkich.

Starożytna Roma, która kraj ten kiedyś dzierżyła, okuła go w pęta a kark jego mieszkańców zgiąć umiała do pokłonów swym bogom.

A potem? Co wiek, to smuga krwi od końca w koniec biednej Irlandji.

Nad jej ludem gdyby huragany, przechodzą klęska po klęsce, i niczem walki Leonidasowe w obec jego walk o niepodległość własną.

Dumna i kupiecka Anglja panuje nad nim: krew dla niej mniej ma wartości od sprowadzonej z za morza bawełny, a więc kiedy panuje, to dusi całą potęgą swej cywilizowano-barbarzyńskiej dłoni; nie ma dla niej ludu, nie ma wolności, jest tylko kupiecka szala interesu, na której waży wszystko, dla której używa wszelkich środków. Rok rocznie coraz mniej na ziemi tych biedaków a mimo to coraz silniejszymi oni. Dumna Anglja za bunt każdy, za upomnienie się o własne prawa karze surowo, karze gorzej może jeszcze niż stara Roma. Przez długie wieki ludzie katolickiego wyznania nie mają prawa modlić się tak jak im się podoba, dla nich nie istnieje własność, są niewolnikami; a mimo tego wszystkiego Irlandja patrzy w herb swego państwa niby w symbol przyszłości i wierzy, że ta srebrno-strunna harfa złota na polu niebieskiem, zadźwięczy kiedyś tak, że szczyty Kerry i Longfieldu wydadzą olbrzymie zastępy bohaterów, które matce swej zawołać będą w stanie: „Irlandjo tyś wolna!“

*

Ale zanim bohaterowie gdzieś z dali spłyną, zanim zabrzęczy srebrnostrunna harfa, każdy lat dziesiątek do niej swoją rękę wyciąga, każdy próbuje w jej struny uderzyć, bo każdemu się wydaje, że na niej tak potężnie zagrać potrafi.

Rok 1793ci, rok wstrząśnień we Francji odbija się tu strasznem echem; burza, która z końca w koniec Francji przebiegła, znalazła też w Irlandji gotowy grunt w umysłach i sercach wydziedziczonych i z tych czasów właśnie powstała treść mego opowiadania. Biedna Irlandja wierzyła w wielkie słowa ludzkości i nie słyszała jeszcze słów Kazimierza Périer, który później wygłosił największy sofizmat egoizmu w odpowiedzi na prośbę o pomoc: „Krew moja do mnie, a krew ludu mojego do niego tylko należy.“

Gdy z za cieśniny biegły do Irlandji obietnice mamiące, gdy pierwszy konsul chcąc tylko zaszkodzić swej przeciwniczce Anglji, pokazywał z daleka biedakom irlandzkim ziemię obiecaną wolności, serca tam biły żwawiej, ręce silniej rękojeści sztyletów ściskały, a w zapalonych głowach młodych roiło się coraz więcej, coraz szaleńszych planów, których skutkiem była i coraz większa ilość zbrodni—zbrodni tych wielkich a nie tych małych.

Na skraju lasu, tuż u podnóża jednej z największych gór Dounegala, stała chata biała i czysta, ale tak smutna jak i całe jej otoczenie. Poza nią w dole, chat innych kilka biedniejszych i smutniejszych jeszcze.

W tej chacie, w kąciku stał kołowrotek, a przy nim siedziała staruszka, zwijając szybko nitkę. Kółko warczało, ona sobie pracę uprzyjemniała jakąś smętną pieśnią, tęskną a rzewną jak kraj, w którym kiedyś ta pieśń powstała.

Do chaty wszedł młodzieniec, wysmukły a piękny, o długich, czarnych kędziorach, jasno-niebieskiem oku, apolinowych kształtach.

— Już z pola? — zapytała pieszczotliwie staruszka.

Młodzieniec nic nie odrzekł, z jękiem prawie osunął się na ławę, stojącą pod oknem, ręce opuścił a jasno-niebieskie oko w ziemię wlepił.

— Patryku, czegoś mi taki smutny? — ozwała się po raz drugi staruszka.

— Pytasz, matko? Wszędzie gdzie się obejrzysz bieda i nędza; kawałka chleba braknie, podłe szakale z za morza zabierają wszystko i grosz krwawy i zebrane ziarno, a za to nie pozwolą nawet kłaniać się swojemu Bogu i zdobyć własnego gruntu kawałek. Dlaczego?... Dlaczego matko, tobie i mnie braknie tak często kawałka chleba? Bośmy psy katolickie, którym nic nie wolno, nawet napełnić zgłodniały żołądek. Ach! matko! kiedyż wybije godzina? Kiedyż srebrno-strunna harfa zadźwięczy w powietrzu i kiedyż zagramy na gardłach Anglików?

— Kiedyż? — powtórzyła machinalnie staruszka i zdawaćby się mogło, że w oczach jej przez chwilę palił się ten sam ogień, co w oczach Patryka. Ale kołowrotek zawarczał raźniej, twarz skurczona przez chwilę powróciła do dawnego stanu, a spokojny głos prawie szepnął:

— Patryku! a pamiętasz ojca?

— Czy go pamiętam? ach! do kroćset! był to jeden z dzielniejszych „Białych chłopców“, którego „Dębowe serce“ *) poprowadziło na szubienicę. Nie zapomina się matko takich ojców, nie zapomina chwil takich; gdy szedł tam do tego strasznego drzewa, jeszcze się oglądał ku mnie, jeszcze szeptał: „Patryku! pamiętaj Irlandję!“

Kołowrotek ustał, staruszka podniosła oczy na mówiącego młodzieńca, któremu usta drgały konwulsyjnie, oczy prawie kołem się zataczały, a twarz przybrała fioletową barwę.

— Patryku! uspokój się — szepnęła staruszka.

Ale Patryk z całą siłą uderzył pięścią w stół, tak, iż się prawie wszystkie stojące na nim naczynia zatrzęsły; usta zaszły mu pianą, bełkotał coś niewyraźnie, trząsł się cały; nagle twarz jego rozpogodziła się zupełnie, oczy straciły blask dziki, twarz siność. Patryk zmienił się niby kameleon; cudu tego dokazało jasnowłose dziewczę, które w tej chwili ukazało się we drzwiach.

— Nelly, moja ukochana Nelly — ozwał się Patryk, zrywając się z miejsca i roztwierając ramiona.

Nelly wbiegła do izby, niby sarenka młoda, jak pisklę przytuliła się do Patrykowych piersi, a on pieścił, całował jej jasne czoło, jej oczy czarne i płowe warkocze, falisto spadające na ramiona.

— A mnie nie uściskasz? — ozwał się głos tuż za wpadającą Nelly.

Do chaty wszedł starzec o siwym, krótko strzyżonym włosie i dziwnie nie harmonizującemi z sobą ponurym wzrokiem i łagodną twarzą.

— Ach to wy, ojcze Jobie! tak dawno nie widzieliśmy was w naszej chacie, już nam tęskno było za wami.

— Po co słowa, są one tylko srebrem, gdy milczenie złotem; słów zawsze dosyć, czynów zawsze mało.

— Ach! czemuż tak każecie na te czyny czekać długo!

— Czas niedaleki!

— Niedaleki?! — zawołał, chwytając go za rękę Patryk.

— Francuzi blisko. Hoche ma wylądować z 25-tysięczną armją, a my tu na tyłach angielskich zagramy po swojemu. Patryku, Tom poszedł opowiedzieć to innym, ja przychodzę powiedzieć to tobie. Gotować się trzeba, żeby nas czas nieprzygotowanych nie zastał. Czy słyszysz?

---

*) Stowarzyszenia irlandzkie z roku 1760 i 1773.

— Takich rzeczy dwa razy powtarzać nie trzeba.

— Ale czy wiesz, że jedno słowo twojego języka w tej sprawie gubi wszystko; że Anglicy czuwają, że poszlibyśmy wszyscy tam, gdzie poszedł twój ojciec, gdzie poszło wielu innych chłopców „Dębowego serca“, gdybyś nas zdradził.

— Ojcze, nie krzywdź mnie!

— Dosyć. Nie przypuszczam zdrady, aleś młody, a więc nieoględny, zresztą kto inny może zdradzić; działamy wspólnie, pamiętaj, ale w razie wypadku jeden drugiego nie zna, jesteśmy obcy dla siebie, mniejsza bowiem o życie jednostki, gdzie chodzi o powodzenie sprawy. Patryku, ty wiesz ile na chwałę bożą posłałem do wszystkich djabłów tych psów angielskich. Patryku, ja dobrze strzelam: ani oko moje, ani ręka nie zawodzi nigdy. Każdemu ktoby nas zdradził w łeb palnę.

— Nelly! powiedz ty ojcu, że ja zdradzać nie umiem.

Nelly spojrzała w oczy młodzieńca, potem na pooraną zmarszczkami twarz ojca i szepnęła:

— On wie, nie potrzeba.

Rozmowie tej z drżeniem przysłuchiwała się od kołowrotka stara Ketty; a gdy młodzi wyszli przed chatę, gdy zaczęli rozmawiać i z sobą i z jaskółką co szybowała w powietrzu i z psem co łasił się u ich nóg, zwróciła ku przybyłemu swe załzawione oko i drżąca mówić zaczęła:

— Jak to? więc mi go znów zabierzecie, czy i on ma zginąć marnie jak jego ojciec? Jobie zlituj się!

— Dwie człowiek matki ma; jedną co przy kołowrotku przędzie, drugą, której się nawet życie oddaje, gdy potrzeba wymaga. Toż ci to pewnie Ketty stary John mówił nieraz?

— Mówił — powtórzyła staruszka, a łzy niby perły pobiegły po jej zoranem zmarszczkami obliczu.

— Więc po co pytasz? — była odpowiedź.

I skończyła się na tem rozmowa. Stary Job umilkł, a Ketty dalej pytać nie śmiała. Kołowrotek tylko znów zawarczał gwałtownie, nitka stała się mniej równą, a Job tęskno myślące oko skierował gdzieś przez szybę daleko, jakby chciał tam w przestrzeni ujrzeć pułki jenerała Hoche'a i pomordowanych Anglików.

Dziwny kontrast stanowiła ta milcząca para staruszków w chacie, zadumanych i zjednoczonych w tej chwili myślą wspólną z dwojgiem zakochanych przed domem, marzących tylko o miłości i zatopionych w niej bez pamięci.

Patryk w tej chwili zapomniał nawet, że Irlandja istnieje na świecie, widział tylko przed sobą czarne oczy Nelly, jej płowe warkocze, a w uszach przy akompanjamencie trzepotu jaskółczych skrzydełek drgały

mu słowa. „Kocham cię!“ Frazes odwieczny, zużyty, a jednak tak silny i potężny jak ów: „Sezamie otwórz się!“ — który drogę do skarbów torował.

Patryk był dzielnym chłopcem, ale wychowany tylko przez matkę, nie posiadał tego hartu ducha, tej energji, która konieczną jest w ludziach należących do takich społeczeństw jak irlandzkie. Był to charakter niby wosk miękki, wszystkie wrażenia odbijały się na nim w jednej prawie chwili; mógł śmiać się i płakać, przeklinać i błogosławić w jednej dnia godzinie; z charakterów takich ulepisz co chcesz, byleś lepić umiał.

Nelly była jego kontrastem; gdybyż się mogli nie rozstawać z sobą!

Stary Job nie pozwolił długo rozmawiać młodym; ani na chwilę nie zapominał o tem z czem przyszedł; jego świat cały nic nie obchodził poza tem co kochał najwięcej, poza irlandzką ojczyzną.

— Nelly, idź uściskaj nogi Ketty, powracamy do domu; ja jeszcze z Patrykiem tutaj się rozmówię.

Nelly, która założywszy rączki na szyję Patryka, ciągle tuliła się do jego piersi, z niechęcią, z oburzeniem prawie opuściła rączęta, odwróciła się od ukochanego i wbiegła do wnętrza chaty.

— Słuchaj Patryku, ja nie przyszedłem tutaj dla tego tylko, aby ci powiedzieć, że dobra nowina w powietrzu. Na wieści czasu nie mam, ale do takich nowin przygotować się trzeba; z założonemi rękami w obec nich stać nie wolno. Tom poszedł na północ, ty ruszaj na południe, ja pójdę na wschód, a i do wędrówki na zachód znajdę kogoś. Zajrzyj od chaty do chaty, powiedz im to, co ja mówiłem ci nieraz, co powtarzać trzeba często, powiedz aby byli gotowi; gdy nadejdzie chwila, na szczytach Longfieldu ukaże się wielki ogień. Niechaj każdy bierze do ręki broń swoją i rusza w okolicę Vinegar-Hill, gdzie się uszykujemy.

— Dobrze ojcze — była odpowiedź — pójdę i powiem.

— Znasz już wszystkich stowarzyszonych, wiesz jak daleko zapuściła korzenie praca dla zdobycia tego o czem marzyłem; szklanki unikaj, język za zębami trzymaj, bądź chytry jak wąż, rozumny jak człowiek. Gdyby cię ujęto, pamiętaj żeś sam jeden, że po za tobą nikogo nie ma, nikt nie stoi.

— Pamiętam.

Nelly już była przed gankiem, oczy miała zaczerwienione, ale łez w nich nie było widać; natomiast błyskawice ognia tryskały z jej źrenic; ta łagodna twarz, przed chwilą tuląca się do Patrykowej piersi, którą rzeźbiarz mógłby wziąć za model do wykucia z marmuru bogini miłości, teraz zmieniła się tak, iżby raczej bohaterstwo niż miłość w niej wyczytać można.

— Bądź zdrów, Patryku — szepnęła za odchodzącym — zginiesz mi z przed oczów na długo, nie żałuję cię jednak i nie będę tęskniła za tobą, ale będę się modlić za ciebie. Idź i pamiętaj abym się rumienić nie potrzebowała nigdy, że ci oddałam całe serce moje.

Patryk już może byłby się i rozpłakał, tak go za serce bardzo ścisnęły słowa Nelly, ona dostrzegła to, bo na pogodnem jej czole zarysowały się zmarszczki gniewu i z mocą szepnęła:

— Idź, to twój obowiązek.

Nie obejrzała się nawet za nim, zdążając szybko za ojcem. On głowę na piersi zwiesił, wpadł do chaty, matce kolana i ręce uścisnął, kij góralski schwycił, kapelusz na głowę wtłoczył i... poszedł.

Opowiadać tej wędrówki nie będę, czegożby ona kogo nauczyć mogła; było tysiące wędrówek takich, dzieje ich zna każdy na pamięć.

Gdyby Patryk miał był dobre oczy i umiał patrzeć, gdyby umiał oglądać się po za siebie, byłby ujrzał postać ludzką, która śledziła kroki starego Joba, a później udała się za nim.

Patryk gotów był do poświęceń, w żyłach jego płynęła krew młoda, ognista, gorąca, podobna jednak raczej do materjałów palnych, które jedna iskra w powietrze wysadza, aniżeli do tak zwanej krwi zimnej, którą powinni mieć ci wszyscy, co dla wielkiej idei pracują na jutro.

Cień czarny, dziwny, posuwał się za nim, z tą cichością węża, który wślizgiwać się umie wszędzie, gdzie tylko zamigocze mu zdobycz.

Patryk myślał o Nelly, o starym Jobie, o matce, o tych dzielnych „Białych chłopcach“ i „Dębowych sercach“, którzy już kiedyś przed nim pracowali tak, jak on dziś miał pracować. Irlandja, jej niepodległość, polepszenie bytu tysięcy prześladowanych, jak on, biedaków, przesuwały mu się w tej chwili przez mózg, niby kolory w kalejdoskopie.

Wrażliwa jego natura zostawała w tej chwili pod wpływem słów starego Joba, który od dawien dawna był dlań wyrocznią.

Tak rozmyślając, doszedł do sąsiedniej wioski i wstąpił do karczmy, która tuż na jej początku stała przy drodze. Cień co postępował za nim krok w krok, zatrzymał się pod oknem i ciekawie ucha nadstawił.

— A, Patryk! — ozwało się kilka głosów, ujrzawszy wchodzącego.

— Co nam przynosisz?

Patryk wszystkim prawie podał rękę, usiadł za stołem, szklankę grogu przynieść polecił i wsparłszy głowę na dłoni, zdawał się rozmyślać nad tem, jak rzecz całą wyłożyć tym, do których przyszedł.

— Patryku, ty coś masz na sercu? — mówił siedzący tuż obok przybyłego młodzieniec.

— Tak, rzeczywiście — była odpowiedź.

— Z czemże przyszedłeś?

— Anglicy!...

Dziewięciu ludzi siedzących przy stole, jakby jedną powodowani myślą, schwycili za szklanki stojące przed nimi napełnione grogiem, i z wściekłością o stół uderzyli.

— Patryku! — zawołał z nich najmłodszy — czyż nie widzisz, że i tak smutku pośród nas wiele. Nie mów o tych psach nikczemnych, czujemy ich aż nadto dobrze na naszych grzbietach, po co ich przypominać?!

— Po co? aby wam przypomnieć, że nie godzi się tak cierpliwie znosić ran i batów na grzbietach, że podły tylko liże rękę, która go znieważa, a człowiek czyni wszystko, aby się takiej ręki pozbyć.

Cień pod oknem szyję wyciągnął i uszów jeszcze więcej nadstawił.

— Dobrze mówisz, Patryku, każdy z nas to samo czuje, ale cóż my na to poradzić możemy? „Dębowe serce“ zmarniało i nikt już za nas i o nas nie myśli, nie mamy głowy, a cóż ręce bez głowy zrobić mogą?

— Mamy głowę, co za nas myśli — odparł porywczo Patryk — tylkoż niech nam serc i rąk nie braknie.

Jakby iskra elektryczna, myśl ta przebiegła po głowach siedzących za stołem. Poruszyli się prawie jednocześnie wszyscy i oczy zwrócili w stronę mówiącego Patryka.

— Mów prędzej! — zawołał najbliżej siedzący, chwytając go za ramię.

Patryk spojrzał po oczach wszystkich i snać wyczytał w nich dobrą dla siebie wróżbę, bo przyciszywszy trochę głosu, szeptał wyraźnie:

— Francuzi wkrótce wkroczą; kiedy na szczytach gór naszych ujrzycie płomień wielki, zabierajcie broń i spieszcie w lasy Vinegar-Hill.

— Patryku! co ty mówisz? kto ci to kazał powiedzieć? — wołano ze wszystkich stron.

Patryk miał już na ustach nazwisko Joba, gdy mu na myśl przyszły ostatnie jego słowa: „Każdemu ktoby nas zdradził, w łeb palnę.“ Ciągnął więc dalej:

— Mówię wam to, co mi powiedzieć kazano, co każdy syn Irlandji dobrze odczuwa i rozumie. „Vinegar-Hill“ nasze hasło, więcej mi mówić nie wolno. Idę z tem hasłem dalej, a wy wiecie, że ja nie kłamię.

— Licz na nas! — była odpowiedź.

Patryk dokończył szybko grogu, widział łzy radości, błyszczące w oczach towarzyszy i jemu samemu zakręciły się łzy, przed sobą jednak miał jeszcze dużo takich karczem i dróg takich, wstał więc, zabierając się do wyjścia.

Wiadomość przyniesiona przez niego musiała wzburzyć wszystkich, uradować, ucieszyć, każdy jednak wrażenie swoje krył głęboko, pięść zaciskał i goręcej żegnając się z Patrykiem, do piersi go tulił.

Gdy Patryk ku drzwiom się zbliżył, aby dójść dalej z wieścią swą, cień tajemniczy z pod okna zniknął nagle.

Patryk i tym razem go nie spostrzegł; poszedł dalej; przeszedł tak drugą i trzecią wioskę, gdy wchodził do czwartej, zastąpił mu drogę wysoki, chudy gentleman i uchylając grzecznie kapelusza, zapytał:

— Wy jesteście obywatelem Patrykiem Dous?

Patryk spojrzał na mówiącego, który w tej chwili sięgnął do kieszeni zapiętego pod samą górę surduta i wyjmując z niej pałeczkę, na końcu której umieszczoną była korona, równie cicho zawołał:

— Obywatelu Patryku Dous, aresztuję cię w imieniu prawa!

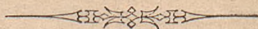
Patryk w tej chwili szybkim ruchem ręki sięgnął do bocznej kieszeni góralskiej kurtki, aby ztamtąd broń wydobyć, gdy nagle uczuł niby uścisk węża na swem ciele. Patryk zrozumiał co się z nim stało; z plastrem na ustach, aby nie mógł wołać o pomoc, skrępowany i wsadzony do powozu, pojechał daleko, bo aż do Dublina.

Cytadela dublińska znaną jest dobrze sercu każdego Irlandczyka. Zapisała się ona w nich strasznymi czynami zwyciężających Anglików i nędzą irlandzką; w niej pokutowali ci, co nie chcieli zmienić wiary ojców swoich, ci, którym na karkach ciężyło jarzmo angielskie. Każda cela tego ponurego gmachu posiadała swoję historję, swoje wspomnienia i swoich męczenników. Poczynając od Henryka II. i Rodryga, aż do ostatnich czasów do prac O'Conella, O'Briena, Mitchela i wszystkich przywódców tak zwanej „młodej Irlandji“, od republikanina Kromwella, który w dziwnie nierepublikański sposób mścił się na Irlandczykach za pragnienie wolności i swobody, cytadela ta nigdy nie była pustą.

W niej znalazł się też Patryk.

Anglicy umieli badać i przydłużać najkrótsze nawet języki tych męczenników idei narodowej. Cały Dublin chwytał się za serce, gdy otworzono bramy czarnego Lewiatana, z którego zazwyczaj była tylko jedna droga — na szubienicę.

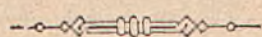
Wiedział o tem doskonale Patryk, gdy się znalazł w ciasnej izdebce, po której ścianach niby łzy ludzkie staczały się na ziemię krople wilgoci. (D. n.)



Polska w czasie wielkiej rewolucyi francuskiej
i wpływ tej ostatniej na nią.[1])

przez

Bolesława Limanowskiego.



W końcu września 1787 r. Marceli Ursyn Niemcewicz, ojciec Julijana, pisał do króla Stanisława Augusta:

„*Jam venit hora* zaradzenia potrzebom Ojczyzny, bo nie tylko Moskwa ale i Austryja uwikłana w bliskiej wojnie z Turcyją, będą życzyły mieć jaką pomoc z Polski i pozwolą na sejm pod konfederacyją i na aukcyję wojska, które nie tylko do 30.000 ale sekretnie daleko bardziej pomnożyć będzie można. Teraz pora wymódz na sąsiadach przyzwolenie na zmiany rządu, zaprowadzenie *pluralitatis* i sukcesyi tronu. Może część narodu przez zaślepienie temu przeciwić się, ale jeżeli u mądrych będzie większość, wszystko się zrobi".

Zdanie to gorliwego o sprawy publiczne obywatela dobrze streszczało oczekiwania i pragnienia szlachty wioskowej. Chciała ona korzystać z przyjaznych okoliczności politycznych i wzmocnić Rzeczpospolitą przez reformę jej rządu i powiększenie wojska. Poczucie konieczności reform było dość powszechne; większość jednak nie zdawała sobie jasnej sprawy, jakie mają być te reformy. Na jedno prawie jednomyślnie się zgadzała: na zniesienie *libe um veto*. Co do reform społecznych, można śmiało powiedzieć, że oświeceńsza część społeczeństwa dostatecznie już pojmowała ich potrzebę. Propaganda z ostatnich kilkudziesięciu lat wywarła swój skutek.[2]) Zwłaszcza młode pokolenie okazywało w tym względzie wielką gorliwość.

---

[1]) Jestto rozdział wyjęty z obszernej pracy, poświęconej ruchowi reformacyjno-rewolucyjnemu w drugiej połowie XVIII stul

(Ponieważ zaznaczenie myśli naczelnej zwiększa użyteczność szczegółów, sądzimy więc, że nie będzie zbyteczną następująca wzmianka: Autor uwidoczniając za pomocą licznych faktów tę rewolucję umysłową, jaka odbywała się w Polsce i która już zaczynała sprowadzać rewolucyję i w innych dziedzinach życia, doszedł na podstawie całości swej pracy do wniosku, że naród Polski na schyłku XVIII stulecia począł zajmować wybitne stanowisko, przemawiające za tem, że niekrępowany jego rozwój oddziaływałby dobroczynnie na ogólne przeobrażenie się polityczno-społecznego stanu ludów europejskich) (Przyp Red)

[2]) Patrz mój artykuł: „Reformacyjno-społeczne prądy w przedrewolucyjnym okresie XVIII stulecia" w lwowskim piśmie, T y d z i e n, z 1877 r, zaczynając od Nr. 45.

Ważne zadanie uświadomienia i usystematyzowania myśli reformatorskich, niejasno odczuwanych przez wykształceńszą część społeczeństwa spełnił ks. Hugo Kołłontaj [3]) w listach swoich do Stanisława Małachowskiego. [4]) Wpływ tego dzieła i samego autora na prace sejmowe był bardzo potężny i dla tego wypada zapoznać się bliżej z osobistością i pismami tego genijalnego męża.

Ks. Hugo Kołłontaj (urodził się w Sandomierskiem 1750 r., umarł w Warszawie 1812 r.), człowiek bystrego i rozległego umysłu, wielkiej nauki i żelaznej energji, zespolił potężną osobistą ambicyą z chęcią podniesienia swego narodu z upadku, w jakim się ten znajdował z powodu niskiego poziomu oświaty i rozwielmożnionej dowolności szlacheckiej. Po sześcioletnich (1764—1770) studyach w Krakowie i uzupełnieniu nauk w Rzymie, wrócił do kraju i ofiarował swoje usługi komisyi edukacyjnej. Mianowany członkiem Towarzystwa elementarnego (1775 r). dał się rychło poznać jako człowiek zdolny i pracowity. W 1777 r. wystąpił po pierwszy raz w roli reformatora, zaprowadzając w gimnazyjum nowodworskiem w Krakowie nowy rozkład nauk i wykład ich w języku polskim zamiast łacińskiego, pomimo oporu duchowieństwa, akademii i szlachty województwa krakowskiego. Ogromne postępy w naukach wykazane przez uczniów tego gimnazyjum na popisie następnego roku, przekonały wszystkich o pożyteczności dokonanej reformy. Gimnazyjum nowodworskie stało się wzorem dla innych szkół tego rodzaju.

W czasie swego pobytu w Krakowie, przyszedł do przekonania, że dla podniesienia nauk i polepszenia stanu szkół w Koronie, konieczną była gwałtowna reforma akademii krakowskiej, która, na mocy przywilejów Kazimierza W. i Władysława Jagiełły, zawiadywała szkołami publicznemi w Polsce. Otrzymawszy odpowiednie polecenia w tym względzie, zajął się dokładnem zbadaniem stanu akademii. Przejrzał całe jej archiwum i znajdujące się w niem dokumenty. To dało mu możność uwidocznienia i uporządkowania funduszów akademii. Następnie „ułożył

---

[3]) Piszę Kołłontaj zamiast zwykle używanego Kołłątaj, ponieważ sam autor podpisywał się w ten sposób.

[4]) Do Stanisława Małachowskiego referendarza koronnego o przyszłym sejmie Anonyma listów kilka. Część I. O podźwignieniu sił krajowych 1788. Część II. O poprawie rzeczypospolitej 1788. Część III. O poprawie rzeczypospolitej. Od dnia 11. listopada do dnia 19 grudnia r. 1788 w Warszawie. — Prawo polityczne narodu polskiego czyli układ rządu rzeczypospolitej. Projekt w trzeciej części listów do Małachowskiego marszałka sejmowego i konfederacyi jeneralnej obiecany a prześwietnej deputacyi do układu przyszłego rządu wyznaczonej podany, służący do dzieła listów rzeczonych za część IV. Księga. Salus populi suprema lex esto. W Warszawie 1790 r. Prawo polityczne zostało przetłumaczone na język francuski przez Marai

ten przedziwny plan rządu szkolnego, jaki uchwaliła i zaprowadziła komisyja edukacyjna, i na jaki we 25 lat później, trafiła Francyja". [5]) W urządzeniu szkół kierował się zasadą demokratyczną uprzystępnienia nauki dla wszystkich i zrównania wszystkich wobec nauki. „Mniej mieć — pisał w późniejszym czasie — nie jest, podług mnie, nieszczęściem; być nawet ubogim, może jest podług niektórych nieszczęściem stosunkowem, lecz nie może być nieszczęściem rzetelnem. Prawdziwa nędza człowieka, jest nie mieć dobrego wychowania, a prawdziwem nieszczęściem wolnego narodu, zawsze będzie nierówność edukacyi bogatego i ubogiego". [6]) W samej akademii rozszerzył zakres nauk, fundował wydział lekarski, językowi ojczystemu przyznał obywatelstwo w wykładach akademickich i postarał się o zdolnych profesorów. Wreszcie urządził seminaryjum nauczycieli szkólnych.

Poróżniwszy się z duchowieństwem, które w rządzie akademickim przeważną także odgrywało rolę, przeniósł swoją działalność na pole polityczne. Mianowany przez króla w 1786 r. referendarzem litewskim, stanął blisko steru spraw publicznych i miał dobrą sposobność praktycznie poznać zarówno złe strony społeczno-politycznego ustroju Rzeczypospolitej, jakoteż nieodzowne jej potrzeby.

Skoro więc w 1788 r. wszczęła się na całym obszarze ziem Rzeczypospolitej wrzawa przedwyborcza, Kołłontaj postanowił uświadomić narodowi tę pracę reformatorską, która jedynie mogła podźwignąć i wzmocnić poniżoną ojczyznę. Pierwsza część listów do Małachowskiego pojawiła się w chwili, kiedy zaczęły się zbierać sejmiki przedsejmowe. Odtąd Kołłontaj nieustannie piórem i słowem, sam osobiście lub przez zbliżone do siebie osoby, szczególnie zaś przez księdza Jezierskiego, swego powiernika i prawą jakoby rękę, oddziaływał na posłów, zwłaszcza na młodsze pokolenie, skłaniając ich do wejścia na drogę reform, na drogę „łagodnej rewolucyi" jak sam się wyrażał.

Mając pozytywny i wiedzą umiarkowany umysł, Kołłontaj wskazywał tylko te reformy, które uważał za możliwe do przeprowadzenia, bez gwałtownych i niebezpiecznych wstrząśnień. Wiedział, że od szlachty nie podobna było żądać reform radykalnych. Obawiał się przytem, aby nie sprawić rozdziału w obywatelach i nie dać pozoru obcym, „do jakiego gwałtownego przeciw narodowi postępku, jako niby targającemu się na powagę tronu w tym czasie, kiedy obalanie we Francyi despotyzmu zaczynało wspólnym interesem wiązać monarchów. [7]) Atoli gorąca

---

[5]) Str. 36. Jan Śniadecki. Żywot literacki Kołłontaja. Biblioteka Mrówki.

[6]) Str. 173. Część III. Listy do Małachowskiego

[7]) Str. 133. O ustanowieniu i upadku konstytucyi 3. maja. Biblioteka Mrówki. Rozdział VI. części I, z którego wyjęte są te słowa, jest pióra Kołłontaja.

chęć i silne postanowienie ocalenia niepodległości swego narodu przechyliły go następnie na stronę środków gwałtownych i reform radykalnych. Rewolucyja francuska, jak przekonywamy się o tem z jego korespondencyi, sprawiła także ważną odmianę w sposobie jego myślenia. Kołłontaj bowiem należał do rzędu nie tych ludzi, którzy wybiegają za nadto daleko przed swoim narodem i widząc, że ten nie idzie za niemi, zaczynają cofać się w tył i nieraz cofają się aż do szeregów reakcyjnych, lecz do tych, którzy nie oddalają się bardzo od swego narodu, lecz idą ciągle przodem i ciągle naprzód.

Oczytany w dziełach fizyjokratów, hołdujący Turgot'owi, [8]) wysoko ceniący poglądy Jana Jakóba Rousseau, Kołłontaj był jednak przedewszystkiem postępowym tylko wyobrazicielem swego narodu i swego wieku. Szlachecko-rolnicze stosunki zanadto przeważały w Polsce, by umysł jego mógł zupełnie od nich się wyzwolić. Nasz reformator pragnął je tylko uszlachetnić, otrząsnąć z krzyczących nadużyć i pogodzić z wymaganiami wieku. W gruncie swych przekonań, był więc fizyjokratą, dla niego ziemia była „jedynym bogactw skarbem", a ręka człowieka „kluczem, bez którego bogactw rzeczonych dostąpić nie można." [9]) W jego przekonaniu, człowiek bez ziemi nie mógł być istotnie przywiązanym do kraju obywatelem, albowiem tylko posiadający ziemię może silnie odczuwać utratę ojczyzny. Z tych to powodów mniemał, że rządy kraju powinny należyć do samych tylko właścicieli gruntowych. [10])

Nie wszyscy jednak właściciele gruntowi, podług Kołłontaja, mieli używać pełni praw obywatelskich, lecz tylko ci, co posiadali więcej niż $7\frac{1}{2}$ włok ziemi uprawnej; inni mogli mieć tylko reprezentantów swoich. [11]) Pomimo to jednak, Kołłontaj oświadczał się za równością. „Lubię — powiada — wolność angielską, ale nigdybym nie zniósł nierówności w stanach i wolałbym równość pod monarchą, jak nierówność w rzeczypospolitej. [12]) Był zatem, aby jedno prawo cywilne „wszystkich obywatelów klasy" obowiązywało. Oczewiście nie było mowy o równości majątkowej. Kołłontaj mniemał bowiem, że „nie można zapobiedz nierówności fortun i majątków ludzi, tak jak nie można dokazać, ażeby siły ich rąk i rozumu nie były między sobą równe". [13]) Nierówność majątkowa nie przeszkadza jednak — w jego mniemaniu — obywatelskiej

---

[8]) Nie zaraz — jak widzę — doczekamy się Kolbertów, Neckerów, tembardziej Turgotów, bo nie umiemy szanować talentów, bo u nas talent i zdatność nie może iść tą drogą, którą idzie opinija i uprzedzenie. Str. 127. Część III. Listy do M.

[9]) Str 281. Tamże.

[10]) Str. 81. Część II.

[11]) Str. 86 i 106. Część II.

[12]) Str. 148 Tamże.

[13]) Str. 87.

równości, ponieważ każdy może dorobić się majątku i dostąpić przywileju szlachectwa, zwłaszcza „heroiczna żołnierza cnota i talent nauczyciela“. Wypada tylko, by wszyscy otrzymywali równą edukacyję. To grunt, to podstawa wszelkiej równości.

Kołłontaj posuwał zasady fizyjokratyczne do ostateczności niemal. „Miasta — powiada — tyle tylko powinny mieć ziemi, ile jej potrzeba do zamieszkania dla rzemieślnika i kupca; lecz ziemia, uprawy potrzebująca i do reprodukcyi przygotowana, powinna być rolników, nie mieszczan [14]) W innem znowu miejscu oświadcza, że „każda ziemia powinna być własnością partykularną, nie własnością publiczną. [15]) Jak widzimy, więc, dalekim był od poglądów socjalistycznych. Pomimo to, jako człowiek bystrego umysłu przewidział niejako naszą epokę, w której kwestyja własności musiała stanąć na porządku dziennym. „Zbliża się — powiada trzecia epoka rewolucyi ludzkiej, epoka najokrótniejsza, jeżeli jej złe założymy fundamenty. Zdaje się albowiem, że rozum ludzki dwóch już wielkich dopełnił zamiarów: poznał co jest fanatyzm i prawie go do reszty wytępia; poznał, co jest despotyzm i silnie około poniżenia onego zaczął się krzątać. Przychodzi dzisiaj pod uwagę ludzi własność gruntowa, względem której czyli się jakieś popełnią gwałtowności, czyli nierozsądne przypiszą prawa, można przepowiedzieć, że to będzie nasieniem okropnych rewolucyj, silniej powstających przeciwko właścicielom ziemi, jak były owe, co na fanatyzm i despotyzm powstawały. Milijony ludzi są bez własności ziemi, milijony ludzi przypomną sobie gwałtowne jej wydzierstwo“. [16])

Kołłontaj szedł razem z historyją, i dla tego inne są jego wymagania przed 1791 r. i inne 1794 r. Zwłaszcza jest to widocznem w jego społecznych poglądach. „Czego się najbardziej lękam — powiada w listach do Małachowskiego — jest to, żeby pismo moje pochwalone, umieszczone nie zostało w liczbie romansów lub Platonowej Rzeczypospolitej, żeby nie zdawało się być niepodobne do egzekucyi w 1788 r. Bojaźń moja nie ściąga się bynajmniej do dzieła mego, lecz do poprawy rzplitej“. [17])

Sprawa mieszczan świadczy nawet, że opinije społeczno-polityczne Kołłontaja odmieniały się bardzo szybko w kierunku postępowym. Ina-

---

[14]) St. 67.

[15]) Str. 122 i 123.

[16]) Str. 144 w odsyłaczu. Prawo polityczne narodu polskiego. Gdyby autor „Teki Nieczui“ poznał był dokładniej społeczno-polityczne przekonania Kołłontaja i Niemcewicza, toby nie wkładał im w usta tych argumentów, któremi chce pobijać socyjalistów. Dziwnem też jest, że autor „Teki Nieczui“ nie wie tego, że Lelewel sam wyznawał komunistyczne przekonania.

[17]) Str. 71. Część II.

czej przemawia za mieszczanami w 1788 r. w listach do Małachowskiego; inaczej w drugiej połowie 1789 r. w podaniu do króla i sejmu, które — podług niemal powszechnego przekonania — było napisane przez Kołłontaja; wreszcie inaczej w 1794 r. podczas Kościuszkowskiego powstania.

W listach do Małachowskiego punkt widzenia fizyjokratyczny zanadto przeważa, ażeby ich autor mógł wiele żądać dla mieszczan. Chociaż energicznie przemawia za podźwignieniem stanu miejskiego, nie myśli go wszakże bynajmniej równać ze szlacheckim. Żąda nawet, by sejm zmusił mieszczan do sprzedania gruntów swoich; mniema bowiem, że w ten sposób najskuteczniej się zaradzi wzrostowi handlu i rękodzieł.[18]) „Mieszczanie powinni na sejmie sami siebie przedstawiać i lepiej aby mieli osobną izbę“. [18]) „Izba miejska niech się nazywa izbą niższą; izba ziemska niech się nazywa izbą wyższą“. [19]) Szlachta ma wybierać z województwa sześciu przedstawicieli, mieszczanie tylko trzech.

„Nie rozumiejmy — powiada autor — ażeby ten podział był arbitralnym. Obszerność dziedzictw ziemskich szanowniejszą być zawsze powinna od dziedzictw miejskich i chociaż miasto wielkie, może przewyższać szacunkiem ziemię lub powiat, w którym się znajduje, bogactwo jednak ziemi szanowniejsze nierównie jest, bo się na nim zasadzają bogactwa miejskie, bo ziemia odradza corocznie ich masę, gdy miasta nic więcej nie czynią, tylko albo je przerabiają i zamieniają, albo je konsumują“. [21]) W podaniu, o którym szczegółowiej mówić dalej będę, nie widzimy już tego doktryneryzmu fizyjokratycznego, ale natomiast znajdujemy tam więcej praktyczne i bardziej określone żądanie rozszerzenia praw mieszczańskich. Rewolucyja francuska, którą Memoryjał aż w trzech miejscach wspomina, wskazała już, jaką drogę przyszłości ludzkość sobie toruje. W Kołłontaju przewidywano przyszłego rewolucyjonistę. Jeden z obserwatorów sejmu czteroletniego przypisuje mu nawet zamiar nadania przewagi stanowi miejskiemu, „na którym oparty, wzbićby się mógł w coraz większe znaczenie, dalej kierować wyłącznie całego sejmu obradami, chociażby w następstwie czasu mieć i motłoch w odwodzie. Widoki bowiem jego daleko, daleko poza obecną chwilę sięgały“. [20])

Sprawa włościańska znalazła w Kołłontaju dzielnego obrońcę. Z surową prawdą odmalował stan włościanina pod panowaniem szlacheckiem. „Wiemy dobrze — powiada — iż nakoniec rolnik w dobrach szlacheckich stał się rzeczą dziedzica, a niezrozumianym ludzkości zgwałceniem, przestał być osobą przeciw oczywistemu natury głosowi. Odda-

---

[18]) Str. 71. Część II.
[19]) Str 134. Tamże.
[20]) Str 59. Michał Czacki. Wspomnienia z r 1788 po 1792. Poznań 1862.

ny na dyskrecyją pana, zostawiony pod legalną — jeśli tak mówić można niewolą, porównany z bydlęty, doznawał takiego losu, na jaki uprzedzenie, chciwość i pasyje dziedzica wystawiać go mogły. Sprzedany nareszcie w ręce żyda, zatopiony w pijaństwie, nieoświecony, gnuśnieje w niewoli i nędzy, tyle tylko szczęśliwy, ile dziedzic jego jest dobry. Jeżeli po czem, to najbardziej po stanie poddaństwa naszego miarkować możemy, co to jest wolność polska: bo któż mię przekona, żeby człowiek znający i kochający jej prerogatywy, zżymający się na gwałt i bezprawia, z zimną indiferencyją spoglądał na niewolę równego sobie co do natury człowieka?" [21]) Taki stan rzeczy nie powinien istnieć dalej.

„Nie próżna filozofija, ani daleka od doświadczenia teoryja powoduje w tej mierze sercem mojem — pisze autor listów do Małachowskiego, lecz jeżeli chcemy prawdziwie doskonałą konstytucyją rządu naszego ułożyć, powinniśmy ją najpierwiej od tego zacząć, ażebyśmy z prawami Boga i natury nie byli w sprzeczce. Napróżno ten prawodawca zamyśla o trwałości i dobroci rządu, który go na niesprawiedliwości usiłuje zakładać". [22]) Po dwóch latach, Kołłontaj z jeszcze większą energiją przemawia w sprawie włościańskiej. „Narodzie polski i wy, prawodawcy nieszczęśliwego oddawna ludu! — woła w przedmowie do *Prawa Politycznego* — czyńcie co chcecie; dążcie, dokąd was uleganie zastarzałej opinii prowadzić może; ja śmiało przepowiem, że ani naród cały, ani mieszkańcy jego swobodnemi nie będą, jeżeli prawodawstwo wasze względne na małą część ludzi, zostawi resztę pod przemocą i uzurpacyją". [23]) „Pytajmy się więc — ciągnie dalej — co o nas sądzi Anglija, co mówi Bataw i Helwet, co Francuz? Spoglądają oni na rewolucyję naszą, jako na kłótnię między despotyzmem a despotyzmem, spoglądają na Polskę i mówią: „Polska zrzuciła z siebie jarżmo dependencyi obcej, skruszyła władzę berła, ale w niej nad milijonami ludzi panuje jedynowładnie stan jeden; naród ten chce być niepodległym a nie ośmiela się wszystkich mieszkańców zrobić uczestnikami wolności; każda przychylna despotyzmowi okoliczność łatwo bardzo okuje na nowo w dawne więzy stotysięcy familii ludzi wśród niewolników mieszkającej". [24]) „Niech wolność będzie interesem wspólnym wszystkich milijonów ludzi — upomina jeszcze raz w *Ostatniej Przestrodze dla Polski* w końcu 1790 r. niech się nie znajduje niewolnik w granicach Rzpltej, a przez to jedynie

---

[21]) Str. 48 i 49. Cz. II.

[22]) Str. 54. Tamże.

[23]) Str. IX.

[24]) Str. X. i XI.

odejmiecie sposobność sąsiadom waszym, iż więcèj gubić was, przez was samych nie potrafią".

Kołłontaj nie żądał od szlachty nic więcej jak tylko, ażeby oddała włościaninowi „wolność i jego osoby i jego rąk". „Wolność" człowieka, osiadłego we wsi dziedzica — pojaśnia on — na tem zależy, iż kontrakt lub inwentarz powinien mu być wiernie dotrzymany, iż majątek jego ruchomy i nieruchomy nie może być przez nikogo onemu odebrany, chyba gdyby był dłużnikiem; iż tym majątkiem podług upodobania swego rozrządzać i długów sobie należytych, komukolwiekby je pożyczył, prawnie dochodzić może; iż spadek po jego krewnych jemu tylko samemu należy; iż do postanowienia jego nikt się wdawać nie powinien, iż zupełnie jest wolen ożenić się z kim chce i gdzie chce, równie i kobieta może iść zamąż, za kogo chce i gdzie chce; iż dzieciom swoim takie wychowanie dać może, jakie najlepsze dla nich widzi; nakoniec iż w wszelkim sądzie, bądź z dziedzicem ziemi, na której osiadł; bądź z kim innym, sam bez wszelkiej asystencyi czynić może o swoją należytość i bezpieczeństwo". [25]) Mając jednak na względzie, że włościaninowi samemu byłoby trudno bronić jak należy swych praw, Kołłontaj był za ustanowieniem trybunów dla ludu z pomiędzy szlachty. Trybun taki powinien był związać się przysięgą, że zawsze będzie bronił praw ludu. Jego obecność byłaby konieczna przy wszelkich uchwałach w sprawie włościan, i cokolwiekby o nich stanowiło się bez trybunów, nie miałoby mocy prawa.

Kołłontaj dobrze rozumiał, że żądania te były niedostateczne, ale pojmował także, iż żądać od szlachty czegoś więcej byłoby rzeczą niepodobną. „Wielu projekt mój — powiada — za zbyt śmiały osądzą, gdy ja sam zagłębiając się w przyszłości, która łatwiejszy przystęp prawdzie do serc ludzkich zgotuje, patrzę nań jako nieodpowiadający zupełnie chęci dobrem ludzkości zajętej. Przyjdą następnie po nas pokolenia, i jeżeli to małe pismo czytać będą, rzekną: „Przecież w r. 1789 odważano się mówić za prawdą, lecz jak wówczas przesądom ulegać trzeba było, kiedy w nim nie dość jeszcze śmiało przy prawdzie obstawano". [26])

I pomimo, że żądania Kołłontaja — jak widzimy — były bardzo umiarkowane, pomimo, że od samego początku sejmu mówił, „że sama szlachta nie ocali kraju", i że starał się ją przekonać, „że ten był najlepszym przyjacielem szlachty, kto jej chciał przydać wolnych rąk", [27]) pomimo to wszystko, targowiczanie nie mogli mu darować, tej stanowczości

---

[25]) Str. 178 i 179. Prawo polityczne.

[26]) Str. IX. i X. Prawo polityczne.

[27]) Str. 32. T. II. Listy Hugona Kołłontaja, zebrał Łucyjan Siemieński. Poznań. 1872. Pamiętniki z ośmnastego wieku T. XII.

z jaką upominał się o prawa mieszczan i wolność włościan. Wydając przeciwko niemu pozew, instygatorowie obwiniali go oto, że jakoby przechwalał się, że póty nie przestanie pisać przeciwko stanowi szlacheckiemu, póki na karkach jego siekier chłopskich nie ujrzy. [28])

Była w rzeczypospolitej jeszcze liczna klasa ludzi, która zajmowała upośledzone i odrębne stanowisko. Byli to żydzi. Skoro więc prąd reformatorski zaczął zniewalać do badania stosunków społecznych, musiano zająć się także ich sprawą. Jakoż na sześć lat jeszcze przed sejmem czteroletnim pojawiło się w tym względzie bardzo ważne dzieło, pod tytułem: „Żydzi czyli konieczna potrzeba reformowania żydów w kraju rzeczypospolitej polskiej, przez obywatela bezimiennego“ (Warszawa, 1782). Przewodnią myślą autora było zniesienie odrębności narodu żydowskiego. Kołłontaj wychodził także z tego samego stanowiska. Pragnął on spolszczyć żydów i porównać ich pod względem cywilnym z resztą mieszkańców. Był więc tego zdania, ażeby wolno im było zajmować się rzemiosłami, kupiectwem i rolnictwem, wszakże nie wolno było szynkować; ażeby sprawy cywilne żydowskie należały do sądów zwyczajnych krajowych i jurysdykcyje wojewodzińskie zostały zniesione; ażeby sąd duchowny żydowski zachowano, ale kahałki i podkahałki pokasowano; ażeby dekreta żydowskie wydawano w języku polskim, i ażeby noszenia stroju żydowskiego zakazano.

Jakiż był program polityczny Kołłontaja?

Radził korzystać z pomyślnych okoliczności i działać spiesznie i zgodnie. Przedewszystkiem starać się o pomnożenie wojska. „Jest to najważniejszy w każdym czasie interes, a w teraźniejszem położeniu na nic się nie przyda, najdoskonalsza poprawa rzpltej, póki siły jej nie wzmocnimy“. [29]) Liczbę wojska radził podnieść do 60 tysięcy. Zresztą powiada — „dajmy młodzieży tylko edukacyję żołnierską, wskrześmy popisy w naszych powiatach i województwach, ustanowmy musztry po parafijach, a w czasie potrzeby powiększymy ogromność wojska naszego do takiej liczby, jakiej okoliczność wymagać będzie“. [30]) Pomnożywszy wojsko, oczewiście trzeba podnieść podatki. W tym celu radził podwoić podymne i spodziewał się, „że bez szemrania opłaci go każdy dziedzic, nie przyczyniając ciężaru swoim poddanym. [31]) Mniemał także, że należy powiększyć opłatę ściąganą ze starostw, a nawet możnaby niektóre z nich posprzedawać. To niejako pierwsza i najgłówniejsza część zadania.

---

[28]) Str. 112. T. I. Tamże.
[29]) Str. 81. Cz I
[30]) Str. 99 i 100. Tamże.
[31]) Str. 65. Tamże.

Załatwiwszy się z tem, konieczną jest rzeczą naprawić rząd i uporządkować sposób odprawiania obrad publicznych. „Chlubiemy się naprożno — powiada Kołłontaj — nazwiskiem wolności, a w samej rzeczy konstytucyja nasza wskazuje nam tylko rząd feudalny, arystokracyją umiarkowany". [32]) Nie jest on monarchiją, bo się ta z domem Jagiellońskim skończyła. Król nie może nic bez narodu. Nie jest rzplitą, bo ta reprezentuje się tylko co dwa lata przez sześć niedziel". [33]) Należy się przeto „ustanowić nieustającą rzplitą w stanach swoich t. j. „zacząć odtąd *Trwałe sejmy*". [34]) Reforma ta przeniesie punkt ciężkości rządu do sejmu. „Sejm trwały — powiada autor — będzie u mnie monarchą, będzie prawa stanowił, będzie wszystkim magistraturom i obywatelom rozkazywał, będzie sam swych rozkazów doglądał. [35]) Przy takim układzie, nie ma się czego obawiać sukcesyi tronu.

Oprócz sejmu trwałego, wybieranego co sześć lat, rzeczpospolita powinna mieć dobrze zorganizowany rząd po wszystkich województwach. Najlepszą bowiem jest ta „rzplta, któraby rząd ogólny całego kraju z szczególnym każdego województwa ściśle związała". [36]) Rzplita w stolicy zamknięta, gdyby nie miała ogólnej i najwyższej władzy nad rządem wykonawczym każdego województwa, byłaby zbyt niedołężną, i anarchija równie jak dziś opanowałaby wszystkie rządu sprężyny". [37]) Kołłontaj jednak pojmował również dobrze, jak niebezpieczną bywa zanadto wielka centralizacyja. „Obalona została — powiada na poparcie swego twierdzenia — rzeczpospolita rzymska, bo cała jej władza zamknięta była w murach jednego miasta. Wszystkie rzpltej podległe kraje spoglądały na jedno miasto jak na swego legalnego despotę, w którego ręku nie tylko prawodawcza władza, nie tylko rząd ogólny, ale nadto najdrobniejsza szczególność wszystkich innych miast i prowincyj tysiąca złożoną była". [38])

Rzeczpospolita to niejako federacyja samodzielnych województw — podług planu Kołłontaja. Każde województwo wybierało samo sobie rząd i urzędników, miało własną organizacyją zbrojną (tak zwane popisy wojewódzkie) i własny skarb, załatwiało wszelkie sprawy na sejmikach i posyłało pełnomocników na sejm wspólny. „Posłowie z województwa wybrani — zdaniem autora — nie mogą i nie powinni swoją własną rządzić się wolą. Są oni określeni rozkazami swego województwa

[32]) Str. 19 Cz II.
[33]) Str. 21 Tamże.
[34]) Str. 32 i 33 Tamże
[35]) Str. 199. Cz III.
[36]) Str. 178. Tamże.
[37]) Str. 176. Cz. II.
[38]) Str. 177. Tamże.

i nad te nic sobie pozwalać nie powinni. Rozumieć albowiem, że poseł jak tylko zostanie od województwa obrany, stać się może natychmiast absolutnym despotą nie tylko swego województwa, ale całego rzpltej kraju, jest to jedno, co w samem źródle przeszkodzić naturalnemu biegowi wolności i poddać się pod absolutną kilkudziesiąt lub kilkuset władzę: z czego oczywiście wypada, że jeżeli wybór posłów powinien być ubezpieczony od wszelkich intryg, tedy tembardziej instrukcyje województwa powinne mieć świętą powagę, co do prawodawstwa i ogólnego rządu, powinny być silnem prawidłem władzy posłów tak dalece, żeby decyzyja każdego posła, przeciw instrukcyi lub nad instrukcyją użyta, nic tem samem nie wartała i województwa nie obligowała". [39])

Władzę wykonawczą oddaje Kołłontaj komisyjom czyli ministerstwom, ministrom i królowi. Komisyj ma być pięć: skarbowa, oraz sądownicza razem, wojskowa, interesów cudzoziemskich, policyi i edukacyjna. Autor przemawia za tem, by komisyje były jedne i wspólne, tak dla Korony jak dla Litwy, a w każdym razie komisyja skarbowa powinnaby być jedna. Ministrowie mają być odpowiedzialni przed sejmem. „Jeżeli chcemy być wolnemi — powiada autor — wiążmy ręce ministrom... niech nie mają głosu w rządzie, najwyższej władzy tylko w ten czas, kiedy sprawiać się muszą przed stanami, albo gdy jakiej informacyi też stany od nich żądać będą". [40]) Król jeszcze bardziej ma ręce związane, ponieważ jego rozkaz staje się obowiązującym tylko wówczas, kiedy przynajmniej jeden z ministrów podpisze takowy, przyjmując przez to całą zań odpowiedzialność.

Nie wchodząc w szczegóły co do składu i zakresu czynności każdej komisyi, wypada przypomnieć, że Kołłontaj mocno nalegał na podniesienie i upowszechnienie oświaty w Rzeczypospolitej. W tym celu radził ustanowienie dwóch nowych uniwersytetów: w Wielkopolsce i na Ukrainie. Wskazywał także na doniosłe znaczenie edukacyi płci żeńskiej. „Zatrudniamy się — pisze — wychowaniem płci żeńskiej, ileby nas bawić lub głowy zawracać zdołała; nie myśląc o tem bynajmniej, aby doglądała naszego charakteru i obyczajów, aby była zasileniem naszego męztwa i pomocą dobrego rządu. Ktokolwiek tak myślał, nie zastanowił się podobno nad dzielnością słabej płci, która nie będąc tem, czem ją przez prawo mieć chciano, umie nawzajem dokazać, że mężczyźni stają się tem, czem chcą kobiety". [41])

Program Kołłontaja, już dla tego samego, że przedstawiał pewną systematyczną całość, że był rozwinięty szczegółowo i że opierał się na

[39]) Str 169 i 170. Cz II.
[40]) Str. 102. Część III.
[41]) Str. 189 i 190.

jasnem rozumowaniu, musiał stać się niejako przewodnikiem dla tych posłów, którzy przybywali na sejm ze szczerą chęcią służenia dobru publicznemu. I w samej rzeczy, rzucając okiem wstecz na to, co zrobił sejm czteroletni, niepodobna nie dojrzeć potężnego wpływu, jaki na nim wywarły *Lis'y do Małachowskiego*. Im też także w znacznej mierze przypisywać należy, że podczas sejmu sformowało się patryjotyczno-reformatorskie stronnictwo.

Na początku bowiem sejmu było — rzec można — jedno tylko stronnictwo, stronnictwo królewskie. Wszyscy zaś przeciwnicy tego stronnictwa, lubo powodując się rozmaitemi względami, mieszali się i łączyli często z sobą, tworzyli niby jeden obóz opozycyjny.

Stronnictwo królewskie nie było przeciwne reformom społecznym. Sam król Stanisław, brat jego, prymas książe Michał, synowiec ich książe Stanisław podskarbi litewski, Chreptowicz sprzyjali sprawie polepszenia doli włościan. Najważniejszy publicysta tego stronnictwa, autor dziełka: *Myśli polityczne dla Polski*, napisał był jeszcze przed sejmem jedną z najlepszych i najpostępowszych broszur w sprawie włościańskiej: *O poddanych polskich.*

Myśli polityczne dla Polski, [42]) lubo nie dorównywują listom Kołłontaja, ani pod względem postępowości przekonań, ani pod względem literackiego opracowania, odznaczają się jednak zrozumieniem najważniejszych ówczesnych potrzeb społecznych i wielką trzeźwością myśli. [43]) Jeżeli program polityczny autora znacznie się różni od programu Kołłontaja, to w kwestyjach społecznych, obaj ci pisarze są dosyć zgodni między sobą.

Autor *Myśli politycznych dla Polski* mniemał, że poprawienie stanu wewnętrznego najważniejszem było zadaniem sejmu. „Kiedy kto wewnątrz słaby — powiada — cóż mu pomogą zewnętrzne same lekarstwa? [44]) Zaczyna więc autor „od najpierwszych fundamentów budowy szczęśliwości Polski“, od rolnictwa i rolników. „Chłop — zdaniem autora robi szczęśliwość kraju, bo chłop rolnik. Jeżeli rolnictwo zwłaszcza w naszym kraju kwitnąć nie będzie. z czegóż się zbogacimy? Rolnictwo zaś żadnym sposobem kwitnąć nie może, jeżeli chłopi tak uciemiężani

---

[42]) Myśli Polityczne dla Polski. w Warszawie roku 1789. w Drukarni Wolnej. Kto autorem tego dziełka, nie wiadomo. Jest domysł, że był nim Wybicki. Styl jest bardzo zaniedbany.

[43]) X. Kalinka w gorliwości rojalistycznej nazywa Myśli „najlepszą książką polityczną, jaka wówczas wyszła“ (Str. 146. T. I Sejm czteroletni. Kraków 1880) Jestto przesada.

[44]) Str. 33.

będą jak teraz". [45]) „Jeżeli nie będzie szczęśliwe chłopstwo, upewniam, że kraj nigdy szczęśliwym nie będzie, bo jakoż nieszczęśliwy zrobić ma szczęśliwość? jak słaby zdobędzie się na moc? [46]) „A chłop nie jest że nieszczęśliwym, kiedy nie ma pokoju swego, kiedy może być obdzieranym, kaleczonym, męczonym, bez żadnej na siebie słuszności, bez żadnej sprawiedliwości na krzywdy swoje". [47]) Od dobrobytu rolnika zależy dobrobyt rzemieślników i kupców. „Te stany — powiada autor — przyrównać mogę do kółeczek w zegarku, a rolnika do sprężyny". Jeżeli mocna sprężyna, mocno popychają się kółeczka i wszystko obrót ma szybki i regularny; gdy słaba sprężyna, słabe wszystko". [48]) Mówiąc o miastach, autor zwracał uwagę na zdzierstwo i ucisk, jakie cierpiały od wojska i starostów. Ażeby temu zapobiedz, ażeby wprowadzić sprawiedliwszy porządek, należało jak słusznie mniemał autor zasięgnąć w tem rady u samych mieszczan, czyli powołać reprezentantów miejskich do sejmu. Nadto uważał za rzecz sprawiedliwą, ażeby mieszczanie mogli zostawać oficerami w wojsku, sprawować urzędy sędziowskie i kupować dobra ziemskie.

Z wyrozumiałością oceniał położenie żydów. Wskazywał na powszechne pomiędzy niemi ubóstwo i słabość fizyczną. „Sposób życia, choroby — podług autora — przyczyniają się wiele do ubóstwa, ale przyczynia się prócz tego wiele i przemoc panów, którzy podatkowaniem obdzierają ich do ostatka. Już dla tego, że są słabsi fizycznie i mniej wygód mają od chrześcijan, trudno im zajmować się rolnictwem, które wymaga ciągłej pracy i wielkiego wytężenia sił. Przytem czyż mogą garnąć się do niego, widząc uciemiężenie rolnika?! „W teraźniejszym czasie uciężonemi będąc, łatwiej im na inne przejść miejsce, łatwiej przewieść majątek, ale zagospodarowawszy się na miejscu, chcąc gdzie indziej przeprowadzić się, zniszczeć trzeba pierwiej. [49]) Chcąc naprawić położenie żydów, trzeba rozpocząć od ich edukacyi. „Niechaj wybrani

---

[45]) Str. 42 Przytoczę tu ustęp, przedstawiający opinije ekonomiczne autora „O rękodziełach i fabryki — powiada — frasować się nie potrzeba. Powstaną one za wzrostem rolnictwa i ludności. Fabryki są wyrobieniem produktów ziemnych. Produkta te wyrobione służą do wygody człowieka W wygodach człowiek, przyrodzonym biorąc porządkiem, musi się najpierwiej starać o te, bez których żadnym sposobem żyć nie może. Żyć nie może człowiek bez jedzenia, jedzenie ma z rolnictwa, więc rozkwitnienie rolnictwa najpierwszą pracą być powinno. Odzież wszelka, pomieszkanie, jest potrzebą do wygody, bez której wiele człowiek cierpi i utraca życie Fabryki robią odzież, pomieszkanie, więc fabryki wtórem są staraniem ludzi... Tam fabryki zakładane być mogą i trwać stale, gdzie ludność mnoga i t. d.

[46]) Str. 35.

[47]) Str. 42 i 43.

[48]) Str. 62 i 63.

[49]) Str. 107.

na przyszłych nauczycielów przesłanemi zostaną Akademii krakowskiej, i niechajby żaden bez jej patentu nauczycielem żydowskim być nie mógł". [50]) W miastach powinni podlegać tej samej policyi co i wszyscy, wyłącznych podatków opłacać nie powinni, sądy mają mieć te same co i inni. „Żydzi są obywatelami, mogą być i żołnierzami, ale nie w tych jeszcze czasach. [51]) Zresztą, „który zechce być żołnierzem, nie bronić mu tego, wszak mamy dowód ich waleczności w teraźniejszej wojnie przy Józefie II." [52])

Podług autora *Myśli politycznych dla Polski*, należało rachować nie tyle na jaką wojnę, ile na stosunki gabinetowe. Dyplomacyja rozumna może więcej dopomódz aniżeli wojsko. Autor nie przemawia więc bardzo za jego powiększeniem; żąda tylko, by było dobrze wyćwiczone i dobrze płatne. Natomiast trzeba koniecznie rozgraniczyć należycie władzę prawodawczą od wykonawczej i wzmocnić oraz obwarować dobrze władzę królewską. Autor jest zwolennikiem tronu dziedzicznego.

(C d n.)



Madjary a Kroaci

Studjum polityczne

T. T. Jeż.

Chcąc głos zabierać w sprawie sporów, zachodzących pomiędzy Kroatami a Madjarami, koniecznem jest postawienie się na stanowisku całkowicie i bezwzględnie bezstronnem. Nam stanowisko takie zająć, dosyć jest trudno. Do Kroatów zbliża nas pobratymstwo, z Węgrami łączy koleżeństwo. Z pierwszymi jesteśmy jednej krwi; do drugich odnoszą się spólne wspomnienia dziejowe, tak dawniejsze, jak daty późniejszej. Z tego to powodu głosy, zabierane przez Polaków w sprawie sporów, których świadkami jesteśmy w chwili obecnej, grzeszą jednostronnością. Ci stawią się na stanowisku jednych, owi drugich, broniąc z zapałem sprawę, która rozpatrywana być winna z krwią zimną jaknajwiększą.

---

[50]) Str 110.
[51]) Str. 115.
[52]) Str. 115.

Spór, datujący od dawna, lecz obracający się w wiekach minionych około formalistyki państwowej, zawiązał się na serjo i zaognił nie pierwej, aż podszyła takowy kwestja narodowościowa. Nastąpiło to w pierwszej ćwierci wieku XIX. Do wywołania kwestji narodowościowej, która do dziś jeszcze ewolucji swojej dziejowej nie dokonała całkowicie, przyczynił się w znacznym stopniu upadek Polski. Było to zdarzenie, które w zdumienie wprawiło gabinety i narody i zaniepokoiło opinję publiczną. W wieku XVIII i długo w w. XIX mężowie stanu, dziejopisowie, publicyści, poeci, wszyscy rozbiorów Polski nie wahali się mianować zbrodnią. Jednogłośny ów wyrok, illustrowany usiłowaniami Polaków odzyskania niepodległości narodu, oddziaływał na narody, pozostające pod panowaniem obcém. Budziła się w nich ta świadomość prawa natury, którą w ciągu wieków minionych głuszyły zasnuwane i rozsnuwane około pestek dynastycznych formacje państwowe. Ze świadomością narodowościową przybywał do polityki żywioł nowy i wprowadzał komplikację, nie licującą ani z prawami historycznémi, ani z hasłami religijnémi, którémi się posługiwała i dotychczas jeszcze posługuje działalność dyplomatyczna. Stąd właśnie komplikacja pochodzi. Zesumowują cyfry o mianownikach różnych i dają w rezultacie wyniki błędne — ba potworne. Państwo niemieckie opiera się na prawach narodowościowych, zaprzeczając praw tych Polakom i Duńczykom. Państwo moskiewskie w imię praw narodowościowych wyzwala Słowian z pod panowania tureckiego i gnębi Słowian (Polaków i Rusinów) pod panowaniem własném. Sprzęganie wytycznych dawniejszych z wytycznémi nowémi prowadzi do zamętu w pojęciach, odbijającego się na stosunkach międzynarodowościowych wszędzie, gdzie do przejawiania się takowych żywioły na gruncie się znajdują.

Z punktu tego zapatrując się na spory pomiędzy pobratymcami naszymi Kroatami a kolegami Madjarami, nie można nie wyznać, że jedni i drudzy są ofiarami zamętu w pojęciach. Jakiż-bo w toczącym się pomiędzy nimi procesie materjał dowodowy na jaw nie występuje? — traktaty od wieków przedawnione; dyplomy, których autentyczność wykazaną być nie może; wzmianki kronikarskie, nie wytrzymujące próby krytyki; fakty tłumaczone inaczej z punktu madjarskiego, inaczej z kroackiego; prawa historyczne stosowane do praw państwowych; przywileje kościelne, nie licujące z równouprawnieniem wyznań; przywileje stanowe, nie mające znaczenia w obec równouprawnienia klas społecznych; instytucje przestarzałe; świadectwa archeologiczne; nazwy miejscowości; załomy granic; figury i barwy symboliczne; wreszcie — prawo natury, przejawiające się w odrębności narodowościowej. Z całego tego materjału, który erudycja wygrzebuje i którym się jurisprudencja międzynarodowo-

ściowa obustronnie posługuje, znaczenie poważne i realne posiada jeno dane ostatnie. Fakt na gruncie istnieje. Kroata nie jest Madjarem; Madjar nie jest Kroatą: jeden i drugi ma prawo być i pozostawać sobą.

Spór, jakieśmy rzekli wyżej, zawiązał się na serjo i zaognił, gdy wystąpiła kwestja narodowościowa. Kwestja ta poruszyła także i Madjarów, wyraziwszy się najprzód w poezji (Kölczey, Kisfaludowie), poczęła od r. 1825 przebijać się w obradach sejmowych. Rozwój onej szybko kroczył naprzód, ale w połączeniu z ideą państwową, opierającą się o prawa historyczne korony św. Szczepana, fundującą przeto z góry hegiemonią narodowościową madjarską. Zrazu poszło głównie o język — o zastąpienie języka urzędowego, szkolnego i literackiego, jakim dotychczas był łaciński, który stanowił strychulec, usuwający znamiona różnic, zachodzących śród zamieszkałych na ziemiach dawnej Panonii szczepów madjarskich, rumuńskich i niemieckich, językiem narodowym. Madjary, stojąc na gruncie praw historycznych, uważali za rzecz naturalną i godziwą na miejsce łaciny wprowadzić język własny. Jakże-bo? — nie oniż państwu nadawali firmę?... A przytem dzielące z nimi mieszkanie szczepy przedstawiały się im pod postacią gleby dziewiczej, na której plon zejdzie taki, jakie się na niej posieje ziarno. Tak się wydawać mogło, albowiem w rzeczy samej w momencie powstania kwestji narodowościowej Słowianie karpaccy i południowi byli we względzie językowym materjałem całkowicie surowym. Madjary glebę tę uprawiać i ziarnem swojem zasiać zamierzyli. Zamiaru tego nie godzi się — jak to niektórzy publicyści polscy czynią — podawać za zbrodnię *laesae humanitatis*. Nie dopuścili się oni tego, czego się dopuszczają Niemcy i Moskale, tępiąc plony cywilizacyjne. Tępić nie było co i z racji tej zamiar, który się uakcentował szczególnie na sejmie r. 1847, jest nie zbrodnią, ale błędem — błędem nieprzezorności politycznej, popełnionej w skutek sprzęgania forsownego praw historycznych z prawami natury. Nie spostrzegli się oni na tém, a spostrzegłszy się, uznać nie umieli, że ziarna słowiańskie nie różniły się niczém, najmniej zaś prawami, od madjarskich.

Błąd ten dał się Węgrom uczuć dotkliwie bardzo prędko — w r. 1848—49, posłużył bowiem rządowi wiedeńskiemu do wyzyskania opozycji kroackiej na korzyść własną a na szkodę tak Węgrów, jak Kroatów. Rozjątrzenie wzajemne, zręcznie przez gabinet wiedeński podsycane i w natężeniu utrzymywane przeszkadzało stronom do porozumienia dojść i doprowadziło do tego, że na błąd węgierski Kroaci odpowiedzieli błędem, od którego następstw smutnych uratowały ich dopiero klęski wojenne, jakie na Austrję w latach 1859 i 1866 spadły.

Położenie Kroatów w r. 1848—49 przyrównywują niektórzy do legiendy o okrętach, przepływających pomiędzy Scyllą a Charybdą. Wszy-

stko im — jakoby — było jedno, rozbić się na Scylli austrjackiej, czy na Charybdzie madjarskiej; ponieważ jednak pierwsza przyrzeczenia im świetne czyniła, do niej przeto, mając do wyboru pomiędzy przyrzeczeniami dworu wiedeńskiego a postanowieniami sejmu madjarskiego, przymknęli i ramie jej swoje na usługi oddali. Miało to w pierwszych chwilach pozory przymierza, którym się w naiwności swojej rycerskiej Kroaci złudzić dali, nie biorąc tej na uwagę okoliczności, że przymierza wszelkie warunkują się równomiernością interesów i sił. Jakaż i w jakim względzie zachodziła równomierność jednych i drugich pomiędzy Kroacją a Austrją? Rzecz ta całkowicie inaczej przedstawiała się w odniesieniu do Węgier. Idea państwowa węgierska znajdowała się w sprzeczności z dążeniami narodowościowemi kroackiemi — to prawda; lecz idea ta w oderwaniu od Austrji utrzymać się na stanowisku dominującém nie mogła dla przyczyny, która się wyraża cyframi. Na 16 miljonów ludności, zamieszkującej w granicach królestwa węgierskiego, czwarta część jeno przypadała w r. 1848 na szczep madjarski. Fakt ten sam przez się zapewniał Kroatom głos w sprawie stosunku narodowościowego bardzo poważny i zmuszał Madjarów do kroczenia drogą ustępstw aż do przyjęcia ustroju federalistycznego, zapewniającego samorząd całkowity dla każdego z wchodzących w skład Węgier plemienia. Było to tém pewniejsze, że konstytucja węgierska, znosząc przywileje i prerogatywy stanowe i wprowadzając natomiast równouprawnienie polityczne, społeczne i religijne, zdążała logicznie drogą prostą ku równouprawnieniu. Wynik ten koniecznym był w takim zwłaszcza razie, gdyby się Węgry były z pod panowania domu austrjackiego wyzwoliły, w razie takim bowiem zachowanie samoistności stawało się dla nich niemożliwém, bez uczynienią zadość słusznym narodowościowym Słowian, Rumunów i Sasów pretensjom. „Siła złego dwóch na jednego“: — na jednego Madjara przypadało trzech świadomych praw swoich nie-Madjarów, którzy by mu śród nich osamotnionemu uciskać się koniec końcem nie pozwolili, mając po stronie swojej prawa natury i przewagę liczebną. Dobrze przeto zrozumiany interes nakazywał Kroatom w r. 1848 trzymać się przymierza z Węgrami, nie zaś iść na lep obietnic, które dla tego właśnie, że przechodziły przez usta takich świetnych, jak Jelaczic, dworaków, były owym gorszym od wróbla w garści gołębiem na dachu. Wskazówkę w mierze tej dali im Polacy. Legjony polskie biły się w r. 1848—49 nie przeciwko Kroatom, ani Racom, ani Wołochom (przeciwko temu wyraźnie zastrzegły się były), ale o niepodległość Węgier, opartą na demokratycznej, do życia obywatelskiego powołującej wszystkie klasy społeczne i ludy konstytucji. Kroatom atoli znaglonym przez stronnictwo dworskie i bałamuconym obietnicami, brakło czasu na spokojne i trzeźwe rozpatrzenie się

w sytuacji. Zanim na drodze układów do porozumienia się przyjść mogło, już się oni oręża jęli i oręża nie złożyli, aż — przy pomocy Moskali — niepodległość Węgier i własną w potokach krwi utopili. Pomoc moskiewska najwymowniej i najdowodniej o błędzie ich świadczy.

Świadczą o nim i następstwa, które się kolejno jedne z drugich wysnuwały: system Bacha podszyty konkordatem, system Gołuchowskiego i Szmerlinga, system wreszcie Belcrediego-Beusta i *Ausgleich*. Kroacja, zamiast wynagrodzenia za służbę wierną, dostała się na równi z buntowniczemi Węgrami w popręgi i pasy niemieckie, w których tchem jednym lat dziesięć z okładem pozostawała i w których by była do dnia dzisiejszego pozostała, gdyby nie Węgry. Kołatana przez losy przeciwne na polu zapasów marsowych monarchja austrjacka przyszła wkońcu do poczucia i poznania potrzeby reparowania się na polu stosunków wewnętrznych. Wymagał tego sam kredyt finansowy, każący sobie płacić procenta za grube, gdyż ryzykować musi na słowo ministerjalne. We względzie stosunków wewnętrznych najważniejsze do rozwiązania zadanie polegało na uregulowaniu sytuacji Królestwa Węgierskiego, które w obec bachowskich i szmerlingowskich eksperymentów, mających na celu scentralizowanie państwa, a zatem wyrównanie pretensyj narodowościowych strychulcem niemieckim, zajęła stanowisko opozycji biernej, milczącej a niezłomnej. Wynikło z niej przyznanie Węgrom z modyfikacjami niejakiémi tego prawnopolitycznego stanowiska, z którego się w r. 1848 wywiązała rewolucja. Dzięki zwrotowi temu, Kroacja odzyskała pozycję straconą; odzyskała ją jednak w warunkach odpowiednich tym, jakie w epoce początków rewolucyjnych istniały. Powróciła ona do związku z Węgrami, nie na stopie równości federacyjnej, ale jako aneks korony węgierskiej, podporządkowany tej ostatniej politycznie. Jest to następstwo błędu, które wynikło z postawy, przybranej przez Kroację w r. 1848. Położenie jej innem by być musiało, gdyby nie tryumfy Paszkiewiczów i Haynauów, do których ręki przyłożyła, a byłoby o wiele gorszém, gdyby nie upór węgierski, który do *Ausgleichu* i do zapewnienia jej samorządu doprowadził.

Ausgleich zapewnił Kroacji samorząd, ale upodrzędniony, nie odpowiadający ani słusznym pretensjom narodowym, ani nadziejom, jakie obietnice rozbudziły. Nie mogło być jednak inaczéj, jeżeli weźmiemy na uwagę racje, które gabinet wiedeński do szukania porozumienia się z Węgrami zniewoliły i warunki, na jakich takowe do skutku przyszło. O racjach wspomnieliśmy powyżej; co zaś do warunków, tym przewodniczyć musiała idea państwowa, wykwitająca z praw historycznych. Zaprowadzano, a raczej przywrócono dualizm; kształtowano monarchję dwójjedyną; rozpoławiano całość: należało więc połowę jedną uczynić

na obraz i podobieństwo połowy drugiej. Przypisują Beustowi wyrazy, wyrzeczone do Węgrów w Peszcie, podczas kiedy się toczyły układy o *Ausgleich:* „Dozorujcie hordy wasze, my będziemy dozorowali nasze.“ Hordy w połowie węgierskiej są to. Kroaci, Serbowie, Rumuni, Sasi, Słowacy i Rusini; w połowie austrjackiej: Rusini, Polacy, Czesi, Morawianie, Karyntjanie, Słoweńcy, Dalmaci, Włosi. W sposób ten dokonał się polityczny podział łupów pod hasłem swobód konstytucyjnych i idei państwowej rozebranej pomiędzy Madjarów i Niemców — dwóch narodowości faktycznie panujących i w celu tym sprzymierzonych.

Stan rzeczy, jaki z *Ausgleichu* wyniknął, utrudnił położenie Kroatów. Mają oni do czynienia nie z samymi Madjarami, ale z Madjarami i stojącymi za nimi w rezerwie Niemcami, czyli z ideą państwową węgierską, podtrzymywaną przez ideę państwową austrjacką. Nie było by to nastąpiło, gdyby się w r. 1848 złudzić podszeptom i obietnicom nie dali. Za łatwowierność spotkało ich wynagrodzenie, które ich zadowolnić nie mogło, nie zadowolniło i wprowadziło na drogę sporu ustawicznego, ułatwiającego w razie potrzeby stosowanie na gruncie reguły: *divide et impera.* Są oni biczem, trzymanym w zanadrzu tak długo, póki na Węgrzech władzę dzierży stronnictwo rządowe, mające za zadanie neutralizowanie stronnictwa, którego program wklucza w siebie postanowienie sejmu debreczyńskiego z d. 28 lipca 1849, równouprawniające w duchu federalnym narodowości, w skład państwa węgierskiego wchodzące. Postanowienie to, *in extremis* powzięte, do praktyki zastosowane być nie mogło i do *Ausgleichu* nie weszło, a przecie jest ono wynikiem logicznym wprowadzenia do polityki nowego żywiołu pod postacią kwestji narodowościowej. Około punktu tego grupuje się na Węgrzech, z Madjarów czystych złożone i w sejmie reprezentowane stronnictwo, które dziś jest w mniejszości, lecz jutro, pojutrze uzyskać może większość. Ze względu na możliwość tę, bardzo w państwach konstytucyjnych przypuszczalną, na spór kroacko-węgierski zapatrywać się należy nie wedle przejawów onego w dobie dzisiejszej, ale wedle rzetelnie i trafnie pojętych interesów stron, które w poróżnieniu zostają.

Na Węgrzech władzę dzierży stronnictwo rządowe — stronnictwo *Ausgleichu*, liberalne w duchu i na sposób tego liberalizmu, jaki wyznają centraliści po tamtej stronie Litawy. Z niem Kroaci walczą i dla nich w momencie obecnym reprezentuje ono Węgro-Madjarów, podawanych za wrogów Słowiańszczyzny. W istocie rzeczy tak nie jest. Wrogim względem Słowian jest wynikły z *Ausgleichu* system, niebezpieczny dla samychże Madjarów, których interes żywotny polega nie na uciskaniu celem zmadjaryzowania narodowości niemadjarskich, ale na ubezpieczeniu bytu własnego za pomocą słusznego i zupełnego wymiaru sprawiedliwo-

ści międzynarodowej. Żywioł madjarski, acz jędrny i energiczny, ale obkolony przez rozwijających w sobie coraz to silniej świadomość praw narodowych Słowian, walki nie wytrzyma. Śród Madjarów są tacy, co to rozumieją i przewidują — powołujemy się na autora programu Federacji dunajskiej, Koszuta, który *Ausgleichu* nie przyjął. Są tacy!..... A zatem Kroaci spór wiodą nie z narodem, ale ze stronnictwem władzę dzierżącém — silném dzięki tej właśnie okoliczności, że władzę dzierży. Czy pobratymcy nasi uwzględniają to? — Nie zdaje się, co się pokazuje z tego, że do walki wydobywają z arsenału historycznego oręże zardzewiałe i do użytku służyć nie mogące, w procesie zaś odwołują się do trzymających w ręku szalki nie Temidy, lecz okolicznościowe sądy wiedeńskie. Wytknęli oni sobie za cel dążeń restaurację Królestwa Trójjedynego. Cel to nie jasny, obłędny i tysiącem punktów spornych brzemienny. Kroaci, jak Serbowie wojewodyńscy, jak Rumuni w Banacie i Siedmiogrodzie, jak Sasi, jak Słowacy i Rusini karpatcy, jak Madjary mają za sobą jedno, zaprzeczoném być nie mogące prawo, które im natura nadała. Cały na popieranie prawa tego na wierzch wydobywany historyczno-archeologiczny materjał, z jédnej strony zaostrza spór, z drugiej w położeniu fałszywem stawia Rusinów i Słowaków, którzy materjału takiego nie posiadają. Korzysta na tem historja i archeologja, ale nie sprawa, jasna sama przez się, a wikłająca się nie tylko przez to, że się materjałem nieodpowiednim posługuje, ale i przez to bardziej, że za narzędzie w obcych rękach służy.

Kończymy więc, jak zaczęliśmy. Chcąc głos zabierać w sprawie sporów pomiędzy Kroatami a Madjarami, koniecznêm jest postawienie się na stanowisku całkowicie i bezwzględnie bezstronném. Spór to bowiem powikłany i wikłający się coraz to mocniej błędami, jakie popełnia strona jedna i druga, pomimo, że mają przed sobą drogę jasną, na której rozstrzygnięcie sporu, gdyby nie mogło nastąpić od razu, mogło by się przygotować na przyszłość w ten sposób, ażeby na miejsce *Ausgleichu* państwowego wprowadzić *Ausgleich* narodowościowy, obezpieczony ustrojem rzetelnie federalnym. Federalizm po tej i po tamtej stronie Litawy jest dotychczas fikcją. Fikcja ta budzi pragnienia i aspiracje, które wytwarzając w warstwach i grupach społecznych serwilizm, szczepią zawiść i nienawiść międzyplemienną. Z powodu tego trudném jest położenie i Węgrów i Kroatów w tej o byt walce, którą ze sobą toczą, na którą wydają mnóstwo sił i energji, a której by mogli nie toczyć, obracając działalność swoją na co innego pożyteczniejszego. Węgrzy, dzięki znakomitym organizacyjnym własnościom swoim i stanowisku jakie zajmują powołani są niejako do służenia za kit w kształtowaniu ustroju związkowego; Kroaci zajmują ogromnie ważne w Słowiań-

szczyznie południowej stanowisko — stanowisko cywilizacyjno-polityczne, oddziaływać mogące potężnie na ów ferment zarodowy, jaki się pod bokiem ich na półwyspie Bałkańskim odbywa.



Typy kobiet niemieckich

PRZEZ

JERZEGO BRANDESA.

Cenne przymioty, właściwe rasie germańskiej, występują najwyraźniej i najelementarniej u niektórych kobiet, nieróżniących się bardzo wychowaniem od prostego ludu, u których jednak serce ma na sobie piętno pewnej kultury. Spotkałem się z takiemi kobietami na wsi w północnych Niemczech. Niejedną taką widziałem również pomiędzy żonami emigrantów, przybyłych z Ameryki, gdzie żyły bez najmniejszego zetknięcia z obcym żywiołem i w nieprzerwanym i ścisłym stosunku z duchowem życiem swej ojczyzny. Najwybitniejszą cechą charakteru tych kobiet jest słodycz i nieograniczona dobroć. Życie ich całe jest jednem nieprzerwanem pasmem poświęceń dla innych, to jest dla męża, dzieci i rodziny, która jest całym ich światem. Ani kraj, ani państwo nie istnieją dla nich w zasadzie.Dobroć ich nie jest tą śmiałą, rozsądną dobrocią, którą się odznacza prosty lud w krajach romańskich, nie ma również tego odcienia praktyczności, jaki często u Angielek spotykamy, ani tej gorącej serdeczności właściwej żydom, dobroć ich to szorstkie, głębokie uczucie, chętnie objawiające się w słowach i znajdujące rozkosz w poczuciu własnego istnienia. Niemka nie zadawalnia się tem, że czuje, jej samo wrażenie uczucia sprawia przyjemność, bo z natury swojej nawskróś jest uczuciową. Nie spotykamy tu tak ogólnej na północy nieśmiałości w objawach uczucia, ani tak zakorzenionego w Danji i Norwegji przekonania, iż wyjawiając to co się czuje, ściąga się śmieszność na siebie.

W Niemczech nikt się tak bardzo śmieszności nie boi, nie przeraża tam nikogo nawet myśl, że się może stać wstrętnym, lub ckliwym. Tych co się śmieją jest niewiele, a daleko większa jest liczba tych, co się nie łatwo uskarzają na zbytek w objawach uczucia,

Dobroć serca, połączona z rozsądkiem i wykształceniem, jest niewątpliwie wielką zaletą kobiety, podczas gdy sama tylko uczuciowość na dłuższy przeciąg czasu nudzi i męczy. Widziałem kilka przykładów, które prawdziwy podziw we mnie wzbudziły.

Mam w tej chwili przed oczyma postać blisko 60-letniej kobiety, wdowy po jednym z najznakomitszych prawników niemieckich, znanym ze szlachetnego charakteru i wybitnej inteligencji. Prawdziwie anielska słodycz wieje z tej istoty, uśmiech jej jest tak łagodny i rozumny, postać tak piękna, szlachetna i poważna, że oko się na niej zatrzymuje z równą przyjemnością jak na najmłodszej i najpiękniejszej kobiecie. Ta babka ma na sobie urok dziewiczości. Zresztą więcej ma wykształcenia niż wrodzonych zdolności.

Te same podstawowe cechy, choć jeszcze silniejsze i połączone z bardziej wykształconym umysłem, znalazłem u panny Q., 30-letniej, niezamężnej osoby, córki ministra południowych Niemiec, która straciwszy wcześnie rodziców, została przełożoną instytutu. Zna osobiście Straussa i wmówiła w siebie, że podziwia romans Vischera: „Auch Einer.“ Cała jej osoba odznacza się kobiecością i prostotą. Staropanieństwo tak niewinnym jak ona kobietom dodaje jeszcze wdzięku. Ojciec kazał ją w dzieciństwie uczyć greckiego i wszystkich romańskich języków, co się później okazało bardzo korzystnem. Pomimo swej słodyczy, jest ona radykalną, zarówno pod względem politycznym jak i religijnym. Wybitną i w wysokim stopniu narodową cechą u niej jest żądza wiedzy i zamiłowanie w nauce. Niemki chętnie czytają, wiele marzą i myślą o tem co przeczytały. Natomiast rzadko mają tyle samodzielności, by same wybierały książki, które czytają.

Ten sam germański typ, w wysokim stopniu prawie nie do poznania przekształcony, spotykamy u kobiet w Prusiech. Mam kilka przykładów pomiędzy dalszemi mojemi znajomemi. Pani L. K., licząca 40 lat, jest właścicielką domu, położonego w najpiękniejszej części Berlina, otoczonego obszernym ogrodem. Mieszka tam z rodziną i prowadzi dom na wielką skalę. Mąż jej trochę wielomowny lecz poważny w kołach liberalnych polityk, w życiu publicznem odznacza się charakterem, w życiu prywatnem dobrodusznością, brakiem zasad, w ogóle wielostronnem wykształceniem i znajomością rzeczy starożytnych. Żaden węzeł duchowy nie łączy męża z żoną.

Pani K., chuda jak kościotrup z pomarszczoną skórą i słowiańsko-pruskimi rysami twarzy, jest światową damą z pewnym odcieniem literackiego wykształcenia. W przekonaniach politycznych radykalniejszą jest od męża, głos ma czysty, trochę ostry, mówi chętnie i bardzo dobrze, jest energiczną i bezwzględną w sądach. Ideałem jej właśnie jest energja

bezwzględność; wyobraża sobie, iż jest zupełnie wolną od przesądów i nigdy nie robi tego co ją nudzi, daje wielkie wieczory dla członków parlamentu, należących do obozu męża, i na tych zebraniach rozmawia tylko z swoimi ulubieńcami, większą część gości traktuje z góry i często po upływie godziny znika zupełnie z salonu. Nie zadaje sobie nigdy najmniejszego trudu, aby się okazać uprzejmą gospodynią względem swoich gości, a jednak szorstkość jej wielu bardzo osobom się podoba. Związek jej z mężem nigdy nie był szczęśliwy, pocieszała się też jak mogła i chciała. Jest coś tak rozkazującego w tej istocie, tyle odwagi i śmiałości, iż mimo to wszystko z podniesioną głową potrafiła zachować miejsce swoje w towarzystwie. Pewnego razu, wkrótce po zawarciu pokoju z Francją, pani K. miała u siebie na obiedzie kilka pań francuskich. Rozmowa toczyła się w języku francuskim, którym mówi dobrze choć twardo. Podano pieczyste z zająca, i jeden z obecnych, senator pewnego hanzeatyckiego miasta, zwrócił się do swej sąsiadki z następującym płaskim dowcipem:

— Czy mogę służyć pani kawałkiem jej ziomka?

Gospodyni domu usłyszawszy to, surowym głosem zażądała, aby cofnął natychmiast wyrzeczone słowa i przeprosił swoją sąsiadkę, a gdy winowajca próżno starał się rzecz całą w żart obrócić, po obiedzie zimno i stanowczo, w obecności bliżej stojących gości oświadczyła senatorowi, że dom jej odtąd będzie dla niego zamkniętym. Jedyny to raz w mojej obecności kobieta sama wykonała wyrok towarzyskiej sprawiedliwości. Zajście to naturalnie wywarło przykre wrażenie na obecnych, ale odwaga i stanowczość, okazane w tym wypadku przez panią K., musiały się wszystkim podobać. Na swój pruski sposób dała ona francuskim gościom najświetniejsze zadośćuczynienie, na jakie ją stać było.

Inną odmianą tego samego typu, rzeczywiście godnem uwagi zjawiskiem jest pani S. J., 30-letnia, jasnowłosa, wysmukła, zimna a jednak próżna kobieta. Stroje jej świadczą o tem, że pragnie się podobać, ale duma nie pozwoliłaby jej nigdy przyznać się do tego. Wiele podróżowała, zwiedziła większą część cywilizowanego świata, całą Europę i część Azji i Australji. Zna kilka obcych języków, które wszystkie źle wymawia, czyta pilnie i uparcie różne książki, a nawet poezje w tych językach, nie dla tego aby jej to miało sprawiać przyjemność, lecz aby przełamać językowe trudności i módz powiedzieć, że to lub owo przeczytała. Zanadto jest dumną, aby nie być prawdomówną, nigdy nie powiedziała, iż zna książkę, której nie czytała. Jedyną korzyścią jaką wyciągnęła ze wszystkich swych podróży, jest przekonanie, iż Niemcy są najdoskonalszym krajem na całej kuli ziemskiej, a jej rodacy najlepszymi,

co więcej, jedynymi prawdziwymi ludźmi na świecie. Wkrótce po wojnie francusko-pruskiej pewien Anglik powiedział raz do niej:

— Naród pani został teraz „la grande nation.“

Na co ona krótko i węzłowato odrzekła:

— Został? myśmy nim zawsze byli.

Boleje nad tem, co uważa za bardzo smutną i Niemcom tylko właściwą cechę, mianowicie chęć poniżenia wszystkiego co jest swojskiem i chwalenia cudzoziemczyzny. — Ja zaś spędziwszy dłuższy czas w różnych europejskich krajach, przekonałem się, że wszyscy tak samo postępują, nawet Francuzi, uważani powszechnie za samochwalczy i zadowolony z siebie naród. Obecnie nastąpił w Niemczech zwrot w tym kierunku; germański szowinizm pragnie tym sposobem podnieść blask swej wielkiej ojczyzny.

Pani J. gra na fortepianie jak wszystkie Niemki; choć z natury nie jest obdarzona dobrym słuchem, żelazną pracą zdobyła to co umie. Rysuje i maluje akwarele, choć i w tym kierunku nie odznacza się artystycznem uzdolnieniem, ale powiedziała sobie, że będzie malowała akwarele i postawiła na swojem. Ta kobieta żyje tylko, zwalczając jakieś przeszkody, do rozpaczy ją doprowadza, gdy w rozmowie widzi się zmuszoną przyznać komuś słuszność, nie przypuszcza też nigdy, aby się sama mogła omylić. Tę trochę rozumu, który posiadała, skrzywiła zbytnią wolą. Jest to postać nawskróś rewolucyjna, w najwyższym stopniu buntownicza natura, umysł krytycznie usposobiony względem każdej przyjętej zasady lub zwyczaju, ale nie ma w niej iskry prawdziwej wolnomyślności. Ma niby przekonania liberalne, a jednak nie odstrasza ją przymus wykonywany na innych, bo pragnie wolności tylko dla siebie samej. Obecnie należy do ściśle konserwatywnego obozu; jest zwolenniczką ceł ochronnych, praw przeciw socjalistom i — Bismarka, nie dlatego, żeby go miała uwielbiać; uwielbienie w ogóle nie jest jej rzeczą i nie leży w jej naturze, ale uznaje go, tak jak jedna dobra głowa uznaje drugą.

Godną zastanowienia jest ta okoliczność, że uczuciowość u tych kobiet jest przytłumioną, górę w nich bierze element pruski, jak u tamtych centralno-germański. One uosabiają w sobie twardą, surową stronę duchowego życia kobiet, tamte zaś uczuciową.

Te krańcowe typy mają mnóstwo odmian. Naprzykład spokojna, sztywna Westfalka. Mam w tej chwili na myśli panią Z. D., piękną choć już 50-letnią, niesłychanie dumną osobę, o ruchach napiętnowanych spokojną godnością, a typem przypominającą Thusneldę. Jest dobrą córką dla staruszki matki, mieszkającej w jej domu i czułą małżonką dla dziwacznego, bardzo zdolnego i niemniej dumnego męża. Ma syna, który służy w ułanach i o którym nigdy inaczej nie mówi jak: „Mój syn, ułan.“

Prowadzi dość duży dom, posiada dziedziczny i nabyty majątek, a pomimo to, sposób jej życia odznacza się prostotą i umiarkowaniem. Jest tak pełną powagi, że robi wrażenie posągu, a posąg taki, choć piękny, musi się wydać sztywnym. Zdawaćby się mogło, że własna jej głowa głęboką czcią ją przejmuje, tak wysoko ją trzyma. Znać po niej, iż się interesuje polityką, że ma różne wiadomości i wielostronne wykształcenie. Z obcych wpływów najwyraźniej, choć także słabo, odbił się na niej wpływ angielski. Wrażenia odebrane z Anglji są widocznie jedynemi, jakie się przyjmują na tym pierwotnym gruncie u kobiet, które tak nawskróś są Niemkami.

Prawdziwie ujmującą odmianę tego typu widzimy u młodych Niemek, urodzonych lub wychowanych w Ameryce. Są to przeważnie córki emigrantów, którzy po r. 1870 wrócili do kraju. Amerykańska samodzielność i szerokość poglądów zlały się tu harmonijnie z niemiecką serdecznością.

Pani M. D., żona młodego wysoko postawionego urzędnika, może służyć za przykład. Jest to wysmukła brunetka z wielkiemi, ognistemi oczami, mająca w układzie coś przypominającego sarnę, a twarz zanadto wyrazistą, aby ją można było nazwać regularnie piękną. Jest to wytworna natura; melancholiczny duch w słabem ciele, pociąg do entuzjazmu i marzycielstwa, głęboka, czysto germańska uczuciowość, nadzwyczajna i szybka zdolność pojmowania, zupełny brak towarzyskich talentów, ale ważne i to gruntowne wiadomości, oto główne jej rysy. Jest dobrą, nie będąc przytem wcale naiwną. Schillerowski to temperament i gdyby Schiller był umiał malować młode kobiety, byłby wymalował taką jak ona; czytając, tak się przejmuje książką, tak się w niej cała zatopić umie, iż zdaje się, że natłok wrażeń pierś jej rozsadzi. Do tego germańskiego pierwiastku amerykańskie wychowanie dorzuciło gorące pragnienie czynu, żądzę samodzielności i odznaczenia się nawet po za ciasnemi granicami kółka rodzinnego. Z powrotem rodziców do ojczyzny, kiełkujące te skłonności w samym zarodku przytłumiono i zduszono. Wydano ją zamąż za pierwszego lepszego człowieka, który się w niej zakochał i którego ona pokochała i od tej chwili przestała żyć jako samodzielna jednostka; nieraz jednak z pensjonarską wesołością wyśmiewa mieszczańsko-urzędniczą pedanterję męża, pedanterję, którą piastowanie cesarsko - niemieckiego urzędu zwykle piętnuje swoich przedstawicieli. Niemieckie małżeństwo narzuciło jej niemieckie pojęcia o konieczności bezwarunkowego oddania się kobiet życiu codziennemu, i dziś ambicja jej ogranicza się do pragnienia szybkich awansów dla męża w jego karjerze urzędniczej. Dawniej kobieta ta miała gorące pragnienie wiedzy, teraz zajęta jest samem tylko czytaniem; anglo - saksońska zdolność

uczenia się praktycznie z życia została przytępioną. Pomiędzy najlepszemi młodemi kobietami w Niemczech, można spotkać wiele podobnych do niej; widziały dużo a niczego prawie nie doznały same, bo nie umieją robić doświadczeń.

Pomimo skończonych 26 lat, pani M. D. nie potrafi wyciągnąć ogólnych wniosków z tego co widzi naokoło siebie, a tem mniej z tego na co patrzy w pewnej odległości; zanadto niewinnie ją wychowano, aby mogła rozumieć złe, a skrzydła jej zbyt są podcięte, żeby się wznieść po nad te braki. To co w innych okolicznościach mogłoby się stać pierwiastkiem mocy i siły w tej istocie, stało się tylko pewną zewnętrzną sztywnością. Pomimo całej słodyczy charakteru, obcy uważają ją za niesłychanie dumną.

Przed 30 laty charakter takich kobiet mógł się dzielniej i swobodniej rozwinąć, choć bezwątpienia w owym czasie miały one mniej wiadomości a więcej przesądów.

Naprzykład pani J. O., wysoka, majestatyczna blondynka, między 50—60 rokiem życia, córka konserwatywnego generała, pomimo woli wyszła zamąż i wraz z mężem brała udział w ruchu r. 1848. Gdy męża jej i szwagra skazano na śmierć, wtedy ona przytomnością umysłu życie im obydwóm uratowała. Szwagra, który był jeszcze bardzo młodym i szczupłym, przebrawszy za służącę, wywiozła do Szwajcarji, poczem z mężem schroniła się do Anglji, skąd przed 10 laty dopiero wróciła. Jest to jedna z najszlachetniejszych kobiecych postaci, które mi się kiedykolwiek widzieć zdarzyło, z takiem piętnem cichej, spokojnej godności, że sam widok jej dobroczynny wpływ wywrzeć może. Sama szlacheckiego rodu, wyszła za człowieka mieszczańskiego pochodzenia, który jest jej godnym i słusznie uchodzi za jednego z najpiękniejszych mężczyzn swego czau. Pani O. nie została w Anglji Angielką, lecz więcej jeszcze zamknęła się w sobie, stała się mniej mówną i udzielającą się, niż nią była wprzódy. Jest ona zupełnie wolną od szowinizmu, bardzo nieprzystępną dla obcych, ale poważną i serdeczną względem tych, których zna. Raz jeden tylko widziałem ją nieuprzejmą względem starego generała z wojsk Garibaldego, rodem z Węgier, który w młodości swojej był dzielnym rębaczem, a w późniejszych latach stał się samochwalczym gadułą, a nie domyśla się nawet, jak bardzo jest nudnym. To awanturnik, który już wyszumiał, *condottiere*, w którym może kiedyś i był proch, ale dziś proch ten zmoczony, niezdolny już do użytku.

Pani O. spotkała się z nim w pewnem towarzystwie, a gdy rozpoczął nieskończone opowiadanie o bohaterskich swoich czynach, ona wśród jednego z najdłuższych okresów wstała i pożegnawszy obecnych, wyszła.

W najwyższym stopniu zdumiony generał, zapytał:

— Któż jest ta pani?

Zupełnie niemiecką cechą u tej kobiety, niemającej przecież w sobie nic małomieszczańskiego, jest czułość dla męża i troskliwość jaką go otacza, która wydaje mu się nieraz więcej uciążliwą niż przyjemną. Zazdrośną jest o własne córki, gdy mąż ich, a nie jej pomocy wzywa w swoich literackich pracach. W ogóle w Niemczech kobiety bardziej są przejęte mężem niż dziećmi, jego bardziej jeszcze niż dzieci uważają za wyłączną prawem małżeństwa nabytą własność.

Pomimo wielkich różnic, charakter rasowy w północno-zachodnich Niemczech więcej jest zbliżonym do brandenburskiego niż do szwabskiego. Tu częściej niż na wschodzie spotkać można tę samą co w Prusiech sztywną poprawność i surowy zmysł porządku. Poprawny, do pisanej mowy podobny język w Hanowerskiem, różni się też bardzo od naiwnego, południowo-niemieckiego djalektu i wdzięcznej a niedbałej wymowy Wiedenek. W północno-zachodnich Niemczech nawet mowa jest obyczajną, tu świeżość pozbawioną jest marzycielstwa, zdrowie poezji, a poezja romantyczności. A jednak w głębi dusz kobiecych jest i świeżość i zdrowie i poezja. Nie przeważa w nich rozsądek i wola, które się stały cechą prusko-słowiańskiego typu.

Naprzykład pani C. L. Mąż jej to niespokojna głowa, nieszczególnie uzdolniona, lecz bardzo energiczna; skłonna do wybuchów i trudna do zrozumienia natura. Ona ma w sobie wszystkie cechy pierwotnego, północno-germańskiego typu, silną duszę w silnem harmonijnem ciele. Włosy ma jasne jak len, porusza się wdzięcznie, choć nie tak swobodnie jak rzymski model, chętnie tańczy i śpiewa pełnym, szerokim głosem. Dużo w niej uczucia a żadnej romantyczności. W typie tym jest coś przypominającego Dorotę Göthego z pewną przymieszką dziecinnej zuchwałości i wesołej figlarności. W dziecięctwie z zadziwiającej siły w ręku, nazywano ją: „Die Eisenbrecherin.“ Pewnego dnia na jednej z bardziej ożywionych ulic miasta została prawie przejechaną przez jednokonny powóz. Z głośnym śmiechem odpowiedziała na okrzyk przerażenia starego swego towarzysza: „O mały włos, a byłabym wywróciła tego siwosza.“ Pochodzi z zamożnego domu, a pomimo to, chciała sama zarabiać na chleb, i z tej wprawdzie krótkiej i przejściowej epoki w jej życiu, pozostała w niej pewna skłonność do rachunkowości, do oszczędzania, pewien zmysł kupiecki, który tak wyłącznie przypisują Francuzkom. Göthe w „Wilhelmie Meistrze“ w swojej Teresie przedstawił takie zamiłowanie porządku i taką skłonność do rozsądnego obliczania.

Pani L. to nawskróś praktyczna natura, której umysłowe zdolności wszystkie na zewnątrz są skierowane. Z prawdziwą rozkoszą oblicza,

bada i zajmuje się praktycznemi sprawami. Chce wiedzieć i rządzić. W charakterze takich kobiet tkwi w zarodku ta sama zdolność do administracji, która się ujawniła u mężczyzn w północnych Niemczech.

Z większem jeszcze zajęciem śledziłem za temi odmianami, które w charakterze kobiet z południowych Niemiec wywołują północno-niemieckie wpływy. Zdaje mi się, iż spostrzegłem wyraźny ślad tego wpływu u pani P., pochodzącej ze znakomitej rodziny, żonie ministra jednego z większych niemieckich państw.

Jest to 30-letnia, bardzo piękna i bardzo spokojna kobieta, skazana na to, aby przynajmniej co drugi dzień w wielkiej toalecie bywać na wieczorach. Ramiona i szyję, którym zresztą nic zarzucić nie można, tak obojętnie i zimno wystawia na widok publiczny, jak gdyby nie wiedziała, że są obnażone; pomimo pewnej chęci podobania się, wygląda tak, jak gdyby myślała zupełnie o czem innem niż o kokieterji.

Ojciec kazał ją w dziecięctwie uczyć starożytnych języków, jak się to często zdarza w szlacheckich rodzinach w Niemczech. Ta światowa w wysokim stopniu dama ma w sobie pewną, że tak powiem, studencką naiwność. Mąż jej cieszy się względami Bismarka, a o niej powiadają, że jest jedną z kobiet, które kanclerz najchętniej u siebie widuje, i której przyznaje dużo politycznego zmysłu. Bardzo szczera, otwarta i pewna w stosunkach, ma dobrą głowę i wierne serce, dziwnie jej też do twarzy z przeciągłym prawie pieszczotliwym, południowo-niemieckim akcentem.

Na dnie tych wszystkich kobiecych charakterów, jakikolwiek później kształt przybierają, jest pewna poważna energja. Zresztą energja ta nie znajdując dla siebie ujścia, najczęściej zużywa się wśród czterech murów i staje się utrapieniem a nie błogosławieństwem dla całego otoczenia.

Żądza czynu i szerszej działalności, którą się odznaczają młode dziewczęta w północnych Niemczech, znika z chwilą ich zamążpójścia, a po urodzeniu dzieci i upływie pierwszych uciążliwych lat ich wychowania wraca znowu, ale już pod postacią skłonności do rządzenia, panowania, kontrolowania, zdawania sobie sprawy z wszystkiego i pociągania innych do odpowiedzialności. U mężczyzn te same skłonności znajdują ujście w zajęciach i czynnościach kupieckich, biurowych, urzędniczych i politycznych, u kobiet zaś, które tak często obracają się wokoło siebie samych, jak wiewiórki w klatce, przeradzają się one w przykrą drobiazgowość.

Myślę w tej chwili o pannie S. S., młodziutkiej osobie z dobrego domu. Żądza czynu i jakiejkolwiek działalności pożerała ją; zaczęła dawać darmo lekcje w szkołach, przykrawać i szyć ubrania, które później

darowywała ubogim, czytała wiele i z dziewiczą swobodą pozwalała innym kochać się w sobie, nie racząc dawać odpowiedzi na czynione jej propozycje. Gardziła swymi ogromnymi, zakochanymi braćmi, którzy wiecznie na sercu nosili fotografje swoich ukochanych, wyszydzała i biła ich. Na dnie tej duszy był ogromny zapas, nie zużytej jeszcze życiowej energji, choć tak młoda, odzywała się tak jak gdyby była najstarszą w rodzinie. Teraz wyszła zamąż i czas swój spędza na kontrolowaniu swego męża i swoich służących.

Praktyczne uzdolnienia kobiet nie mają pola do rozwinięcia swej działalności w kraju, który pomimo wszystko co się mówi i pisze, jest niemal najbardziej zacofanym ze wszystkich cywilizowanych krajów, pod względem położenia społecznego kobiet. Teoretyczne, naukowe ich zdolności również nie mogą tu dojść do należytego rozwoju.

Bezwątpienia w wyższem towarzystwie niemieckiem kobiety więcej mają wiadomości niż na północy. Nie idzie jednak za tem, aby ogólny poziom ich wykształcenia był wyższym. Przeciwnie, można raczej powiedzieć, że w tem, co kobieta północna umie i w co wierzy, daleko silniej objawia się jej indywidualność, niż to ma miejsce w Niemczech. W Danji kobieta daleko prędzej zaciągnie się pod jakiś sztandar, daleko żywiej odczuje wyrządzoną sobie krzywdę, gdy ją pozbawiają duchowej jej treści. W Niemczech ta okoliczność może w błąd wprowadzić, że tu kobiety mają szersze i bardziej różnorodne pole robienia doświadczeń, w Berlinie szczególniej umysł kobiety rzadko ma na sobie to piętno drobnych prowincjonalnych stosunków, które tak często spotykamy na północy. Ciasnota pojęć przybiera tu inne kształty. Jeżeli w najlepszem towarzystwie berlińskiem rzeczywiście są kobiety, stojące na wysokości swego stulecia i europejskiej cywilizacji, to nierównie więcej jest kobiet, których wielostronne wiadomości są zupełnie nieużyteczne, a żądza wiedzy objawia się ciągłem zadawaniem pytań. Nie uważają nawet na to, co się im odpowiada i zapytują na nowo. Takiemi są kobiety ocierające się ciągle o naukę, a nie mogące jej sobie przyswoić za pomocą systematycznych studjów. Żona, wdowa lub niezamężna podstarzała córka profesora są nieraz w najwyższym stopniu odstraszającym typem tak wykształconej kobiety. Naprzykład mała pani W. J., prawdziwa karmna gęś.

Mąż jej, jest to sobie mdły, bardzo umiarkowany narodowo-liberalny profesor prawa. Gdy słyszy się ją mówiącą, mogłoby się doprawdy zdawać, że mąż jej wolnomyślnością swoją na największe niebezpieczeństwa się naraża. „Ja w głębi tego wszystkiego widzę stos“, mówi zwykle pani J. Nie jest ona w stanie zrozumieć ani jednej myśli swego męża, ale naśladuje go we wszystkiem, przykłada palec do czoła jak on i mówi górnolotnie. Francuzka nie ukrywałaby nigdy swojej niewiado-

mości w kwestjach naukowych, a ta kobieta tak długo udaje uczoność, aż się jej samej w końcu wydaje, że coś umie. Jest ona równie pretensjonalną jak płaską i niedorzeczną i tyranizuje całe swoje otoczenie.

Stosunkowo rzadko spotyka się tu karykaturę nowszej, głównie francuskiej cywilizacji. Znam jednak i takie przykłady. Pani L. N., ciężka 30-letnia dama arystokratycznego rodu, z ładnemi ciemnemi, szklannemi oczami i włosami uciętemi krótko „a l'enfant." Mąż jej bardzo bogaty, dobroduszny oficer, ozdobiony orderem „pour la mérite" za to, iż najpierwszy znalazł się na jakichś szańcach, służy w gwardji. Jest to człowiek prawdziwie wykształcony, przyswoił sobie francuską wytworność form, jest gorącym wielbicielem Göthego, namiętnie muzykalnym i jednym z najbardziej zapalonych zwolenników Wagnera.

Małżeństwo to nie opuszcza żadnego przedstawienia wagnerowskiej opery, nie tylko w Berlinie, ale w Monachjum, Lipsku, Szczecinie, nie mówiąc już o Beyrucie. Ten zapał muzykalny jest szczerym u męża, udanym u żony. Francuskie jej wykształcenie jest również zupełnie powierzchownem; kryje się pod niem gruba zmysłowość. Czyta wszelkie możliwe francuskie romanse, chodzi na francuskie sztuki do teatru (w Berlinie jest francuski teatr) i ma kochanka, którego prawdziwie kocha, a ta miłość jest jedynem nieudanem uczuciem w tej kobiecie. Nie brak jej charakteru, kryje się jednak pod tą energją pewna tchórzliwość; rządy domowe w silnej dzierży dłoni, tak iż służba cała drży przed nią ze strachu. Nie ma okoliczności, w którychby energja tych kobiet zawieźć mogła. Pani N. ma stosunek miłośny, a niemniej jest wolną od kokieterji, jak wszystkie inne, poprzednio przezemnie wymienione kobiety. Czyta wyłącznie obce książki, a pomimo to jest nawsróś Niemką jak każda z tych, które ducha swego wyłącznie miejscowemi karmią produktami.

Chcąc się przekonać jak dalece cechy te wspólne są wszystkiem Niemkom, trzeba przebywać dość długo w Berlinie i widzieć w towarzystwach cudzoziemki obok miejscowych kobiet. U tych ostatnich uderza najbardziej brak kokieterji. Zdaje się, że rzadko, a może i nigdy nie są one erotycznie usposobione.

Wyjątkowym sposobem chyba w ich otoczeniu mogą komu zmysłowe myśli przyjść do głowy, w tem znaczeniu nie są one córkami Ewy. Piękność ich nawet jest zimną. Kilka idealnie pięknych kobiet, które mi się zdarzyło widzieć w Berlinie, nie były czysto niemieckiej rasy, i piękność ich polegała raczej na plastycznej doskonałości form niż na życiu i zapale.

Przypominam sobie, jak pewnego wieczora w dobrem towarzystwie berlińskiem, gdzie nie brak było pięknych i zacnych kobiet, weszła do

salonu trzydziesto-kilko-letnia Rosjanka, żona obywatela z bałtyckich prowincyj. Zdawało się, że to objawienie z innego świata, nie dlatego, żeby miała być tak szczególnie piękną, wcale nie, ale była tak zupełnie kobietą. Czar córki Ewy unosił się nad nią. Wysmukła jej talja, wdzięczne ruchy, sposób obchodzenia się, siadania, zwracania się do kogoś z rozmową, uśmiech jej i spojrzenie miały w sobie coś nieokreślonego, co oddziaływa na system nerwowy mężczyzn.

Zaczęła śpiewać i było istotnie coś szatańskiego w sposobie z jakim się jej indywidualność innym udzielała. Ta Słowianka wśród tych Niemek robiła wrażenie sfinksa otoczonego rojem gospodyń.

Tak samo rzecz się ma i względem przedstawicielek innych południowych narodów. Temu też należy przypisać wybitną rolę, którą piękne i rozumne żydówki na początku naszego wieku odgrywały w Berlinie, pomimo iż były zupełnemi Niemkami i że nie oddziaływały kokieterją. Ale miały w sobie ten element egzotyczny, tę iskrę w krwi, których brakło innym kobietom a które czarowały mężczyzn. W rodzinach pochodzących z mięszanych małżeństw chrzecjan i żydów, młode dziewczęta mają po dziś dzień wdzięk, którego nigdzie indziej nie spotkałem.

Przypominam sobie młodziutką niesłychanie zdolną malarkę, przytem wysoce muzykalną i obdarzoną niezwykłym talentem scenicznym. Jej delikatna twarz, jasne włosy, ciemne oczy, mały cienki nosek przypominały pastel z czasów Ludwika XI. Bomher nie byłby inaczej pojął dziewiczej niewinności. Znam także dwie siostry, których cera do bladych listków róży podobna, a wymowne, smutne oczy tajemniczym wdziękiem pociągają ku sobie. Nie mają jeszcze ośmnastu lat, a doskonale malują portrety, grają na kilku instrumentach i już wyryte na nich to piętno artyzmu, które się tak rzadko w Niemczech spotyka.

Ten zupełny brak kokieterji u kobiet w Niemczech nie wyłącza bynajmniej lekkomyślności w obyczajach, zwłaszcza w wyższych sferach. Im wyżej się wznosimy na drabinie społecznej, głównie w kołach dworskich i wojskowych, tem częściej cnota kobiet na kruchych tylko wspiera się podstawach.

Najwyższe sfery z konieczności wyrozumiałemi być muszą w tym względzie; żadna kobieta nie bywa też wykluczoną z towarzystwa, dopóki zachowuje przynajmniej pozory dobrych obyczajów.

Cały Berlin zna pewną parę, noszącą stare hrabiowskie nazwisko, która siedzi w długach po uszy, tak że każdy sprzęt w ich domu jest wynajęty, każda suknia wzięta na kredyt. O hrabinie która jeszcze dobrze wygląda, choć już więdnąć zaczyna, wszyscy wiedzą, że będąc jeszcze młodą panną została matką, i że po ślubie nie lepiej się prowa-

dziła niż przedtem. Pomimo to przyjmują ich ciągle na dworze i w najarystokratyczniejszych kołach Berlina. Hrabia piękny, ujmujący „Viveur“ z figlarnym uśmiechem na ustach, służy w pułku białych kierasjerów, gra grubo w karty i na próżno kłopotami głowy sobie nie zawraca.

Prostota i szczerość któremi się obyczajność w Niemczech odznacza, a które nieraz grzeszą brakiem form i taktu, cechują także i lekkomyślność w wyższych sferach i na tem polu przeradzają się one w prawdziwie zadziwiającą brutalność.

Żona pewnego kapitana, zakochawszy się w nieobecności męża, w młodszym jego koledze, przyjmowała go codziennie u siebie. Z chwilą jego przybycia szła do kuchni i zostawiała klucz w drzwiach od śpiżarni, którą zwykle starannie trzymała zamkniętą. Tym sposobem starała się przez pewien czas zająć swoją służbę; potem wracała do popokoju zamknąwszy wprzód za sobą drzwi na klucz. Inna osoba z tej samej sfery, żona pułkownika, młoda, wyjątkowo ładna brunetka, jedna z najdzielniejszych amazonek Berlina, sprzykrzywszy sobie męża bardzo spokojnego i delikatnego człowieka, codziennie zwierzała się swojej służącej z zawodów, jakich doznała w małżeństwie. Gdy zaszła w stan błogosławiony, który zmusił ją na jakiś czas zaniechać konnych przejażdżek i polowań par force, wściekłość z tego powodu w równej mierze wywierała na mężu i na służącej. A kiedy mąż jej, w czasie jesiennych manewrów mieszkał w obozie, ona codziennie zapraszała na obiad jednego z jego przyjaciół i zabawiała go przy stole głośnem odczytywaniem i wyśmiewaniem się z listów męża.

Jeżeli jest miejsce, gdzie nieprawa namiętność zupełnie pozbawioną jest wielkości, gdzie zepsucie wyższych sfer nie ma najmniejszego uroku i poezji, to miejscem takiem jest Berlin,

Prawda, że tu jak i wszędzie zresztą cnota bywa czasem ciasną, ale za to namiętność zaraz zamienia się w występek, a występek w rozpustę.

Typy te uchwyciłem i naszkicowałem z pomiędzy bardzo wielkiej liczby osób, które znałem. Postacie te powinnyby być typowe, bo odrzuciłem wszystkie mniej wydatne rysy, które mi się cisnęły pod pióro.

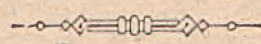
W Niemczech, jak i w każdym innym kraju, są rozumne i ograniczone, przesądne i liberalne, nieprzyjemne i godne kochania kobiety.

Sądzę, że mi się udało wskazać wspólne im wszystkim charakteryczne cechy, nie tylko te, które się zwykle rzucają w oczy cudzoziemcowi przybyłemu z Anglji lub Skandynawji, jak np., że kobiety wyższych sfer powszechnie są zupełnie bezwyznaniowe, że w domu otrzymują tylko humanitarne wykształcenie, lub też że życie w wielkiem mieście

w wielkim kraju, wycisnęło na nich swe piętno. Zdaje mi się, iż potrafiłem wskazać zalety, wypływające z wrodzonego każdej jednostce usposobienia, z siły i trwałości niemieckiego pierwiastku. W każdym z tych punktów czuje się moc i dzielność germańskiej rasy.



Konkurencja amerykańska.



Na zjeździe profesorów ekonomii politycznej w Niemczech w 1875 r., znany publicysta Rudolf Meyer wypowiedział zdanie, że, w obec wzrastających postępów w przemyśle i rolnictwie Stanów Zjednoczonych, Europie zagraża ogólno-przemysłowa kryzys, nieczasowa lecz ciągła, znamionująca bankructwo ekonomiczne całej naszej części świata, lubo słychać wtedy było zaledwie pierwsze odgłosy zbliżającej się burzy. Z prerji „dalekiego Zachodu“ dopiero poczynał wtedy wyłaniać się ów upiór, na widok którego Malthus wraz całą falangą swych zwolenników zadrżeliby w grobie, a któremu na imię: amerykańska konkurencja zbożowa.

Lecz Stany Zjednoczone stanowią tylko przednią straż zbliżającego się pogromu ekonomicznego. Zaledwie ucichła wrzawa podziwu, którą wywołała pszenica amerykańska, a już na rynku zbożowym obok Ameryki stanęły Indje przedgangesowe, a staną może jeszcze Australia, Chili, stepy La-Platy i wiele innych rywali. To samo da się powiedzieć o innych gałęziach przemysłu; „stara swawolnica“ europejska, „old merry England“, trzęsie się w posadach w obec chyżo postępującego przemysłu wyrobów bawełnianych w Indjach przedgangesowych; Australia np. zdaje się być jakby stworzoną dla produkcji mięsa i t. d. Zresztą na teraz nie będziemy się wdawali w wyliczanie rywalów, jacy zagrażać zdają się Europie, a rozpatrzymy wyłącznie konkurencję Stanów Zjednoczonych, ograniczając się na sferze ziemiopłodów i pokrewnych produkcji. Materjał czerpać będziemy z dzieła Rudolfa Meyera: „O przyczynach konkurencji amerykańskiej“. *) Atoli, nim przystąpię do samego wykładu, muszę uczynić niewielką wzmiankę o samem dziele. Nie tyle jest to systematycznie ułożona książka, ile raczej rodzaj notatek, czynionych przez turystę od czasu do czasu, lubo ofitujących nie tylko

*) R. Meyer: „Ursachen der amerikanischen Concurenz“.

w opisy przelotnych wrażeń, lecz także i w obszerniejsze a nawet bardzo gruntowne wiadomości. Zachowuje ona jednak tło notatek podróżnych i w skutek tego przedstawia nieład w uporządkowaniu materjału, tak że niepodobna zdobyć sobie jasnego pojęcia o wielu stronach ekonomicznego życia amerykańskiego. Zresztą autor przeważnie jeśli nie wyłącznie studjował w Ameryce przemysł ziemiopłodowy.

Po tem krótkiem omówieniu wracamy do naszego przedmiotu. Przemysł Stanów Zjednoczonych niedawnej stosunkowo daty, imponuje już światu swymi rozmiarami. Najlepszym tego dowodem może być owa drobiazgowa specjalizacja, którą tu napotykamy. Tak np. opowiada nasz turysta o fabryce w Pensylwanii, zatrudniającej 2.200 do 2.500 robotników i wyrabiającej tylko żelazne mosty; robotę wszelką wykonywują maszyny, a rola człowieka ogranicza się jedynie do dozorowania i kierowania automatycznem narzędziem, w skutek czego wyroby dosięgają nader znacznej taniości i wykończenia. Taka drobiazgowa i zarazem olbrzymich rozmiarów specjalizacja przemysłu nieodłączną jest od ogromnego rozrostu dróg komunikacyjnych — tego termometru ekonomicznego rozwoju kraju. Najlepiej wszelako powiadomi nas o tem następująca tabela porównawcza dla Europy i Ameryki.

Długość kolei żelaznych (w milach angielskich).

lata	1850	1860	1870	1880	1881
Cała Europa	14,000	32,000	64,000	105,000	108,000
Stany Zjedn.	9,000	30.000	53,000	94,000	105,000

Stany więc Zjednoczone, mimo swą nader nieznaczną ludność w porównaniu z europejską, posiadają taką samą prawie obfitość kolei żelaznych, co i Europa. W ogóle, związek Stanów Zjednoczonych z dniem każdym pokrywa się coraz gęstszą siecią dróg żelaznych, a w tym rozwoju środków komunikacyjnych spotykamy fakt w Europie niesłychany: w naszej części świata powstaje w pewnej okolicy tylko wtedy droga żelazna, kiedy przeprowadzenie obiecuje odpowiednie zyski, t. j. kiedy okolica sama dosięgła już znacznego stopnia ekonomicznego rozwoju; w Nowym Świecie przeprowadza się kolej i przez zupełnie pustą miejscowość, aby w niej wywołać życie ekonomiczne tak np. przeprowadzenie linii, znanej pod nazwą kolei Pacyfiku, łączącej wybrzeża nadatlantyckie z wybrzeżami morza Spokojnego, nader się przyczyniło do spotęgowania a nawet powstania produkcji zbożowej na „dalekim Zachodzie“ ta zaś

okoliczność wywołała znowu przeprowadzenie nowych linii. Przytem koleje amerykańskie powstają drogą prywatnej inicjatywy; bez subsydjów ze strony rządu, który jedynie nadaje przedsiębiorcom pewną ilość gruntów wdłuż kolei. Wyjątek stanowi tylko jedna kolej Pacyfiku; lecz ta, prócz ekonomicznych względów miała na celu jeszcze inne, daleko ważniejsze, mianowicie zespolenie w jednę całość odległych od siebie okolic Związku i przeszkodzenie ich rozpadnięciu się.

Nie będziemy się atoli wdawali w analizę niebezpieczeństwa zagrażającego Europie ze strony industrji amerykańskiej. Albowiem nie w industrji na dzisiaj spoczywa główne niebezpieczeństwo ze strony Nowego Świata, (nie w tych olbrzymich zakładach przemysłu przerabiającego, nie w fabrykach szewskich i innych), lecz w produkcji ziemiopłodów, w owych że się tak wyrazimy, niesłychanej wielkości „fabrykach“ kukurydzy, pszenicy, nabiału i mięsa, o których zamierzamy nieco szerzej pomówić, gdyż niosą one zagładę europejskiemu rolnictwu i w ogóle wszelkiej produkcji rolnej.

Rozglądając się w stosunkach rolnych Związku amerykańskiego, spostrzegamy tam doskonałą lokalizację przemysłu rolnego. Uprawa pszenicy usadowiła się np. w porzeczu Misisipi lub jej dopływów, zwłaszcza zachodnich i w Kalifornii; to samo uprawa kukurydzy i po części owsa. Jak szybko wzrastają te produkcje, o tem dać mogą pojęcie następujące tablice:

Uprawa pszenicy.

rok	ilość akrów pod uprawą	średnia wydajność z akru	cena jednego buszla	wywóz (pod postacią mąki, ziarna i t. d.)
1872	20,838,000	11,9 buszli	1,24 dolar.	52,014.715 busz.
1874	24,967,000	12,3 „	0,94,1 „	72,912,817 „
1876	26,627,000	10,4 „	1,03,7 „	57,149,949 „
1878	32,108,000	13,1 „	0,77,7 „	150,502,506 „
1880	35,430,000	13 „	0,95,8 „	177,000,000 „

Uprawa kukurydzy.

rok	ilość akrów pod uprawą	średnia wydajność z akru	cena jednego buszla	wywóz (pod postacią mąki, ziarna i t. d)
1872	35,526,836 ak.	30,7 buszli	39,8 dolar.	40,154,274 busz.
1874	41,036,318 „	20,7 „	64,7 „	30,025,036 „
1876	49,033,364 „	26,1 „	37, „	72,652,611 „
1878	51,585,000 „	26,9 „	31,8 „	87,884,892 „
1880	62,368,869 „	28,2 „	40,1 „	98,000,000 „

Cyfry powyższe nader jaskrawo wykazują szybki wzrost odnośnych kultur, a jeszcze szybszy wywozu do Europy, i co ważniejsza ciągłe zniżanie się cen, dla którego, zdaniem znawców, trudno dzisiaj zakreślić granice i które jest warunkiem sine qua non, by zwycięsko wyjść z walki konkurencyjnej na rynku.

Jeśli uprawa zbóż przeważa w środkowej i zachodniej części Związku, to znowu południowe i południowo-wschodnie Stany grożą Europie rywalizacją innego rodzaju. Co do tego punktu posłuchajmy zresztą samego Meyera:

„Cała ta okolica nadmorska, od Filadelfii aż do Florydy, żadną nie grozi konkurencją środkowej i północnej Europie, lecz za to tem więcej zagraża południowym jej krajom, zwłaszcza Włochom, oraz przemysłowi tkackiemu Anglji. Nie masz wątpliwości, że tytoń, cukier, bawełna, owoce i warzywa o wiele taniej tu mogą być produkowane niż we Włoszech, Hiszpanii, Algierze i Egipcie, gdyż gruntów jest co niemiara i prawie za bezcen. (Str. 172.) Zresztą najlepiej uwidoczni się znaczenie tej okolicy, jeśli podamy kilka faktów. Cała Floryda pokryta jest bagnami, stawami i jeziorzyskami, pod któremi znajduje się jak najurodzajniejsza gleba. Potrzeba tylko osuszyć te okolice, by zbierać bogate plony ryżu i trzciny cukrowej. Obecnie powstało w tym celu stowarzyszenie przedsiębiorców z Filadelfii, zamierzające osuszyć a zarazem połączyć kanałami jezioro Okeechobee z Atlantykiem i zatoką Meksykańską, dzięki czemu olbrzymia przestrzeń aż 12 milionów akrów zajętą zostanie pod uprawę trzciny cukrowej. Jednem słowem, na tej przestrzeni większa ilość tej rośliny będzie uprawiana, niż tego wymaga zaspokojenie popytu na cukier ze strony całej Ameryki północnej. Ponieważ jednocześnie Wschodnia Kanada wytwarzać poczyna cukier z buraków, a daleki Zachód z kukurydzy i sorgo, przeto zupełnie słuszną wydaje nam się uwaga Meyera, „że wkrótce nastaną ciężkie czasy dla europejskiego cukrowarstwa“. To samo da się powiedzieć co do produkcji wina; w Texasie i w wielu innych miejscowościach na południu znaczne przestrzenie zdatne są pod winnice, a wątpliwości nie ulega, że Amerykanie zużytkują je wkrótce, jak to widzieć możemy na przykładzie Kalifornii, Indjany i Illinoisu. Wino nie ustępuje europejskiemu, a sprowadzone w 1882 r. do Moguncji znalazło ogólny poklask; nawet szampańskie jest tu fabrykowane, a wina amerykańskie przywożone są w ogromnej ilości do Francji, by służyć do fałszowania francuskich; w 1880 r. z Ameryki północnej wywieziono ogółem do Europy 154,887 galonów wina, wówczas gdy na całej tej przestrzeni wyprodukowano 23,453.000 galonów! I na tem więc polu nowy, straszny rywal występuje do boju!

Wreszcie w Stanach południowych rozwija się nowa a nieznana dotychczas gałęź produkcji, o której odzywa się nasz turysta, że może nader ujemnie wpłynąć na zyskowność uprawy w Europie rzepaku i drzewa oliwkowego. Mamy tu na myśli wyrób w Stanach południowych oleju z siemienia bawełnianego, który wywozi się następnie w olbrzymiej masie do Hiszpanii, Włoch i Francji, a zwłaszcza do Marsylii, gdzie tym olejem fałszują prowensalską oliwę.

Przejdźmy teraz od ziemiopłodów do produkcji nabiału i mięsa. Wśród ferm Stanów Zjednoczonych wyrasta produkcja grożąca zgnieceniem mlecznego przemysłu Szwajcarji i Holandji.

W następującej tabeli podajemy w milionach funtów cyfry wywozu masła i sera ze Stanów Zjednoczonych.

	1871	1873	1875	1877	1879	1881
masła .	3,9	8,6	6,3	21,5	38,2	31,5
sera . .	63,6	4,03	101,0	107,3	141,6	147,9

A więc przez lat dziesięć wywóz masła powiększył się ośm, a sera więcej jak dwa razy!

Produkty te wyrabiają się na wielką skalę w sposób fabryczny, w tak zwany „Dairy-Factory“; gdzie masło wyrabia się za pomocą olbrzymich maszyn odśrodkowych.

Inny znów przemysł amerykański grozi podniesieniem agrarnej kwestji irlandzkiej do drugiej potęgi — jest to hodowla świń. Kiedy spis z 1870 r. wykazuje w Stanach Zjednoczonych 26,751.000 świń, spis ostatni z 1880 r. cyfrę tę podnosi do 44,122,000. W Nebrasce np. ilość świń w przeciągu tych lat 10 powiększyła się o 1989%, w Kanzasie 783, w Jowie 346. W 1880 roku wywieziono do Europy w postaci pekefleiszu, sadła i t. p. 7 i pół miliona świń, t. j. tyle ile ich jest razem w Francji i w Brytanii lub w całych Niemczech, a pod naciskiem tego wywozu ilość nierogacizny w Irlandji spadła z 1.424 na 849 tys. w okresie tylko lat czterech (1876—1880), co znacznie się przyczyniło do rozjątrzenia sprawy irlandzkiej. Te daty starczą za całe tomy rozpraw! Wreszcie w północno-zachodnich okolicach poczynają powstawać olbrzymie przedsiębiorstwa, posiadające po kilka milionów bydła rogatego! Kwestji tej zresztą dla braku miejsca podejmować nie będziemy, a tu tylko na ten fakt wskażemy, którego zresztą czytelnik napróżno szukałby u Meyera, gdyż o wiele świeższej jest daty, że w Kanzasie, Nebrasce, Dakota i innych sąsiednich stanach poczynają

powstawać stowarzyszenia akcyjne w celu hodowli bydła na wywóz. Niektóre z nich liczą po kilka milionów sztuk bydła rogatego, koni, owiec i po kilka tysięcy najmują pastuchów! W obec tego, zbytecznem jest wdawać się w dalsze wykazy wzrostu hodowli bydła i wywozu mięsa.

Poprzestaniemy na powyższych przykładach, nie poszukując innych, aczkolwiek z dzieła Meyera moglibyśmy je czerpać pełną dłonią, że już nie mówimy o zupełnie nieznanych w Europie masowych produkcjach jak np. hodowla amerykańska kwiatów, gdyż i powyższych przykładów wystarczy do wykazania, że Stany Zjednoczone nie tylko europejskiej produkcji zboża niosą zagładę, lecz występują z nią do walki we wszystkich dziedzinach produkcji ziemiopłodów i hodowli bydła. Pod tym względem Związek przedstawia niby olbrzymią szachownicę, w rozmaitych okolicach której usadowiły się różne produkcje wybierające każda najodpowiedniejsze dla się warunki. Lecz taka lokalizacja produkcji i rozmiary wysyłanego przez nią na rynek wytworu nie dają nam jeszcze jasnego pojęcia o wewnętrznym biegu przemysłu, o tem w jaki sposób odbywa się sama sprawa produkcji. Zatrzymamy się więc nieco dłużej nad metodami produkcji choćby w rolnictwie.

Każda gałęź przemysłu amerykańskiego dąży ku temu by być uprawianą na wielką skalę, w sposób fabryczny, i to stanowi wyższość industrji zamorskiej nad europejską. Typy europejskie przybierają za morzem zupełnie odmienną postać. Nawet konserwatywny i „uparty“ chłop Lavelaye'ów, Schäffle'ów i t. d. do gruntu się przeinacza. Weźmy np. drobnego fermera amerykańskiego uprawiającego własnoręcznie swój kawałek gruntu. „Amerykanin przedewszystkiem domaga się, by praca, którą wykonywać musi, była jak najmniej uciążliwą. Wynalazł więc pług, kosę i walce, na których najspokojniej w świecie jedzie sobie! Takie przyrządy, posiadające dogodne na sprężynach siedzenie, a nawet daszek w górze dla osłony od deszczu lub słońca, oglądałem na własne oczy. Na takim wygodnym fotelu siedzi sobie pan - chłop, pali cygaro, czyta gazetę, i jednocześnie orze lub kosi. Inne znów maszyny spełniają kilka naraz robót, np. siewniki - brony mające również siedzenia dla robotnika (str. 627)“. Cóż dopiero musi się dziać na tych „mamutowych fermach“ dalekiego Zachodu, w majątkach takiego Murphy'ego posiadającego 4,000.000 akrów w Meksyku, 60.000 w Newadzie i 23.000 w Kalifornii i który w 1882 r. zebrał z samej Kalifornii 55.000 tysięcy worków pszenicy, a z Newady rocznie wysyła około 6.000 sztuk bydła rogatego!

Zatrzymamy się na opisie jednego z takich większych majątków, mianowicie fermy w dolinie S. Ferdynanda w Kalifornii liczącej 60.000

akrów. Zauważymy atoli poprzednio, że Kalifornia w obecnem swem stadjum nie może dać jeszcze należytego pojęcia o rzeczywistych „fabrykach pszenicy“ dalekiego Zachodu, gdyż dla braku węgla kamiennego niepodobna np. tam było dotychczas zastosować pługa parowego.

Ferma ta podzielona jest na działy po 6.000 akrów, z których 5.000 idzie pod uprawę pszenicy, 200 pod uprawę pszenicy na paszę dla koni (koszą ją kiedy jest zieloną jeszcze), a 300 zasiewa się jęczmieniem. Każdy dział ma swego dozorcę i poddozorcę. Pszenica dojrzewa w maju lub w czerwcu. Ponieważ latem nieznane są tu wiatry ani też deszcze i nawałnice przeto sprzęt czekać może 4 i pół miesięcy, aż do października. Oto jak nasz turysta opisuje tutejsze żniwa: „Olbrzymia przestrzeń, równa i gładka niby stół, cztery angielskie mile kwadratowe powierzchni licząca, zostaje wyłączoną z pola 5.500 akrów, pszenicą pokrytego. Na uboczu stoi parowa młocarnia. Cztery kosiarki („Header“) nierównej wielkości, jedne o promieniu koszenia szesnasto, drugie dwunasto-stopowym, idą za sobą w odległości blizko milowej, obchodząc do koła kwadratową powierzchnię pola.

Maszyny genialnej są budowy, postępują lekko i łatwo poddają sterowi, wymagając 6—8 koni stosownie do rozmiarów promienia koszonej przestrzeni; kosa tnie zboże do różnej wysokości, od 3 cali do 3 stóp, stosownie do ustawienia; zazwyczaj ścina się kłos z 6—8 calami słomy, gdyż pszenica prędzej w takim razie wymłóconą zostaje. Ścięte kłosy padają na odpowiedni przyrząd i przy pomocy odnośnej maszynerji automatycznie są ładowane na wóz obok jadący. Gdy tenże jest pełen, zastępuje go drugi, a tymczasem tamten wiezie pszenicę do młocarni. Za pomocą automatycznych zębatych wideł i 3 malców, pszenica z wozu przenosi się do młócarni, poruszanej za pomocą maszyny parowej, która ogrzewa się wymłóconą już słomą. Młócarnia dziennie wymłóca 900—1.200 worków zboża (w worku 135 funt.) Podział pracy wzorowy; jedno ściśle się wiąże z wszystkiem innem; każdy jest na swem miejscu — nie masz zawiele ani jednego człowieka, ani konia. Mamy tu razem 84 koni, lokomobilę i 34 robotników (3 malców), którzy dziennie uprzątnąć mogą 125 akrów pszenicy, wymłócić 2.500 buszli i odwieźć je na folwark. Zabudowania folwarczne są nader proste.

W inwentarzu tej fermy:

budynki stanowią .	17,5%
inwentarz zwierzęcy	47,5%
maszyny i t. d. . .	35%

Ciekawą rzeczą byłoby porównanie z folwarkiem europejskim. Okazałoby się, że stosunek procentowy w naszej części świata wypada na niekorzyść maszyn. Zastosowanie maszyn i wiedzy technicznej

— oto główna cecha amerykańskiego rolnictwa. Jeszcze lepiej te techniczne znamiona amerykańskiego rolnictwa występują na przykładzie fermy niejakiego Dalrymple'a. Tutaj:

Cała powierzchnia fermy wynosi	75.000 akrów
Pod pszenicą znajduje się . .	30.000
Przy żniwach usługuje . . .	800 mężczyzn
Koni lub mułów	700 sztuk.
Kosiarek automatycznych . .	200 sztuk.
Parowych młócarni	30.
Wagonów które odwożą zboże z pola	75.

Czyż to nie fabryka? O orce na tym folwarku powiadają gazety, że uskutecznia ją cała „armia pługów" („Batterie der Pflügen"). Czytając te opisy, zdaje się że przed nami rozwija się jakaś niepojęta dla nas panorama przyszłości, gdyż przyszłość prawdopodobnie w ten sposób lubo na daleko większych przestrzeniach i z większem jeszcze zastosowaniem techniki będzie gospodarowała.

Lecz wróćmy do fermy S. Ferdynanda. Ponieważ zazwyczaj tnie się kłosy pszenicy zaledwie z 4—8 calami słomy, przeto wiele kłosów pozostaje na polu. Napędza się wtedy na pole stada owiec, a po pewnym czasie podpala ściernisko, a na spaleniźnie sieje się znowu pszenicę podorywując pole dopiero po posiewie.

Pług posiada zazwyczaj 8 lemieszy, i orze w ośm bruzd, pozostawiając za sobą zoraną smugę na 3 cale głęboką i $4^1/_2$ stóp szeroką. Pola się nie bronuje i nie walcuje, a sieje się przez 25 lat z roku na rok. Jeżeli grunt wycieńczać się poczyna, zapuszcza się go na ugór. W początkach akr daje 40, następnie po jakichś latach dwudziestu 12 buszli. Lecz cóż to znaczy, jeżeli już urodzaj 9 buszli z akru opłaca np. w dolinie S. Ferdynanda wszystkie koszta, a przewyżka urodzaju stanowi czysty zysk. W ogóle Amerykanie z Europy grube ciągną dochody. Baron Gudenus, współtowarzysz wycieczki Meyera, porównywał koszta produkcji przenicy na fermie S. Ferdynanda i w Morawii: przyczem się okazało, że omłócenie i zżęcie tej samej ilości pszenicy w Ameryce kosztuje $^8/_{10}$ tego co w Morawii, a cały sprzęt w ogóle od początku do końca, więcej jak w Ameryce. Za to ich fermy nie znają nawozów, renty ziemskiej ani podatków, gdyż te ostatnie dosięgają zaledwie $2\,^0/_0$ wartości plonu; wreszcie rok rocznie sieje się na nich pszenicę i zbiera większą jej masę. Pomimo więc kosztów znacznych, zyski rolników Nowego Świata są olbrzymie w porównaniu z zyskami gospodarzy europejskich. Zresztą oto kilka cyfr (przytoczonych na stronicy 690 u Meyera), odnoszących się do produkcji Kanzasu:

Nazwa właściciela.		Ilość sprzętu z akru.	Koszta producji buszla	Cena targowa buszla na rynkach miejscowych.
Pratt		12	65 centów	90—100 centów
Redfield		15	30 „	75—100 „
Mackenroth	w 1876	10	68 „	95 „
	„ 1877	15	45 „	85 „
	„ 1878	20	34 „	65 „
	„ 1879	25	27 „	75 „
Hrabstwo Butler		15	60 „	około 100 „

Widzimy więc, że w miarę wzrostu wydajności gleby koszta producji jednego buszla się zmniejszają; lecz jeżeli już 12—15 buszli z akru dają pewien pokaźny zysk, to cóż mówić o dalekim Zachodzie, gdzie z akru otrzymujemy buszli 40. Następnie im większa ferma i systematyczniejsza uprawa, tem większymi są zbiory, a zyski dochodzą do 100 a nawet 200 na sto.

Powyższy ustęp daje nam pojęcie o zyskach z uprawy pszenicy. Meyer powiada dalej, że drobny fermer, własnoręcznie pracujący na swem polu, może sprzedać buszel z dobrym już zyskiem za 30 centów. Lecz taki fermer inaczej postępuje niż chłop europejski, umie on wyczekiwać stosownej chwili i spekulować. Gazety amerykańskie, które prenumeruje, codziennie drukują telegraficzne sprawozdania o cenie zboża w Liverpoolu, New-Yorku i Chicago; fermer zaś znając dobrze koszta przewozu od swej fermy do Chicago np., wybiera najodpowiedniejszą chwilę, zbywając wtedy zboże komiwojażerom wielkich firm.

By wykazać, że producenci amerykańscy, sprzedając w Europie swe wytwory po cenach tutejszych, nic na tem ze swych zysków nie tracą, co stanowi rzecz najważniejszą w konkurencyjnej walce, przytoczymy jeszcze jeden niewielki rachunek, odnoszący się do wywozu mięsa (z rachunków firmy Eastman, trudniącej się wywozem mięsa do Europy). Wspomniana firma wysyła do Europy z woła jedynie cztery ćwiartki; skóra, tłuszcz, krew i t. d. pokrywają wszystkie wydatki na szlachtuz; 3 cent. (a nawet 1,14 cent. zdaniem Meyera) pokrywają wszystkie koszta i wydatki przewozu funta mięsa do Anglji, a nadto dają już zwykły zysk z przedsiębiorstwa; ponieważ zaś sprzedaż funta po 8½ centa w New-Yorku jest już nader zyskowną przeto przy cenie londyńskiej 11½—12 centów za funt, mięsiwo amerykańskie z korzyścią może konkurować z mięsiwem europejskiem.

Dla producentów amerykańskich głównym warunkiem możności konkurowania z Europą na rynkach tej ostatniej, jest taniość transportów. Amerykanie zrozumieli to dobrze i wskutek tego ich koleje żelazne

acz nienajlepsze, funkcjonują najodpowiedniej do swego celu. Taniość przewozu jest wynikiem długiej i uporczywej walki, która dotąd trwać nieprzestała, a której przebieg uwidocznia najlepiej następująca np. tabela:

Ruch i koszta na milę angielską na drodze Chicago-Filadelfia (w centach amerykańskich). *)

rok	taryfa	koszta	zysk	taryfa	koszta	zysk	przewieziono tonn (w 10)	osób w setkach
	od tonny frachtu			od jednego pasażera			na milę	
1858	2,18	1,29	0,89				162,121	
1860	1,95	1,17	0,78				215,062	
1862	2,4	1,7	0,97				376,195	
1864	2,46	1,85	0,61	2,62	1,91	0,71	420,627	146,837
1866	2,28	1,8	0,48	2,83	2,44	0,29	513,102	139,085
1868	1,91	1,22	0,69	2,71	2,5	0,21	675,775	133,198
1870	1,55	0,97	0,58	2,49	1,94	0,55	825,979	150,850
1872	1,416	0,858	0,558	2,45	1,77	0,68	1,190,144	173,824
1874	1,255	0,719	0,536	2,43	1,6	0,83	1,372,566	174,959
1876	0,892	0,582	0,31	2,862	1,029	0,833	2.629,742	388,312
1878	0,918	0,483	0,435	1,357	1,793	0,562	1,732,003	142,036
1880	0,88	0,474	0,406					

Przed kilkunastu laty wytworzyły się kartele wśród przedsiębiorstw dróg żelaznych,przerzynających porzecze Misisipi, i rozszerzyły się na dalsze przestrzenie. Urzędy towarzystw kolejowych społem układały taryfy, dzieliły się zyskami — jednem słowem pozostał monopol kolejowy, dowolnie nakładający taksę i znoszący wszystkie zbawienne skutki konkurencji. Przeciw tym nadużyciom zawiązała się „Granger-leagne“, t. j. liga fermerów z Zachodu w celu wywalczenia niższej taksy, wdało się w to i prawodawstwo Stanów pojedynczych, drogą sądową zmuszając „króli kolejowych“ do ustępstw; nadto uradzono w Sejmie uregulować bieg Misisipi na co wydano w okresie 1873—1884 r. 106 mil. dolarów, uprzystępniając drogę wodną dla zbytu produktów z 800 milj. akrów gruntu podatnego pod uprawę.

Wreszcie poczęły powstawać z rozwojem rolnictwa na Zachodzie inne drogi żelazne, konkurujące z kartelami, a skutkiem tego wszystkiego był wybuch walki konkurencyjnej między zsolidaryzowanemi drogami

*) Pomieszczamy rubrykę dającą ogólną sumę przewozu, by wykazać szybki wzrost przewożonego frachtu, będący z jednej strony wynikiem, z drugiej znów skutkiem obniżenia taryfy.

i rozpadnięcie się częściowe kartelów. Odtąd taryfa z każdym rokiem się obniża. A o napięciu takiej wzajemnej konkurencji dać może pojęcie choćby geneza elewatorów zbożowych, do budowania których koleje zostały zmuszone konkurencją ze strony statków zbożowych, chodzących po kanale Erie, i po pierwsze przewożących taniej niż koleje (co zmusiło zarządy dróg żelaznych do zniżenia taryfy), powtóre służących za małem wynagrodzeniem jako śpichlerze pszenicy w portach. Kupiec przewożący zboże na tych statkach zaoszczędzał koszta, jakie pochłonęłoby wyładowywanie ze statków do śpichlerzy. By to samo uczynić na kolejach, co uczynił jeden taki statek, zarząd zmuszony byłby trzymać na uwięzi na dworcu 20 wagonów, i to po tygodniu i więcej; przy tym olbrzymim handlu zbożowym, jaki prowadzi Ameryka z Europą, trzeba byłoby więc tysięcy takich wagonów! Gdzież tu znaleść na to miejsce? a jednak wypadało coś przedsięwziąć by nie zostać zmiażdżonym w walce konkurencyjnej ze statkami. Oto geneza elewatorów, które stanowią zaiste jeden z cudów przemysłu zbożowego amerykańskiego — w godzinę np. na okręt ładuje się z nich 25.000 buszli pszenicy, lubo ładuje się odrazu kilka okrętów.

Pod bezustannem działaniem takiej konkurencji wciąż zniża się taryfa kolejowa; co kolej traci na jednostce miary, to powetować może na ilości takich jednostek, jak to widzieć możemy na tabeli kolei Chicago-Filadelfia, czego europejskie koleje robić nie mogą. Taka sama rywalizacja istnieje też między okrętami, czego dowodem jest następująca tabela:

Koszta przewozu 100 funt. pszenicy do Liverpoolu.

rok	z New-Yorku	z Filadelfii	Bostonu
1877	22,9 cent.	26,9 cent.	23,8 centów
1878	25,1 „	28,2 „	20,0 „
1879	20,6 „	24,2 „	19,0 „
1880	19,7 „	21,2 „	

Jak więc widzimy, koszta przewozu wytworów amerykańskich zmniejszają się z każdym rokiem, a więc z roku na rok zwiększa się niebezpieczeństwo dla Europy. Przyszłość zaś wróży jeszcze większą i pono niesłychaną dotychczas zniżkę taryfy: ukończenie regulacji Misisipi i przekopanie kanału Panamskiego, umożebniającego większy dowóz ziemiopłodów kalifornijskich ciężko odbiją się na taryfach kolejowych

Ameryki, a jeszcze ciężej na przemyśle europejskim. A co się tyczy Europy, o ile możemy zajrzeć w przyszłość, prędzej spodziewać się możemy podwyższenia niż zniżenia taryf, państwa europejskie nakładają bowiem coraz nowe ciężary na koleje, by podreperować swe budżety, nadszarpane przez militaryzm i drogą administrację, niszcząc zarazem wszelkie środki ochronne w walce z konkurencją amerykańską i oddając Europę na łup zamorskich spekulantów.

Przejdziemy teraz jeszcze do jednej instytucji amerykańskiej, o jakiej Europie ani się śniło. Jest to ministerstwo rolnictwa, założone w 1883 roku, a dość zapoznać się z funkcjonowaniem tego ministerstwa, by zrozumieć, jak usilnie Związek stara się o usunięcie wszelkich przeszkód na drodze rozwoju krajowego rolnictwa.

W różnych okolicach Związku rozsiani są korespondenci (w liczbie 4.000 do 6.000), ludzie kompetentni, którzy co miesiąc są obowiązani zdawać sprawę ministerstwu ze stanu rolnictwa w swej miejscowości; w Londynie znowu znajduje się centralne biuro statystyczne, obowiązane do śledzenia za rozwojem produkcji ziemiopłodowej w Europie i wskazywania przemysłowi krajowemu, jakie ziemiopłody byłoby najzyskowniej uprawiać; minister zaś rolnictwa co miesiąc wydaje orędzia, powiadamiające rolników amerykańskich o stanie urodzajów w różnych stanach Związku oraz w różnych krajach Europy, jako też o widokach na rok przyszły. Na całej przestrzeni porzecza Misisipi są zbudowane wieże, które dzięki wskazówkom stacji meteorologicznych, oraz temu że na tej równinie na kilka a nawet kilkanaście dni naprzód można przepowiedzieć pogodę, zawiadamiają rolników odpowiednimi sygnałami o nadchodzącej zmianie w atmosferze. W dalszym ciągu ministerstwo rozsyła bezpłatnie osobom doń się zwracającym, próbki nowych lub lepszych gatunków zboża, warzywa i t. d. W roku fiskalnym 1881/1882 rozesłano takich próbek aż 2,396,476! Nie ma co już mówić o różnych wystawach, muzeach, stacjach chemicznych, zakładach weterynaryjnych, biurach dla studjowania uprawy winnic, dla doświadczeń nad nowemi metodami gospodarowania i t. d., bo nie prędko skończylibyśmy.

Dotknęliśmy jedynie niektórych stron rolnictwa amerykańskiego, nadających mu przewagę nad gospodarstwem europejskiem. O wielu innych zamilczamy. Trzeba niezapominać przedewszystkiem, że Stany Zjednoczone nigdy nie były mocarstwem politycznem, lecz ekonomicznem. Militaryzm europejski jest tu nieznany, administracja wszelka do najwyższego stopnia uproszczona i tania, podatki bajecznie małe, a wszystko to posiada dla przemysłu zamorskiego wielkie znaczenie. Były czasy, że w Europie przypuszczono możność rozpadnięcia się Związku na dwa wrogie sobie mocarstwa: zachodnie i wschodnie i zjawienie się tam wskutek

bratobójczej walki europejskiego militaryzmu i podatków. Liczono też, że dzięki zaiste wyuzdanemu gospodarowaniu Yankesów grunta się wkrótce wyniszczą i wyczerpią, lecz nadzieje te pochodziły z niedostatecznej znajomości tamecznej gleby. Niech wolno nam będzie zacytować słowa Meyera: „Przypuszczenie że olbrzymie te przestrzenie mogą być wyniszczone przez dwa następne pokolenia, jest wprost niemożliwem, nawet i w takim razie, gdyby pod uprawę zajęto wszystkie grunta“ (str. 36). Jak niepodobna rachować na prędkie wyczerpanie gleby amerykańskiej, dowodzą tego liczne i nieomal bajeczne przykłady. Lord Silkirk np. założył kolonią rolną nad rzeką Czerwoną jeszcze w 1812 r. na której siano przez lat 70 rok rocznie pszenicę bez nawozu, otrzymując z akru 27½ do 30 buszli. O stanie Illinois Meyer przytacza słowa dyrektora tamtejszego urzędu rolniczego, że, „im więcej wkładamy w grunta kapitału i pracy, tem większa jest wydajność z akru i tem mniejsze są koszta produkcji buszla pszenicy i kukurydzy“ (str. 637). Co za szkoda, że Malthus spoczywa już w grobie! O porzeczu rzeki Czerwonej nasz turysta powiada: „Gleba tutejsza jest zaprawdę cudem urodzajności i pozostanie taką przez wiele pokoleń. Przy najwyuzdańszem albowiem gospodarowaniu, bez nawozu, można przez lat 50 bogate otrzymywać zbiory“. W innem znów miejscu odzywa się o Texasie: „Urodzajność gruntu jest taką, że nie ma co myśleć na dzisiaj o jakichbądź nawozach; przy długiem zaś lecie nie tylko jeden, lecz trzy z tego samego gruntu można mieć sprzęty“ (str. 233). Lecz dość tej litanii, będącej zaprawdę bez końca. Zresztą nie można zapominać i o tem, że, aczkolwiek w mniej ludnych okolicach „dalekiego Zachodu“ wyczerpuje się bogactwo gleby w sposób najnieopatrzniejszy, to znowu w ludniejszych nawożenie jest na porządku dziennym. Na nawóz używają się tu różne substancje: krew zaszlachtowanego bydła, wysuszona i następnie zmielona na proszek oraz inne odpadki od mięsa i szkieletu, mąka z ziarna krzaku bawełnianego, i wiele innych. Nawet w Zachodnich Stanach poczynają używać nawozów sztucznych, a do ich wyrabiania istnieją całe szeregi specjalnych fabryk (str. 171.); produkcja zaś jest nader mało kosztowną, ponieważ prowadzi się jako poboczny proceder przy olearniach, szlachtuzach i t. d. Wreszcie ci, co wyrokują o blizkiem wycieńczeniu gleby amerykańskiej, zapominają, że nader mało pola zajęto dotychczas pod uprawę i że niezmierzone i o wiele większe jeszcze przestrzenie czekają na pług i na ręce!

Mówiąc o porzeczu rzeki Czerwonej, nasz turysta na zasadzie udzielonych mu szczegółów powiada, że, jeśli ludność będzie tutaj wzrastała w tym samym co dotychczas stosunku, tedy za lat 8—10 tyle sprzątać może pszenicy, ile to obecnie czyni cały Związek Stanów Zjednoczonych!

Rozpatrując stosunki Texasu, odzywa się znowu, że terytorjum to więcej może produkować bydła i pszenicy niż Niemcy, Holandja, Belgja, Dania i podwojona Szwajcarja razem. Nie ma więc co się łudzić nadzieją, że Świat Nowy wkrótce ustąpi ze sceny; wypada się raczej spodziewać jeszcze potężniejszej produkcji.

Zresztą nie ma co myśleć, że ceny pszenicy i innych ziemiopłodów amerykańskich będą się bezustannie zniżały. „Osłabiwszy produkcję europejską i zapewniwszy sobie rynek europejski, amerykanie przez spekulację podnoszą ceny, trzymając wytwory w składach i tyle tylko wysyłając na rynek, by ceny na pożądanej wysokości utrzymać.“

Dla poparcia tej myśli niech nam wolno będzie przytoczyć przykład wzięty ze sfery handlu tak podatnym zepsuciu produktem jak świnina. Jesienią 1879 r. pewna spółka (Armour et Cnie) urządziła zwyżkę na cenę pekefleiszu, zyskując na tem dwa miljony dolarów i chociaż przy powtórnej próbie poniosła stratę 3 milj. dol., nie tracąc jednak animuszu, urządziła wszędzie a zwłaszcza w Europie agentury, by zapewnić sobie na wszelki wypadek rynek zbytu, i wykupiła wszystek pekefleisz z całego Związku (250.000 beczek), a nadto „opcje“ na okres od czerwca do października za 1,250.000 beczek. Mięso to rozesłano po całym świecie, tak iż jesienią 1880 r. w Chicago — tej stolicy handlu świniną — niepodobna było spożywcom dostać pekefleiszu. Armour na tym interesie zarobił 7 milj. dol.! Jeśli coś podobnego dzieje się ze świniną, tedy co mamy mówić o pszenicy, kukurudzy i innych wytworach nie tak łatwo poddających się zepsuciu? Przytoczymy jeden przykład z tysiąca: Latem 1881 r. w Chicago, ze względów spekulacyjnych, trzymano w spichlerzach pszenicę, w skutek niespodziewanego gorąca 3 miljony buszli pszenicy się zepsuło! Zmielono ją jednak na mąkę... W obec tych wypadków wątpliwości nie podlega, że zrujnowawszy Europę, amerykanie będą z nią postępować dowolnie, urządzając perjodycznie „zwyżki“ i „zniżki.“ W tych spekulacjach drobniejsi przedsiębiorcy będą ginąć, a produkcja ześrodkowywać się będzie w mniejszej ilości rąk, lubo z drugiej strony przeciętna cena produktów bezwarunkowo się obniży. Lecz za to, kto je będzie nabywał?...

Tyle co do Ameryki.

Konkurencja jej zapowiada konkurencję innych krajów zamorskich. Weźmy np. choćby produkcję zbożową. W jednej tylko miejscowości Kanady, mianowicie w Manitoba, znajduje się więcej gruntu pszennego niż w całej Europie z wyjątkiem Rosji, a według posła Stanów Zjednoczonych w Kanadzie, znajduje się co najmniej dwie trzecie pszennej gleby całej Ameryki północnej; czeka ona jedynie na większą ludność i na kapitały europejskie, by wystąpić do rywalizacji. Zresztą dziś o Ka-

nadzie jeszcze nie słychać na rynku europejskim, lecz za to coraz głośniej zaczynają tam wspominać Indje przedgangesowe i Australję. Indje to swym debiutem w 1880 r. wywołały ów pierwszy w dziejach handlowych kryzys zbożowy w skutek nadprodukcji pszenicy, podczas którego fermer dalekiego Zachodu musiał ziarnem pszennem opalać piece. Zresztą najlepiej nas poinformuje następująca tabela:

Procentowy stosunek przywozu pszenicy do Europy.

r o k	ze Stanów Zjedn.	z Indyj przedgan.	z Australji
1868	31	0·7	0·6
1872	40·7	0·8	1·1
1876	37·52	9·2	3·8
1880	57	5·8	5·8
1884	57	14·5	2·7

Indje czekają jedynie lepszych dróg komunikacyjnych, a Australja i Nowa Zelandja przekopania kanału panamskiego. Świat handlowy zaczyna też przebąkiwać o Rzeczypospolitej Argentyńskiej, o Chili.... Co więcej, wówczas gdy pszenica angielska daje jedynie 65% mąki, amerykańska przynosi 72% a indyjska $77\frac{1}{2}$—80%. Lecz na pszenicy nie kończy się ta konkurencja! Nie będziemy tu dotykali oklepanej wieści o wzrastającej w Kanadzie i Australji hodowli bydła i wełny i wielu innych produkcji; natomiast potrącimy o cukrowarstwo. Powyżej mówiliśmy już o tem, wspominając o olbrzymiem przedsiębiorstwie w Florydzie, które ma nadzieję całą Amerykę zaopatrywać w cukier trzcinowy. Zdaniem naczelnika biura rolniczego w Waszyngtonie: „Przemysł cukrowarski jeżeli będzie tak szedł na przyszłość jak w latach ostatnich, to za lat cztery Związek nietylko swe potrzeby będzie zaspokajał, lecz pomyśli też o wywozie.“ Zresztą hodowla buraków jest na Amerykę zazbyt intensywną, lecz za to biorą się tu do uprawy innej cukrodajnej rośliny (sorgo), która wymaga o wiele mniejszych nakładów niż uprawa buraków i większe daje widoki. Jeśli próby usunięcia technicznych trudności wyrabiania z niej cukru uwieńczą się skutkiem dodatnim, to sorgo wyruguje prawdopodobnie uprawę buraków jako nieopłacającą się, a cukier spadnie do bajecznie niskiej ceny, jak to miało miejsce z cukrem trzcinowym przy wprowadzeniu produkcji buraków.

Ciężkie więc czasy czekają Europę, i to tem cięższe, że konkurencja zamorska nie ogranicza się do ziemiopłodów, lecz rozciąga się też na wytwory przemysłu przerabiającego. Anglja poczyna bankrutować na

przemyśle bawełnianym z powodu konkurencji fabryk bawełnianych Indyj przedgangesowych, gdzie one od lat kilku wyrastają jak grzyby po deszczu. Kraj ten obecnie odbiera Anglji rynki azjatyckie. To samo da się powiedzieć o Japonji, w której przemysł rozwija się bajecznie szybko, że już ani słowa nie rzekniemy o Stanach Zjednoczonych. Wynikiem tego wszystkiego jest przemiana dotychczasowych kryzysów perjodycznych handlowych w jedno nieustające przesilenie i gwałtowna zniżka wszelkiego rodzaju renty europejskiej. Nie będziemy się zatrzymywali nad narzekaniami rolników niemieckich, francuskich i angielskich, których echa odbiły się aż o sklepienia parlamentów żądaniem ceł ochronnych, gdyż jest to fakt powszechnie znany; natomiast chcielibyśmy zwrócić uwagę na ową emigrację kapitałów, jaka znajduje się teraz na porządku dziennym w Anglji. Przysłowie powiada, że z zagrożonego okrętu szczury pierwsze się wynoszą; to samo moglibyśmy o kapitałach wyrzec, których masowa i bezpowrotna ucieczka z kraju zwiastuje rychłą ruinę ekonomiczną. Meyer utrzymuje, że cyfra kapitalistów, emigrujących z Europy do Nowego Świata, z każdym rokiem się zwiększa. W „Revue de deux Mondes“ w pierwszym kwartale roku zeszłego drukował się artykuł „o przesileniu zbożowem we Francji i Anglji“; autor wykazuje, że fermerzy angielscy i belgijscy tłumnie opuszczają ojczyznę, udając się ze swymi kapitałami za morze, by szukać tam lepszej doli. Wiele ferm w Anglji obecnie stoi pustkowiem, a wszędzie dzierżawna renta uległa znacznemu obniżeniu, wynoszącemu 15 do 25 i więcej procentów. Wielu landlordów jeszcze bardziej obniża rentę, by tylko dzierżawców nadal zatrzymać; lord Bedford np. zmiejszył ją nawet o 50% pod tym atoli warunkiem, zastrzeżonym w kontrakcie, że dzierżawcy z ferm się nie ruszą! Z tą kwestją emigracji rolników związana jest ściśle sprawa unarodowienia gruntów w Anglji, sprawa wprost w interesach landlordów spoczywająca, gdyż indemnizacja ze strony państwa stanowi jeszcze dla nich wygraną w porównaniu z tem bankructwem, które sprowadzić może konkurencja zamorska; tymczasem na wszelki przypadek spieszą oni zaopatrzyć się w majątki ziemskie za morzem, zkąd już obecnie pokaźne ciągną dochody, w całości obracając je na zakupno nowych gruntów w Ameryce. Nie przesadzimy, mówiąc, że za lat 8—10 kapitaliści angielscy a zwłaszcza landlordowie więcej będą pobierali renty ziemskiej z Ameryki północnej niż z Anglji, Szkocji i Walji razem (str. 672). Równolegle do takiej emigracji kapitałów postępuje emigracja rąk roboczych a zwłaszcza fachowych. A tego właśnie tylko potrzeba Ameryce! W ten sposób, lordowie ziemscy W. Brytanji, pod naciskiem konkurencji zbożowej, biorą się do rolnictwa w krajach zamorskich, wzmagając konkurencję przyspieszającą ich ruinę w Europie; to samo

czynią angielscy „królowie bawełniani“ i inni kapitaliści. Jednem słowem, hasłem obecnej sytuacji w Anglji jest emigracja kapitałów za morze.

Lecz cóż ma począć w obec tego ląd stały Europy? Meyer mniema, że dla wielu majątków, zwłaszcza dla gruntów małourodzajnych, znalazł wyjście. Posłuchajmy, bo wniosek nader dobitnie charakteryzuje obecną sytuację. W obec wyuzdanej gospodarki amerykanów wkrótce z powierzchni tego kraju znikną losy budulcowe lub do tyla się zmniejszą, że budulec wysoko podniesie się w cenie. Jeśliby więc właściciele ziemscy Europy zechcieli obecnie mniej żyzne grunta swe pod las zapuścić, za kilka dziesiątków lat znaczny mogliby mieć dochód, znaczniejszy w każdym razie, niż z jakiejkolwiek innej hodowli... Inni znów marzą o ogólnoeuropejskim związku celnym, któryby ochraniał nas w obec bajecznego rozwoju produkcji amerykańskiej, o zreformowaniu naszego ogólno-konstytucyjnego ustroju państwowego w ustrój „reprezentacyj zawodowych“ (Berufsstaat) i t. d. Lecz ci panowie zapominają, że, aby zorganizować taki związek europejski, trzeba, aby w Europie zapanował pokój między mocarstwami — mrzonka, o jakiej może marzyć ideolog! Inni znowu marzą o związku celnym mniejszych rozmiarów, ogarniającym li tylko Austrję i Niemcy, inni znów o zupełnej izolacji Europy od reszty świata, chcąc barjerami celnemi i komorami niby murem chińskim zabezpieczyć ją od lawin zamorskich. Lecz na to wszystko możemy odpowiedzieć, iż niemasz tak wysokiej taryfy celno-ochronnej, którejby nie podkopał produkt, wytwarzany przy środkach produkcji reprezentujących większą wytwórczość. Napróżno miasta zeszłego stulecia ogradzały się rogatkami celnemi przeciw wyrobom fabrycznym wolnego od cechów przemysłu — poddać się w końcu musiały. Gdzie walczą dwie warstwy, reprezentujące różny stopień wytwórczości, tam niemasz wątpliwości co do ostatecznego rezultatu walki: zwycięża większa wytwórczość. To samo da się powiedzieć o Europie względem zamorza. Granice i związki celne mogą jedynie odroczyć stanowczą chwilę i agonię przedłużyć... Jak w Anglji w wiekach średnich, dzięki różnym pętom i okowom, punkt ciężkości ekonomicznej z miast cechowych przeniósł się na wolne od ustawy cechowej terytorja, tak samo rozwój sił ekonomicznych, doszedłszy do pewnego rozkwitu w Europie, nie znajdując w niej nadal podatnych dla postępu warunków, przenosi swój punkt ciężkości do Nowego Świata..

Naszem zdaniem wątpliwości nie ulega, że w krótkim czasie, jeśli nie zajdą jakieś nieprzewidziane wypadki, Europa znajdzie się ze względu na dostawę artykułów żywności zupełnie na łasce Nowego Świata. Jakież będą tego skutki? Przedewszystkiem kryzysy handlowe.

Lafargue,*) w swych studjach nad amerykańską konkurencją zbożową, wypowiada zdanie, że jak ongi w wiekach średnich zdarzały się głody z niedoboru środków spożywczych, tak teraz czekają nas one z nadmiaru tychże. Wskutek bowiem nadmiaru produkcji następować będzie przepełnienie rynku i, co zatem idzie, nadmierna zniżka cen; ta ostatnia znowu okoliczność powstrzyma dalszą produkcję pszenicy, zwężając ją do mniejszych granic, aż dopóki nadmiar ten nie wyprzeda się lub nie zgnije; oczywiście na tem ucierpią spożywcy, którzy będą musieli przepłacać wtedy przenicę, spożywać zepsutą lub głodzić się. Z powodu wynikającej ztąd zwyżki ze zboża, nastąpi nowe rozszerzenie sfery produkcji i nowy jej nadmiar itd. Przepowiednię Lafargue'a możnaby uważać za przesadzoną; lecz że wahania cen, w razie zależności Europy od Ameryki, odbywać się będą w nader wielkich rozmiarach, względem których obecne zniżki i zwyżki są tylko igraszką i że wskutek tego wynikną częściowe niedobory żywności, o tem przekonywują liczne objawy. Wszystkie bowiem produkty Nowego Świata porwane zostały odmętem spekulacyj giełdowych. Mówiąc o spekulacjach, Mayer czyni uwagę à la Lafargue: „Spekulanci nie mogą na długo utrzymać o wiele wyższych cen nad normalną, lecz mogą to uczynić przez kilka miesięcy, sprowadzając za każdą razą olbrzymie wahania w cenie artykułów, stanowiących najgłówniejsze pożywienie biednej i zarazem większej części ludności krajowej — tej masy, której zarobek nie dotrzymuje kroku niespodziewanemu wzrostowi cen i która w okresach zwyżki będzie musiała częściowo morzyć się głodem, co sprowadzić może chorobę i śmierć."

Nie będziemy dalej zapuszczali się w złudną krainę ekonomicznych czarów. Te kilka dat statystycznych', jakie czytelnik odnajdzie w naszym artykule, wykażą mu, dlaczego rolnictwo nasze, z powodu konkurencji zbożowej, w ciężkiem znalazło się położeniu i rzucą światło na wartość środków proponowanych dla zażegnania niebezpieczeństwa. *K.*

---

*) O konkurencji amerykańskiej według Lafarg e'a pisał Krusiński w „Dodatku" do Prz. Tyg. w r. 1884 Jest to najlepsza praca w tej kwestji, jaką posiada nasze piśmiennictwo.



PRZYCZYNEK DO WYJAŚNIENIA SKUTKÓW UCISKU PRZEKONAŃ RELIGIJNYCH

przez B. W.

Literatura socjologiczna, obfitująca w badania wszelkiego rodzaju ograniczeń sfery prawa, nie posiada niemal wcale odpowiedzi na pytanie jakie następstwa zachodzą w psychicznym i socjalnym rozwoju w razie pogwałcenia prawa swobodnego wyznawania religii. Pomijanie przedmiotu, mającego tak liczne karty w literaturze opisowej, nie da się przypisać subjektywnym właściwościom badaczy zjawisk społecznych, a tem mniej da się to przypisać objektywnym cechom samej kwestji, której stopień ważności jak i każdej innej, dopiero przez badanie określonym być może.

Źródłem milczenia zdaje się być ta okoliczność, że najżywotniejsze prądy naszych czasów nie objęły jeszcze całości humanitarnych zagadnień epoki, a z drugiej strony, że adepci liberalizmu, krórzyby za swobodę myśli walczyć powinni, nie czując na sobie samych żadnego ucisku, nie troszczą się wcale w tym względzie zarówno jak i w innych, o interesy masy stojącej poza ich obrębem. Nie z innego to źródła płynie niechęć odróżniania dwóch zupełnie odmiennych kwestyj, z których jedna dotyczy stosunku religii do nauki, druga narzucania pewnej religii w zamian innej. A jednak powikłanie pojęć i niewyrobiona miłość wolności, nie przechodząca granic osobiście drogich przekonań, mogą być tylko probierzem spekulacyjnego i etycznego poziomu liberalizmu, ale nie mówią nic zgoła o ważności nieodczuwanej kategorji zjawisk, a temsamem o logicznych pobudkach systematycznego jej pomijania.

Tosamo z małemi odmianami co o stanowisku literatury powszechnej możnaby powiedzieć o nastroju opinji publicznej. Na dnie apatji kryje się rozluźnienie węzłów solidarności społecznej. Krzywdy najcięższe, kwestje najbardziej palące zdają się poruszać tych tylko, których dotykają bezpośrednio!

W niniejszym szkicu ograniczymy się drobną zaledwie cząstką przedmiotu, objętą ramami sprawy unickiej. Zrozumiałą jest rzeczą dlaczego nie bierzemy jakiegoś epizodu zamierzchłej przeszłości, lecz wypadki świeżo zapisane w pamięci naszego narodu; dość powiedzieć, że skutki prześladowania długo jeszcze trwać będą, samo prześladowanie

acz w słabszem natężeniu istnieje nieprzerwanie, a liczne symptomaty zdają się zapowiadać nowe i gwałtowne jego wezbranie. [1]) Postarajmy się więc zdać sobie sprawę czem jest ten czynnik w naszej historji?

Z pośród licznych i pokrewnych sobie faktów, rzucających światło na genezę swobody i warunki jej niknięcia, zasługuje na szczególną uwagę ta okoliczność, że ilekroć jakiś ujarzmiony naród w orężnej walce swe siły wyczerpie, tylekroć zwycięzcy korzystając z jego niemocy dażą do wydarcia praw uprzednio przez siebie gwarantowanych. Fakt ten stale się powtarzający we wszystkich kierunkach życia narodów daje się prześledzić również i w sprawie wolności sumienia w Polsce porozbiorowej. Prześladowania snują się wprawdzie nieprzerwanym wątkiem, ale ich natężenie wzmaga się po każdem niepowodzeniu zbrojnego wysiłku. Wystarczy pobieżny rzut oka na losy unickiego wyznania.

Traktatem z dnia 18. września 1773 r. Katarzyna II. w imieniu swojem i swych następców zapewniła „stosownie do zaprowadzonego w Rosji systemu tolerancji" zupełną na wieczne czasy wolność wyznania łacińskiego i unickiego obrządku. Po Kościuszkowskiem powstaniu w 1796 r. podeptano ów traktat targnięciem się na prawa 8 miljonów unitów — po raz pierwszy; rychło po upadku listopadowego powstania i zaraz po wytępieniu rozkrzewionej na Litwie i Rusi „Konarszczyzny" — po raz drugi; w ślad za złamaniem ostatniego powstania — krwawymi gwałtami na Podlasiu — po raz trzeci.

Prologiem ostatniego aktu prześladowań były ukazy (wydane między rokiem 1863 i 67, a w części między 1830 i 63)ześrodkowujące władze nad unickiemi sprawami w rękach rządu i otwierające drogę do wyrobienia w duchowieństwie uległości prostą manipulacją usuwania elementów opornych i dobierania podatnych. Z chwilą, kiedy galicyjskie świętojurstwo dostarczyło rządowi rosyjskiemu potrzebnego narzędzia, akcja mogła być rozpoczęta. Toczyła się ona zrazu lękliwie i zwolna, potęgując się stopniowo, wzorem każdej usystematyzowanej represji, która zażegnywuje widmo oporu, licząc się z faktem „że wrażliwość na ucisk nie wzrasta w tym samym absolutnie stosunku, co i sam ucisk, lecz odpowiednio do stosunku pomiędzy zwiększeniem a całą masą ciążącego nad ludem ucisku." [2]) Nie będziemy śledzić tej akcji w chronologicznym jej przebiegu; w każdym jednak razie zanim przejdziemy do skutków jej

---

[1]) Niektóre w tej mierze wskazówki znaleść można w komunikatach Raperswylskich „Compte rendu de l'oeuvre d'assistance des pretres polonais exilés en Sibérie.

[2]) Lange. Kwestja robotnicza. Wyd. „Przeglądu Tygodniowego".

rozwoju musimy zestawić fakty zewnętrzne, które stanowiąc ich bezpośrednią przyczynę ilustrują z jednej strony działalność rządu i stopień natężenia użytych środków, z drugiej — zachowanie się ludu.

Represja wywierana nad unitami w ciągu całego okresu nawracania dosięga najwyższej miary w roku 1874, gdy odstępcze duchowieństwo dostało upoważnienie wolą carską „użycia wszelkich środków,“ przeciwko bezbronnemu ludowi. Jak dalece krwawemi zgłoskami musiało wypisać się owo upoważnienie w pamięci ludu przekonywa jedna ze scen nawracania, którą przytaczamy jako charakteryzującą dosadnie zachowanie się ludu. [1]) Gdy chciano w Drelowie, wsi Radzyńskiego powiatu zająć cerkiew na użytek prawosławnego obrządku, a lud otoczył ją gromadnie, nie myśląc o rozejściu się, wydano rozkaz wojsku uderzyć nań białą bronią. „Lud sądząc, że dowódzca oddziału nie ma prawa ich mordować, jeżeli zamienia broń palną na sieczną, nastawił się do oporu, porwał za kije, koły i kamienie i zmusił wojsko do odwrotu, wyrywając mu karabiny i obracając przeciwko niemu zdobyte bagnety.“

Upłynęło kilka godzin zanim na zapytanie: co robić? odebrano z Petersburga lakoniczną odpowiedź: „wymordować wszystkich“ (pierebit’ wsiech). Minęła chwila, a za cenę krwi zabitych i rannych lud przekonał się, że na wykonawców woli rządu istotnie przelano nieograniczoną władzę nad życiem „buntujących się poddanych“.

Już z tego pojedynczego przykładu wnosić można, że opór ludu nie zawsze bywał zupełnie biernym i że przyczyną bierności nie zawsze były zasady poczerpnięte z etyki chrześcijańskiej, której stosowanie było częstokroć jedynie wyrazem poczucia bezsilności. Znamy wprawdzie liczne wypadki i tym razem usprawiedliwiające zdanie, że „chrześcijańska etyka jest przeważnie doktryną biernego posłuszeństwa, nauczającą uległości wszystkim władzom, którym wprawdzie czynnie ulegać nie należy, jeżeli nakazują coś niezgodnego z przepisami religii, lecz którym — nawet za nieprawości na nas popełnione — nie wolno się sprzeciwiać, a tem mniej bunt przeciwko nim podnosić“. [2]) Mamy wszelako i na to liczne dowody, że głównym nieraz źródłem bierności była poprostu bezsilność. W wielu miejscach lud walczył z wojskiem chcącem go odpędzić od kościołów, w wielu innych znieważał i karał przedajnych księży; gdzieindziej z łatwością dawał się powodować prowokacjom, a w początkach szczególniej bronił się niejednokrotnie, poddając się męczarniom dopiero wówczas, skoro się upewnił, że ma do czynienia

[1]) Relację o faktycznym stanie rzeczy podajemy według dzieła „Czasy Nerona w XIX wieku.“

[2]) Jan Stuart Mill: O wolności.

z siłą dłań nieprzepartą. Przed krwawą np. sceną w Prutulinie w Konstantynowskim powiecie lud na groźbę użycia broni palnej odpowiedział przez usta jednego ze starców gromady: „Wiemy, że wedle postanowienia cesarskiego nikogo bić nie wolno; dlatego jeżeli napadać nas i bić będziecie, będziemy się bronili czem kto może, a jeżeliby cesarz upoważnił was do zabijania nas, gotowi jesteśmy zginąć za Boga i wiarę i nie cofniemy się ani krokiem przed śmiercią".

Podobne sceny jak w Drelowie i Pratulinie powtórzyły się w paru zaledwie miejscach. Spostrzeżono się rychło, że postrachem rzucanym na masy sieje się nie nasiona apostazji, ale entuzjazm i oburzenie i chwycono się innego systemu: ogołacają ludność ze środków do życia i z najbardziej elementarnych warunków egzystencji moralnej, aby przełamując represją opór słabszych jednostek — wyrobić w masach ducha uległości i skłonić tym sposobem do zamiany jednej wiary na drugą.

Uciążliwemi kontrybucjami, rozlokowaniem wojska po wsiach—tak licznie, że często żołnierze przewyższali zwykłą liczbę mieszkańców — wiele wsi i miasteczek „odarto prawie do szczętu.„ Że w słowach tych nie ma przesady, świadczy ta okoliczność, że same kontrybucje z 35 parafji w powiatach Radzyńskim i Bialskim wynosiły w początku 74 r., podług obliczenia ludu, 204 tysiące rs. a przecież cyfra ta o wiele jest niższą od rzeczywistej, bo w braku gotówki licytowano chłopski dobytek za bezcen. Dodajmy że oprócz kontrybucji, ściąganej na rzecz skarbu wojsko rozlokowane w każdej wsi „odmawiającej podpisu" wychodziło zazwyczaj dopiero po zupełnem jej opustoszeniu, że wreszcie wielu wieśniaków z lubelskiego ustawicznem odrywaniem od uprawy pól doprowadzono prawie do „śmierci głodowej", [1]) a będziemy mieli przybliżone pojęcie o naturze „polityki ekonomicznej", jaką rząd rosyjski posługiwał się wówczas dla zjednoczenia państwowego aglomeratu.

Jeśli nędza i prześladowanie w obronie przekonań, mogą być miarą moralnej wartości, a przynajmniej moralnego uzdolnienia broniących, to nie możemy ominąć, mówiąc o ogólnem poddawaniu się stratom materjalnym i męczarniom, paru chociażby faktów, w których lud zaakcentował wyraźnie i świadomie, że interesom duchowym przed materjalnymi oddaje pierwszeństwo.

„W Polubiczach np. gdy grabiono włościan, sami przynosili rzeczy, przyprowadzali woły, żądali napowrót pańszczyzny, a nie chcąc

---

[1]) Raport Marschall'a Jowell'a, posła Stanów Zjednoczonych cytowany w dziele: Czasy Nerona w XX w.

przyjąć mniemanej darowizny gruntów od cara, mówili głośno: bierzcie wszystko, a zostawcie nam wiarę naszych ojców.“ Gdzieindziej (Rudno) rzuca ludność wszystko na pastwę wojska, przenosząc się w nocy do lasów i pozostając tam przez parę miesięcy mroźnej zimy. Prawie wszędzie odpycha ona od siebie obietnice rządu zapłaty za wyrządzone jej szkody, wypuszczenia uwięzionych, uwolnienia od rekruta i podatków, oraz nadania gruntów.

W petycji kilkuset wygnańców zesłanych do stepowych gubernij rosyjskich, najsilniej dźwięczą nuty skargi na „podeptaną sprawiedliwość“ i prośby o pomoc przeciwko naruszeniu „prawa narodów do swobody religijnej“.

„Na dalekiem wygnaniu, mówi ciekawy ten dokument, nie widząc końca ni granic prześladowań, które nas dotykają, śród obcych nam ludzi, pogrążeni w głębokim smutku, tęsknocie za ojczyzną, pozbawieni pociechy modlitwy, która była najdroższym skarbem naszym, błądzimy bez celu jak parjasy wśród stepów i ludzi, wówczas gdy praca nasza potrafiłaby zapewnić los naszych rodzin, które obecnie zwiększają zapewne szeregi takich jak i my nędzarzy.“

Nie wystarczało atoli do dopięcia celu ogołocanie ze środków do życia, dołączono więc brutalne formy przemocy na samo wspomnienie których wzdrygają się lepsze uczucia ludzkie.

Nie będziemy się zatrzymywali nad pojedyńczymi epizodami, lubo niektóre z nich jak np. wypadek bezskutecznego katowania ludu dla wymuszenia zeznania, że nie jest polskim — ciekawe zaiste rzucają światło.

Nie będziemą się zatrzymywali, bo o krwi i łzach, tych widomych znakach cierpień i legalnie spełnionych zbrodni mówią, więcej nad wszystko cobyśmy powiedzieć mogli pełne grozy słowa protestacji.[1])

„Jeszcze nie zastygła krew pomordowanych w Drelowie, Pratulinie, Kłodnie, Kodniu, poległych pod razami w Kolembrodach, Rudnie, Włodawie; płyną łzy i krew smaganych całemi wsiami aż do odpadania ciała w Uściemowie, Jamach, Dołhobrodach, Łomazach i innych kilkudziesięciu miejscach, wywiezionych w głąb Rosji, skutych i osadzonych w więzieniach, stawianych na mrozie do naga rozebranych obojej płci; zniszczonych i zrabowanych aż do głodu, trzymanych w oblężeniu i głodzie przez dni dwa, trzy i więcej, broniących swoich kościołów; płyną łzy i płynąć będą tych, co wśród męczarni z nieprzytomności rozpaczy i bólu dali żądane podpisy; jeszcze i obecnie szerzy się postrach między

---

[1]) Dokument ten historyczny opisany przez księży unickich w r. 1 75, cytowanym jest w dziele: Czasy Nerona w XIX. w.

spokojnymi mieszkańcami, tyranje i zniszczenie przez wojska chodzące od wsi do wsi dla wymożenia męczarniami dobrowolnych podpisów..."

Od widoku ruiny ekonomicznej i niewymownych cierpień, użytych za dźwignię do szerzenia przekonań, przejdźmy do najważniejszych rezultatów na polu moralno-umysłowem i polityczno-narodowościowem. Pospolicie znane fakty nie wystarczają wprawdzie do dokładnej analizy, którąby winna mieć na względzie, że pewne objawy w rozmaitych czasach i okolicach ustępują miejsca pojawom zupełnie innej natury, ale dają zato zupełną rękojmię prawdziwości jakościowego rozbioru, bo pozwalają sprawdzić wnioski a priori wysnute.

Bezpośredni cel, jaki sobie założyło nawracanie: wyrugowanie religijnych przekonań i wprowadzenie natomiast innych drogą przemocy — wyróżnia tę formę religijnego prześladowania od innych, np. od tej, która w imię Kulturkampfu upośledza prawa katolickiej ludności na kresach zachodnich.

Tendencją pierwszej formy prześladowania jest osłabienie religijności; tendencją drugiej spotęgowanie. Trafne w tej mierze czyni uwagi jeden z teoretyków rosyjskiego „narodniczestwa" *) Gwałcenie sumienia niweczy uczucie religijne, stanowiące podstawę religii i wywołuje religijny indyferentyzm. Obojętność jako wynik duchowej dezorganizacji i rozkładu absolutnie się różni od rezultatów przeistoczenia się przekonań pod wpływem myśli krytycznej i dla tego to gwałt zadawany sumieniu, szkodliwym jest nie tylko samej religji, ale w ogóle sprawie postępu. Energiczne natury bronią całości swej duchowej organizacji fanatycznym, przed niczem nieustępującym protestem, małoduszne godzą się pozornie na wszystko czego się od nich wymaga.

„Religijny indyferentyzm, który umieli zaszczepić w sercach unitów stróże porządku, mówi autor cytowanego artykułu, zawsze będzie złączony z nienawiścią do prawosławia, które zyskało w osobach unitów skrytych, acz biernych w skutek małoduszności wrogów, gotowych porzucić go przy każdem przebudzeniu się religijnego albo moralnego uczucia, które da siłę do walki z wrodzoną małodusznością".

---

*) J. Juzow. Osnowy narodniczestwa S. Petersburg 1882.

Język polski nie posiada słowa na oddanie pojęcia „narodniczestwa". Kierunek ten — różniący się od liberalizmu tem, że punkt ciężkości interesów narodowych widzi nie w t. zw. klasach wyższych lecz w ludzie — wychodząc z założenia, że stosunki społeczne i idee, mogące się przedostawać do umysłowości, zależą przedewszystkiem od stanu uczuć, w programie społecznym podnosi tylko niezrealizowane lecz istniejące już aspiracje mas ludowych. W tem leży jego różnica od innych kierunków demokratycznej myśli.

W istocie rzeczy uwagę powyższą należałoby w interesie prawdy zmodyfikować.

Pod wpływem bowiem całego szeregu czynników, jak powolne przyzwyczajanie się do nowych dogmatów i zmodyfikowanej nieco obrządkowości, jak odmienne warunki wychowania młodego pokolenia, propaganda biurokracji i duchowieństwa, a przedewszystkiem pod wpływem takiego czynnika jak zmiana natężenia i składu uczuć, protestujących przeciw narzuconej religii, zaciera się stopniowo — zwłaszcza w Lubelskiem — świadomość różnic między wiarą gnębioną, a wyznaniem, które, według definicji jednego z rosyjskich sekciarzy, jest narzędziem służącem rządowi do podtrzymywania porządku. Obok atoli nachylania się ku prawosławiu istnieje jeszcze rzeczywiście ogromny zasób przywiązania do unii, ciążenie ku katolicyzmowi, twórczość religijna przejawiająca się w sekciarskich zboczeniach (np. w pow. Radzyńskim i Bialskim) i w ogóle aspiracje, świadczące, że sprawa unicka należy do kwestji nierozwiązanych dotychczas.

Zachodzi teraz pytanie jakie następstwa wywołuje proces sztucznego przekształcania się religijnych pojęć i wyobrażeń w sferze moralnej. Nie trudno dać na to odpowiedź.

Wybór między przekonaniami odpowiadającemi pojęciom o prawdzie, stanowiącemi przedmiot czci i miłości bezwzględnej, a ruiną materjalną lub bezpieczeństwem osobistem czy rodzinnem rozwija przedewszystkiem przez częste funkcjonowanie ujemnych i przytłumianie dodatnich rysów charakteru uczucia samozachowawcze niższego rzędu, oraz dwie główne ich konsekwencje: zwiększoną łatwość kierowania się egoistycznemi pobudkami, co orzeka o moralnej wartości jednostek i niekorzystnie zmieniony stosunek altruizmu do egoizmu, który określa wartość instytucji społecznych.

Ta groza kary za przejawy uczuć szlachetnych, ten system co za wyparcie się swej wiary, lekceważenie rzeczy duchowych i korne chylenie czoła w obec przemocy, nagradza niekaraniem lub iście judaszową pieniężną zapłatą, wyrządza tem straszniejszą krzywdę ludowi, że współistnieje z ogromną masą świadomych i bezwiednych usiłowań, zmierzających do moralnego upadku zarówno naszego jak rusińskiego narodu. Rezultaty tych usiłowań głęboko wyciśnięte na duchowości reakcyjnego okresu ostatnich czasów, to nietylko przekleństwem moralnego upadku będące słabe odczuwanie ważności zjawisk psychicznego rozwoju, ale i płynący z niego brak gotowości do poświęceń i ofiar z życia indywidualnego dla kolektywnego, co stanowi najgroźniejszą i zarazem najpospolitszą przyczynę indyferentyzmu dla celów narodu i ludzkości.

Poza obrębem zmniejszonej wrażliwości na objawy świata psychicznego i najrozmaitszych przejawów egoistycznych uczuć rozkrzewianie przekonań przemocą wytwarza nadto takie rysy duchowej fizjognomji, które mają dla jednostek znaczenie środków ochronnych, ale w moralnym rozwoju społeczeństwa stanowią źródło coraz głębiej sięgającego skarłowacenia charakterów.

Co do tych rysów sądzimy, że wypływająca z analogji przyczyna analogja skutków pozwala zastosować do naszych stosunków uwagę, uczynioną nad skutkami przymusowego rozkrzewienia religijnych przekonań w Anglji.

„Ludzie rozmaitego charakteru i najprzeciwniejszych stronnictw i zdań, wszyscy zgadzają się na to, że krzywoprzysięstwo i obłuda, których rząd bezpośrednią jest przyczyną, tak rozpowszechnione są w Anglji, że stały się źródłem narodowego zepsucia, umniejszyły wartość świadectwa ludzkiego i zachwiały ufność, jaką ludzie zwykli pokładać w słowie bliźniego swego“.

Jeśli konieczność wyboru między ideą a dobrem niższego rzędu wytwarza egoistyczne uczucia w rozmaitych postaciach, to okoliczności towarzyszące wyborowi działały unicestwiająco w innym jeszcze kierunku.

Przygniatający wpływ przyrodzonych lub społecznych potęg, niszczących fizyczną czy moralną egzystencję człowieka, wzrasta, jak wiadomo, w miarę bezsilności do odwrócenia grożącego niebezpieczeństwa. Wszystko zatem skutkiem czego maleje siła oporu, jako to: bezprogramowość walczących i za nią idący brak łączności w działaniu; zmniejszone poczucie ważności prześladowanej idei; trudność znalezienia myślowej dla uczuć formy; wyniszczanie typu ludzi niezłomnie broniących swych praw; obniżanie moralnego poziomu; gaśnięcie aureoli męczeństwa; oraz wszystko to, co zwiększając siłę potęgi niszczącej zmienia jej stosunek do siły odpornej na niekorzyść ostatniej i daremność usiłowań za sobą pociąga, odgrywa rolę czynników depresji. Dwa są znamiona depresji: poczucie własnej niemocy i korne, bojaźliwe, serwilistyczne uczucia w obec szkodliwej potęgi. Ta potęga, w danym razie socjalny autorytet państwa, olbrzymieje w świecie wyobraźni dzięki rozpatrywaniu przez pryzmat własnej nicości; w świecie zaś rzeczywistości dzięki wynikającej z uczucia depresji niemożności bronienia praw dawniej nabytych i zdobywania praw nowych. Niemożność spełniania tych dwóch najważniejszych funkcji społecznych, otwierając szerokie pole uciskowi we wszelkich formach i sferach, pogarsza warunki bytu, wyrabia gorszą od ucisku i niedoli przytępioną na ich objawy wrażliwość, stwarza przez to coraz większą odpowiedniość między zewnętrznymi warunkami a duchowym nastrojem, coraz większe nierozumienie potrzeby walki, coraz łatwiej bu-

dzący się serwilizm, coraz silniejszą niewiarę w możność osiągnięcia ideałów społecznych i wreszcie niezdolność przejścia do wyższej fazy rozwoju.

Zobaczmy teraz odwrotną stronę medalu. Dodatnie następstwa walki tworzyć się muszą z równą koniecznością jak i ujemne, ponieważ przy tychże samych warunkach objektywnych produkty psychiczne mogą być tak różnorodne jak rozmaite są czynniki subjektywne, produkty socjalne tak różne jak rozmaitym jest stosunek siły napastniczej do siły broniącej prawa. Dla tego też obok zniweczonych uzdolnień moralnych i wytworzonych uczuć ujemnych wiele uzdolnień podniosło się do godności świadomej siebie siły moralnej, która zarówno w sferze postępowania jak i w zakresie pojęć wyraziła swój podniośle społeczny charakter. W postępowaniu — przedewszystkiem bohaterskim oporem przeciwko tyranji, w zakresie pojęć przedewszystkiem, uzdolnieniem do przyjęcia grupy socjologicznych poglądów o roli państwowego elementu władzy i szczególniej konkretnej jego u nas formy — moskiewskiego caratu. Na tym szczeblu krytyki form rządu, na którym przejawy polityki państwowej przypisywane są nie systemowi i głównym jego sprężynom i dźwigniom, ale bezpośrednio dającym się we znaki wykonawczym narzędziom, wiara w carat jest poniekąd wiarą w prawny porządek rzeczy i wyrazem potrzeby organizacji społecznej. To też lud łudził się przez czas pewien nadzieją, że car opromieniony aureolą „oswobodziciela“, nie może łamać obietnicy, danej deputacji chłopskiej w 1865 r. nienaruszania unji i że o gwałtach nic nie wie. Za cenę długotrwałych i niezwykłych cierpień pogłębiła się krytyczna myśl ludu i podniosła skala politycznego wykształcenia, co zasługuje na tem większą uwagę, że dana forma religijnego prześladowania pociąga za sobą oddanie się kościoła na usługi celom państwowym, a wiemy z historji jakie następstwa wypływają z podobnych faktów.

Pozostaje nam jeszcze powiedzieć parę słów o znaczeniu omawianej kwestji dla sprawy narodowej samoistności. Samoistność narodu polega nie tylko na fizyczno-psychicznych właściwościach, które stanowią o tworzeniu się, rozwijaniu i trwaniu poszczególnych rysów indywidualizmu narodowego, ale i na poczuciu różnic, będącem dla swej nieodpowiedniości do różnic objektywnie istniejących, specjalnym czynnikiem klasyfikacji przedmiotów i zjawisk świata psychicznego. Zagłada jakiegoś rysu, jeśli jej istotnym celem nie jest zwiększanie krytycyzmu myśli lub uspołecznianie uczuć, zmniejszają prawdopodobieństwo ostania się i rozwijania narodu w jego walce o byt. Z tych ogólnych względów, wyrażających się w powszechnem niemal uważaniu religji za cechę narodowościową i z powodu stopnia przywiązania do niej, który musi wywoływać u prześla-

dowców surowe formy przemocy, zacieranie odrębności religijnej pociąga za sobą dla samoistności narodu groźne, daleko zachodzące następstwa, równocześnie zwiększając przeszkody rozwoju i zmniejszając siły do ich przezwyciężenia. Zmniejszenie sił odbywa się w drodze wyżej omawianego moralnego upadku i uszczuplenia liczebnej wielkości, będącej, że się tak wyrazimy, podścieliskiem ducha narodu; zwiększanie przeszkód odbywa się w następstwie każdego aktu przemocy, demoralizującego ciemięzców i ciemiężonych, prowadzącego do rozwinięcia absolutnej formy rządu i równoległego zanikania wszelkiej wolności i wszelkich autonomicznych dążeń czy to ludów, czy jednostek dźwigających jarzmo absolutyzmu.

Reasumując wyżej wypowiedziane uwagi możemy obniżenie szczęscia ludowego, spowodowane uciskiem religijnym, rozpatrywać jako składające się:

po 1) z cierpień, sprawionych wydzieraniem cząstki duchowej istoty (miarą tych cierpień zniesione prześladowania);

po 2) z cierpień spowodowanych ulegalizowanem pastwieniem się fizycznie silniejszych za niewyrzeczenie się religii (ruina materjalna, męczarnie, wysiedlenie kilkuset jednostek);

po 3) ze zmniejszonej możności poznania wyższych form szczęścia wskutek obniżenia moralnego poziomu;

po 4) ze zmniejszonej możności osiągnięcia szczęścia wskutek pogorszonych warunków społeczno-politycznego rozwoju.

Obniżenie skali szczęścia i skali rozwoju, w następstwie ucisku, nadają walce o swobodę sumienia, analogiczne piętno z temi, jakie mają wszelkie inne sprawy postępu.

Prześladowania religijne dzisiejsze są wprawdzie słabym zaledwie odgłosem dawniejszych; ale tylko płytkowidzący doktryneryzm może się troszczyć więcej o różnicę między gwałtownością ucisku dawniej i dzisiaj, niż o absolutną wielkość zła wyrządzonego spółczesnemu pokoleniu.



Sprawozdania literackie.

Teodor Jeske-Choiński: „Pozytywizm warszawski“ 1885.

Lubo już minęło lat przeszło piętnaście od chwili gdy w Warszawie po raz pierwszy odezwały się silniejsze odgłosy walki „starych“ i „młodych“ i kiedy naprzód wysuniętym został sztandar pozytywizmu, lubo główni aktorzy tej walki zestarzeli się i mniej namiętnie walczą ze sobą, a drugorzędni albo się zupełnie usunęli ze sceny lub też pozbyli się swego animuszu wojowniczego, wszelakoż aż po dziś dzień każde dotknięcie tych dziejów budzi w Warszawie zamarłe na pozór namiętności. Widzieliśmy to na przykładzie p. Chmielowskiego i napaściach i obronach jakie się posypały z powodu jego „Ostatnich lat szesnastu“; widzimy to w chwili obecnej z powodu wystąpienia p. Jeske-Choińskiego. Oczywiście, że w obec tego zajęcia i namiętności, jakie wywołuje w świecie warszawskim każde poruszenie pierwszych dziejów „pozytywizmu“ warszawskiego, niepodobna się spodziewać, żeby rzecz ta mogła być obecnie bezstronnie i przedmiotowo traktowaną. Nie jest to możebnem, nawet przy najlepszych chęciach ze strony pisarza, bez względu czy zowie się on p. Choińskim czy też p. Chmielowskim.

Idzie więc już o to tylko, który głębiej sięgnął w swej analizie czynników, co się złożyły na wytworzenie pozytywizmu warszawskiego i na utrzymanie go na społecznej powierzchni.

Czem był w istocie ów ruch pozytywny? dlaczego powstał on w takiej a nie innej formie? czemu jedynie zawarł się w granicach Kongresówki, nie pociągając za sobą ani Poznańskiego ani Galicji? oto kilka pytań, które się cisną do głowy w obec książki p. Choińskiego.

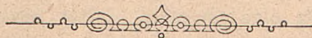
Na te pytania nie odpowiedział p. Chmielowski, zwłaszcza na dwa ostatnie, a to poczęści dlatego, że względy natury cenzuralnej stawały mu na zawadzie, w części znów dla tego że sam je sobie nie uświadomił. Bardziej zadawalniającą odpowiedź acz również naszem zdaniem niezupełną, daje książka p. Choińskiego. Podług niego, pozytywizm warszawski, praca organiczna w Poznańskiem i program stańczyków galicyjskich — są objawami pokrewnej natury i pochodzenia, lubo odrębnej postaci. Mianowicie: „kiedy umilkły echa wystrzałów armatnich, które wtórowały ostatniej zwrotce epopei narodowych uniesień, wtedy powiała nad krajem cisza — zawiedzionych nadziei skutek nieuchronny..... załamano ręce i zawołano z głębi zbolałego serca: koniec z nami! Lecz hzwątpienie to trwało tylko przez czas krótki. Z niespożytą sprężystością naszego temperamentu dźwignęliśmy się, porwawszy więzy zwątpienia..... Cnoty i wady ojców naszych zawiodły nas. Trzeba zdjąć starą skórę, a przywdziać na siebie inną. Ale — jaką? O! odpowiedź na to bardzo prosta. Pozbędźmy się idealistycznych mrzonek, różnych spodziewań, nie mających podstawy, a pracujmy i myślmy trzeźwo. Ta reakcja rozsądku przeciw poglądom i czynom jednostronnego uczucia była naturalnym skutkiem zbyt wygórowanego idealizmu, który zgotował nieszczęścia kilku pokoleń, (mówi p. Choiński). Po zachwycie musiało nastąpić rozczarowanie, po rozmarzeniu oschłość. Przewrót ten odbył się prawie równocześnie we wszystkich dzielnicach byłej Rzeczypospolitej“. Mamy

więc czynniki, które wytworzyły w różnych częściach dawnej Polski pewne nowe, przeważnie natury analitycznej kierunki, mniej lub więcej krytycznie występujące przeciw programom przeszłości. „W każdej dzielnicy pojawił się nowy ruch w innej formie, stosownie do warunków zewnętrznych, z jakiemi musiał się liczyć i zależnie od ludzi, którzy go wcielili. Warszawa, nie mogąc stanąć na mównicy sejmowej, zwróciła się na pole dziennikarsko-literackie“. Oto i wzsystko cośmy znaleźli u p. Choińskiego, gdyż resztę jego dzieła zapełnia analiza działalności naprzód „Przeglądu Tygodniowego“, a następnie rozbiór działalności i utworów p. Świętochowskiego. Lecz dlaczego jedynie w Kongresówce ruch krytyczny przyjął barwy krytycyzmu pozytywnego i odrazu wystąpił przeciw wszelkim powagom okrom nauki, wówczas gdy zwolennicy pracy organicznej w Poznańskiem a stańczycy galicyjscy jedynie zanegowali dalszą politykę walki zbrojnej o niezależność? czemuż te niewielkie zastępy pozytywistów galicyjskich z ich wydawnictwem Haecklów, Wundtów itd. tak krótki pędziły żywot? Wszak w Galicji same warunki społeczne: choćby swoboda polityczna i większa wolność prasy lepiej niż w Warszawie sprzyjałyby rozwojowi kierunku pozytywnego. Czemuż wreszcie wszelkie próby przeflancowania pozytywizmu do Poznańskiego spełzły na niczem? Z jakiego powodu pozytywizm warszawski, nie tylko że nie zwiędnął jak galicyjski, a na odwrót rozwija się coraz bardziej, gdyż lubo stracił na swej namiętności i bezwzględności, wszakże wzrasta za to w extensywność z roku na rok, dowodem czego służyć może wzrost jego wydawnictw? Na to wsystko napróżno szukalibyśmy w broszurze p. Choińskiego odpowiedzi jasnej, wyrazistej, albowiem prócz kilku luźnych wzmianek co do tego punktu nic więcej nie uczynił.

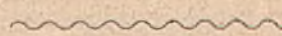
Odpowiedzi na to szukać należy w ekonomicznych stosunkach Kongresówki, bardziej rozwiniętych i zaostrzonych niż w jakiejkolwiek innej dzielnicy dawnej Rzplitej. Pozytywizm warszawski odrazu stanął na twardym gruncie, znajdując już od pierwszej chwili wśród społeczeństwa polskiego warstwę, w interesie której wystąpił i której też poparciem cieszył się od pierwszego dnia swego powstania. Było nią zamożne mieszczaństwo Kongresówki, obce dawnym tradycjom i programom, wyrosłe od dzieciństwa w trzeźwej atmosferze interesu i w wielkiej części złożone z żywiołów żydowskich. Rozwojowi tej warstwy przeszkadzały tradycje i pozostałości dawnych czasów: owa romantyczność i idealizm, owe aspiracje polityczne do zbrojnego powstania, niezaradność i brak trzeźwości myśli, niechęć i pogarda dla „łokcia i miarki“, owo spoglądanie z góry na mieszczaństwo ze strony obywatelstwa wiejskiego. Analiza pozytywizmu ogłaszała jedyną powagę: naukę, przenosząc tem samem całą aureolę społeczną na głowę miejskiej inteligencji; szydząc z zabytków szlacheckich poniżała szlachtę i druzgotała pogardę dla handlu i przemysłu; przemawiając do trzeźwości, tem samem przemawiała do uczuć i pojęć człowieka interesu. Oto cała tajemnica powodzenia pozytywizmu w Warszawie a jego zwiędnięcia na gruncie galicyjskim. Rozwój ekonomiczny miast w Kongresówce, istnienie potężnej warstwy mieszczańskiej tłómaczy wszystko. Powstanie 1863 i uwłaszczenie włościan zdruzgotały szlachtę Kongresówki, przenosząc punkt ciężkości społecznej ze wsi do miast — trzeba jedynie było ludzi, coby uprawnili to przodownictwo żywiołu miejskiego i zajęli się uprzątnięciem zawad i przeszkód. Dopełnili tego pozytywiści, lubo nie uświadomili sobie swej roli szermierzy występującego na arenę społeczną Kongresówki stanu trzeciego. Że zaś bronili jedynie interesów tego stanu, dowodem są ich programy polityczne.

Z tego też punktu widzenia należy rozważać działalność p. Świętochowskiego. Naszem zdaniem, nic bardziej nie charakteryzuje jego działalności jak to, że gdy p. Chmielowski pisał o Russo, tamten obrał sobie za temat Woltera. Kto teraz mówi o Wolterze jako o poecie? Powieści jego, dramata i poezje są bez wartości estetycznej; inne jego dzieła również nie wielką posiadają wartość. A jednak zaważył on wiele na szali dziejowej i imię jego ma prawo do niespożytej pamięci, bo rola jego polegała na usunięciu atmosfery, krępującej dalszy ekonomiczny rozwój Francji, a z nim dalszy postęp myśli krytycznej. Analogiczną do pewnego stopnia rolę odegrał i odgrywa p. Świętochowski. Przyszłość być może zaneguje estetyczną wartość poetyckich jego utworów, znajdzie więcej pięknej formy niż treści w wielu jego artykułach, lecz nie zapomni, że wszystkie jego utwory publicystyczne, i poetyckie i naukowe były jedynie różną szatą tego samego celu: uprzątnienia zawad ekonomicznemu rozwojowi Kongresówki, oraz uzyskania prawa obywatelstwa dla myśli krytycznej. Ten zwłaszcza ostatni wzgląd zachowa imię p. Świętochowskiego na długo w pamięci: potomność zapomni poniekąd o jednostronności jego programów, o tem że jest przedstawicielem jedynie liberalizmu mieszczańskiego i z tego stanowiska napada na inne przejawy krytycyzmu, lecz zapamięta, że był szermierzem za swobodę myśli krytycznej, lubo — zaznaczmy to raz jeszcze — niektórych tylko jej przejawów.

Na tem kończymy nasze sprawozdanie o broszurze p. Choińskiego. Jest ona mocno tendencyjną i zabarwioną obskurantyzmem, wycieczkami lubo nie wyraźnemi przeciw żydom, w każdym jednak razie, stanowiąc przejaw reakcji uczucia przeciwko „trzeźwemu" rozsądkowi, ogólną sytuację ogarnia żywo i dość prawidłowo. Wskutek tendencyjności autor zaledwie potrąca o różne dodatnie strony ruchu pozytywnego i zapomina, że właśnie z pośród niego wyłonił się prawie cały obecny ruch naukowy w Kongresówce.



Quatrafages: l'homme fossile et l'homme sauvage, Paris 1885.
Elisée Reclus: les primitifs, etudes d'ethnologie comparée, Paris 1885.



Są dzieła, których treści, ba nawet ostatecznych wyników niepodobna podać ani streścić w krótkiem sprawozdaniu, lubo dostarczają one nader bogatej strawy umysłowej. Do takich — należy dzieło sędziwego Quatrafages'a. Powstało ono z drobnych artykułów, drukowanych różnymi czasy przez autora w „*Journal des Savants*" i stanowiących poniekąd sprawozdania lub wyciągi z nowo ukazujących się prac na polu antropologji, etnologji i opisów podróży. W ten sposób powstało to znacznych rozmiarów dzieło, bogate treścią, zajmujące ze względu na wybór przesuwających się niby w kalejdoskopie ludów pierwotnych z ich zwyczajami i warunkami bytu. Autor poczyna od człowieka kopalnego Europy i podaje ogólne wyniki badań na tem polu, uwzględniając zwłaszcza dzieło Hamy'ego o tych czasach. Następnie daje bogaty w fakty obraz

bytu mieszkańców Polinezji, zatrzymuje się nieco dłużej nad Nową Zelandją, nad walką tej pierwotnej rasy z Europejczykami i jej migracjami z wyspy na wyspę. W dalszym ciągu maluje on nam byt wymarłej rasy Tasmańczyków i „Czarną Wojnę“, w której Europejczycy w lat kilka usunęli ze świata całą tę rasę. Z tego, że tyle poświęcił miejsca polynezyjczykom Quatrafages uniewinnia się tym względem, że „odkąd stopa Europejczyka stąpiła po raz pierwszy na te lądy dalekie, odtąd tubylcy wymierają z przeraźliwą prędkością, i prawdopodobnie wkrótce zaginą wszelkie ich ślady; nauka więc musi się spieszyć“. Ciekawe są szczegóły, jakie antropolog francuski podaje co do gwałtowności z jaką szerzą się w Polinezji przyniesione przez Europejczyków zarodki suchot. Choroba ta grasuje tu niby epidemja, zmiatając ludność tutejszą: np. na jednej z wysp polinezyjskich w przeciągu lat trzech zmarło wskutek suchot 150 mieszkańców, wówczas gdy w tym samym okresie na świat przyszło zaledwie 4! Odmalowawszy dzieje Polinezji, autor zaznajamia nas z bytem nielicznego, bo tylko 700 głów liczącego ludu Todasów, zamieszkującego góry nilgeryjskie w Indjach przedgangesowych i przedstawiającego resztki dawnych ras, zaludniających ten półwysep jeszcze przed wkroczeniem Aryjczyków. Todasy nie posiadają żadnej broni, nawet do polowania; nie wiedzą co to wojna; żyją wyłącznie mleczywem i trudnią się hodowlą bydła rogatego; wierzą w duchy przodków i oddają cześć krowie; dzielą się na „klany“ t. j. grupy oparte na związkach krwi i żyją w poljandrji połączonej z poligamią (wielożeństwem). Wreszcie, Quatrefages podaje nam opis ludów fińskich, żyjących na pomorzu baltyckiem. Książka się czyta z przyjemnością, a lubo napisana jest w popularnej formie, przecież na tem zgoła nie szwankuje jej strona naukowa. Zwłaszcza zajmujące są te stronnice, na których autor kreśli postępowanie Europejczyków względem tubylców Polinezyi. Zaiste, nie mamy się prawa chlubić z naszej cywilizacji w obec tych barbarzyńskich czynów, jakich biały człowiek dopuszcza się w owych dalekich okolicach!

Książka Reclusa stoi o wiele niżej. Autor ugania się za efektem, sili się na dowcip, a nadto zbyt powierzchownie bada swój przedmiot. Dzieło jego nie posiada szerszej naukowej wartości, gdyż zdarzają się w niem szczegóły pofałszowane, a warunki bytu ludów pierwotnych nie zostały zrozumiane lub ich należyte przedstawienie poświęcono uganianiu się za oryginalnością. A wielka szkoda, bo autor zakreślił sobie nader sympatyczne i interesujące zadanie. „Szczeble ewolucji, jakie przebywała ludzkość w czasie, powtarzają się w przestrzeni. W zakątkach i zaułkach tego labiryntu, jaki formują góry i doliny, wśród właściwej im różnorodności klimatów i wpływów, pod działaniem wiatrów suchych lub wilgotnych, utrzymała się, lubo w rozproszeniu, lecz w dość znacznej całości, flora umysłowa okresów zamierzchłych“ — temi słowy autor zamyka swą książkę, wskazując na cel jaki był sobie założył i — dodajmy od siebie — jakiego nie dopiął. Maluje on nie wszystkie ludy pierwotne, lecz wybiera jedynie z pośród nich niektóre, dając nam w ten sposób zakończone monografie etnograficzne, mające zarysować nam cały byt odpowiedniej grupy.

Znajdujemy więc tu opis ludów, zamieszkujących okolice morza Lodowatego, mianowicie Eskimosów i Aleutów, następnie ludu myśliwskiego Apachów, tułającego się w okolicach gór Skalistych; dalej idą monografje różnych drobnych ludów z półwyspu przedgangesowego. Z etnicznego bowiem stanowiska, półwysep ten przedstawia bodaj czy nie jedyny w swym rodzaju okaz nawarstwowania, pomięszania i pokrzyżowania ras ludzkich. Nauka w obecnym swym stanie wskazuje,

że niegdyś tu żyła rasa, której resztki gdzieniegdzie jeszcze odnajdujemy na samym półwyspie, a która liczniej dotrwała na wyspach Andamańskich, wśród gór Borneo i t. d. Rasę tę zniszczyły lub zlały się z nią różnobarwne fale rasowe, które kolejno zalewały półwysep, tworząc tu rzeczywisty amalgamat ludnościowy. Nie dziwota, że antropolog, etnolog, etnograf i socjolog znajdują tu szerokie dla studjów pola; nie dziw że i Reclus zdołał na tem tle wykrzesać aż trzy monografie — Naprzód ukazuje on nam Nairów, szlachtę z nad wybrzeża Malabarskiego, pochodzenia zdaje się drawidyjskiego. Stanowią oni odrębną kastę wojowników; panuje u nich prawo macierzyste, t. j. dziedziczy się majątek i nazwa w linji żeńskiej i kobieta stoi na czele rodziny. Majątek po mężczyźnie przechodzi na potomstwo jego sióstr. Ciekawymi są ich związki małżeńskie: Każda kobieta miewa kilku mężów; każdy znowu z ostatnich może wejść spólnie z gronem innych mężczyzn w związki małżeńskie z innemi kobietami. Na tej formie stosunków rodzinnych wznosi się całe rusztowanie zwyczajów i stosunków społecznych, których dla braku miejsca nie możemy szerzej traktować. Następnie Reclus przechodzi do drobnych ludów: Badagosów, Kotasów, Kurumbasów i innych, zamieszkujących góry Nilgieryjskie i jakby dokoła ogniska skupiających się około Todasów, o których już mówiliśmy. Jedne z nich zajmują się jedynie kradzieżą i włóczęgostwem, inne przemysłem kowalskim, myśliwstwem, rolnictwem itp. Jest to grupa nader różnorodna ze względu na swe zwyczaje, wzajemne stosunki, pokrzyżowania rasowe. Wreszcie w ostatnim szkicu przesuwa się nowa grupa: Kolarjanie Bengalu i Kondowie, przynoszący ludzi na całopalenie bogom.

Monografje Quatrafages'a, a zwłaszcza Reclus'a znamionują nowy, acz po dziś dzień nieuświadomiony jeszcze kierunek w studjach antropologiczno-etnograficznych. Nauka antropologiczna uznała konieczność opracowania materjału surowego, tyczącego się różnych ludów, pod postacią oddzielnych monografji. Prace takie, ułożone podług pewnych kwestjonarjuszy, napotykamy nader często we francuskim i angielskim „*Przeglądzie antropologicznym*“ w wydawnictwach naukowych towarzystw amerykańskich itd. Atoli w tych monografjach traktowane są ludy bez wyboru, jak się zdarzy. Tymczasem od pewnego czasu spostrzegamy w nauce dążność do wyodosobniania z pośród tej masy różnorodnej takich grup ludzkich, które się znajdują w wyjątkowych warunkach rozwoju. Wśród takich ludów i grup, dzięki ślepemu zbiegowi okoliczności, wygórowały jedne czynniki, a inne nader zmalały lub nawet zanikły. Weźmy np. Todasów — usuniętym tu został tak ważny w rozwoju każdej grupy ludzkiej czynnik jak wojna. Porównywając więc Todasów z ludami, przeważnie wojowniczymi np. Fidżyjczykami, możemy prześledzić wpływ wojny na rozwój charakteru osobistego, instytucji społecznych itd. Eskimosi stanowią etnicznie czysty żywioł rasowy, Hindusi zaś różnobarwną mozajkę szczepów i ras — ztąd znów możemy badać wpływ zetknięcia się ras na wytworzenie kast. Todasi jedynie zajmują się pasterstwem, odpowiednio do tego kształtują się ich pojęcia religijne; Eskimosi żyją wśród ciągłych mrozów, a ciepło stanowi dla nich rzecz pożądaną, — to też wyprowadzając wniosek ze swego codziennego życia, że im głębiej tem cieplej, mieszczą oni swój raj pod ziemią. Mieszkańcy Ziemi ognistej pozostali na szczeblu rozwoju ludów z epoki śmietnisk kuchennych, na jakim stali mieszkańcy półwyspu Jutlandji przed jakiemiś 15 tysięcy lat. Zachodzi pytanie jakie wyniki opóźniły ich rozwój? czyli innemi słowy, jakie są warunki postępu? Oto daliśmy kilka przykładów, co rozumiemy pod nazwą, że się tak wyrazimy, „wyjątkowych“ grup ludzkości. Są to grupy, wśród których niby usuniętym zo-

stał jeden lub kilka czynników rozwoju. Sama natura w ten sposób wytworzyła nam ułatwione warunki badania, jakie w naukach doświadczalnych musimy sztucznie wytwarzać. Sądzimy więc, że nauka antropologiczna, która wkroczyła bezwiednie na tę drogę, uświadomi sobie całe znaczenie takich grup ludzkości i studjów nad niemi, wytwarzając odpowiednie monografje. Dzieło Reclus'a jest jakby zwiastunem takiego zwrotu.

Josef ***Koeroesi***, *Die Sterblichkeit der Stadt Budapest in den Jahren 1876 — 1881 und deren Ursachen. Berlin 1885.*

Zasłużony i pracowity kierownik biura statystycznego w Budapeszcie, Józef Koeroesi, ogłosił pod powyższym tytułem obszerną pracę, która tak ze względu na obfitość materjału, jakoteż i na zawarte w niej poglądy, zasługuje na głębszą uwagę.

Praca Koeroes'ego rozpada się na 9 głównych działów, traktujących o śmiertelności ogólnej, o wypadkach śmierci gwałtownej i naturalnej, o chorobach, które ją spowodowały, o wpływie dobrobytu, mieszkań i zatrudnienia na śmiertelność, dalej o śmiertelności dzieci i statystyce nieżywo narodzonych.

Statystyka śmiertelności ogólnej obejmuje przedewszystkiem cyfry ugrupowane według miesięcy i dni za czas od roku 1874 do 1883. Na wstępie tego działu autor zaznacza, że miasto Budapeszt nigdy jeszcze nie miało tak małej liczby wypadków śmierci, jak w roku 1883., gdzie na 1.000 mieszkańców zmarło tylko 29,6, podczas gdy w roku poprzedzającym cyfra ta wynosiła 32,6, w roku zaś 1874 aż 41.9. Przyczyny tej zmiany, widzi on:

1) W ścisłej kontroli i stopniowej ewakuacji mieszkań suterenowych;
2) W poparciu ze strony miasta budowy domków dla robotników;
3) W kontroli nad kobietami, przyjmującemi niemowlęta na wyżywienie;
4) W otoczeniu miasta drzewami, chroniącemi mieszkańców od kurzu i piasku;
5) W zwiększeniu liczby szpitali i lepszem ich urządzeniu;
6) W większej dbałości o leczenie ubogich chorych po domach.

Koeroesi zaznacza z dumą, że już wtedy, gdy śmiertelność w Budapeszcie sięgała jeszcze olbrzymiej cyfry $5^{0}/_{00}$, statystyczne biuro zapytane o opinję, postawiło powyższe postulaty, których uwzględnienie tak świetny przyniosło rezultat.

W wydawanym przez biuro statystyczne miesięczniku, wypracował Koeroesi tablicę uwidaczniającą cyfry śmiertelności według dni, z uwzględnieniem każdodniowej tempetury. Tablicy tej w niniejszem dziele nie ma niestety, znajduje się w nim jedynie tablica śmiertelności, uwzględniająca przeciętną temperaturę każdego miesiąca i mająca oczywiście nie zbyt wielką wartość. Najwyższa śmiertelność $38.32/_{00}$, przypada na kwiecień, najniższa — 28.52 na październik.

Według pory roku w przecięciu 6 letniem wypada: w zimie 33.5/00, na wiosnę $38.2/_{00}$, w lecie $35.6/_{00}$, w jesieni $29.8/_{00}$.

W drugim dziale z uznaniem podnieść należy, że w stosunkowo bardzo małej tylko liczbie wypadków powód śmierci nie został skonstatowany. Jeszcze w roku 1872 liczba ich wynosiła 308, zaś o 7 lat później w roku 1879 już tylko 62.

Pod względem samobójstw zajmuje Budapeszt miejsce bardzo niekorzystne, bo w rzędzie 20 większych miast 3cie, a już od roku 1878 liczba ich stale się wzmaga. Największy procent dostarczają starcy wyżej lat 60. Charakterystycznem jest, że pomiędzy samobójcami w wieku niżej lat 20, w przeważającej liczbie znajdują się terminatorzy warsztatowi, zaś pomiędzy mającymi więcej niż lat 60 — kapitaliści, kupcy i t. p.

W trzecim dziale konstatuje autor z zadowoleniem, że przeciętny wiek w latach 1876—1881, w porównaniu z poprzedniemi, podniósł się u mężczyzn o 5, u kobiet o 2 lata. Wynosił on w wieku po nad lat 5:

	u mężczyzn:	u kobiet:
1872/3	$37\frac{1}{3}$ lat	$41\frac{1}{5}$ lat
1874/5	$39\frac{9}{10}$ „	42 „
1876/81	$42\frac{1}{3}$ „	$43\frac{1}{2}$ „

Czwarty rozdział wyszczególnia rodzaje chorób, które stały się powodem śmierci. Zajmującem jest porównawcze zestawienie liczby zmarłych na tuberkuły i zapalenie płuc w różnych miastach Europy; dowiadujemy się z niego, iż najwięcej ofiar zabrały te choroby w Krakowie, dalej we Lwowie i w Budapeszcie. Mianowicie umarło na tuberkuły i zapalenie płuc w roku 1881 na 100.000 mieszkańców w Krakowie 1337.30, we Lwowie 1282.02, a w Budapeszcie 1102.21. Najmniej wypadków śmierci wskutek powyższych chorób wykazują Londyn (583.36) i Frankfurt (553.87). Żałować wypada, że zajmująca ta tablica obejmuje tylko rok 1881.

Z pominięciem innych przejdziemy następnie do rozdziału siódmego, który omawia wpływ zamożności na śmiertelność. Autor podzielił rozdział ten na 3 części. W pierwszej mówi o wpływie dobrobytu na przeciętną długość życia; w drugiej — o związku między tym ostatnim a przyczynami śmiertelności, szczególnie w chorobach zaraźliwych; w trzeciej zaś podaje liczbę osób zmarłych bez pomocy lekarskiej.

Wpływ dobrobytu na śmiertelność, obliczano dotychczas zazwyczaj grupami, a mianowicie dzielono miasto według zamożności mieszkańców na dzielnice, porównując następnie stosunek śmiertelności. Rzecz prosta, że zapomocą tej metody, trudno było dojść do rezultatów ścisłych. Koeroesi, o ile wiemy, pierwszy zastosował metodę najściślejszą, konstatując zamożność przy każdym poszczególnym wypadku śmierci. W tym celu dzieli on mieszkańców danej miejscowości na 4 klasy, wymagając od oglądaczy trupów, by w przysyłanych mu zapiskach zaznaczali do której z tych 4 klas, każdy zmarły należał.

Pierwsza klasa obejmuje najbogatszych, druga zamożnych, trzecia biednych a czwarta nędzarzy.

W ciągu lat 6 zmarło:

Z 1 klasy . . .	590
„ 2 „	9550
„ 3 „ . . .	45133
„ 4 „	3829

Oprócz tego zostało 14,044 nie klasyfikowanych. Z powyższych cyfr wynika, że proletarjat w Budapeszcie jest stosunkowo nader licznym gdyż na 59102 zmarłych, należało do 3 i 4 klasy 48.962.

Przechodząc do zużytkowania tych cyfr, autor oblicza żywotność każdej z ustanowionych 4 klas, oddzielając jednakże liczbę zmarłych do lat 5, od zmarłych w wieku starszym. Odnośna tablica, obejmująca lat óśm, przedstawia przeciętną żywotność w sposób następujący:

	u dzieci do lat 5.	u osób wyżej lat 5.
I klasa	1 rok 4 miesiące	52 lat
II „	1 „ $2^1/_3$ „	46 „ 1 miesiąc
III i IV „	1 „ — „	41 „ 7 „

To samo obliczenie przeprowadza następnie Kocroesi odnośnie do poszczególnych dzielnic miasta.

Co do wpływu stopnia zamożności na choroby śmierć powodujące, znajdujemy wyczerpujące szczegóły w rozdziale ósmym. Fakt że w ogólności choroby zakaźne więcej dotykają klasy zamożne, aniżeli klasy ubogie, objaśnia autor uwagami, które zdaniem naszem zupełnie są trafne. Tak n. p. wylicza on następujące czynniki ułatwiające szerzenie się chorób zakaźnych w klasach zamożniejszych:

1) Gazy kanałowe, wydobywające się tam gdzie istnieje kanalizacja, a więc w dzielnicach zamieszkałych przez bogatych;

2) Wodociągi jako przewodniki chorób;

3) Obfitość mleka dostarczanego dzieciom rodzin zamożnych, mleka, które jak wiadomo pochodząc częstokroć, od chorych krów, powoduje błonicę.

Przy niektórych jednak chorobach zakaźnych, klasy uboższe cierpią więcej od klas zamożnych, tak, że przyjmując względną intensywność tych chorób u zamożnych na 100, na tę samą liczbę jednostek w klasach uboższych znajdziemy wypadków śmierci na dur 114, na ospę 174 i na kur 138.

Wreszcie podamy z ósmego rozdziału tablicę uwidoczniającą nader wymownie wpływ zatrudnienia na śmiertelność.

	Przeciętny wiek
Żyjący z własnych funduszów	65.07 lat
Kupcy . . . . . . , ...	49.08 „
Urzędnicy	46.84 „
Wyrobnice	46.19 „
Cieśle	45.55 „
Krawcy . , ...	45.02 „
Rzeźnicy i masarze	43.95 „
Wyrobnicy	42.54 „
Szewcy	41.63 „
Stolarze	40.72 „
Mularze	40.54 „
Ślusarze i kowale	37.99 „
Służba domowa	31.32 „
Szwaczki, hafciarki i t. p.	30.59 „

W tymże samym rozdziale znajdują się wyczerpujące tablice odnoszące się do wpływu zatrudnienia na rozwój poszczególnych chorób.

W ogóle książka Koeroes'ego należy do najgruntowniej opracowanych publikacji statystycznych i zajmuje wybitne miejsce w rzędzie innych dzieł tego autora.



Ziber: *"Oczerki pierwobytnoj ekonomiczeskoj kultury."*

Praca, o której zamierzamy mówić, stanowi jedyny w swym rodzaju okaz. Jakkolwiek w ostatnich zwłaszcza czasach, pisano wiele o ludach pierwotnych, niema przecież dotychczas ani jednego dzieła, któreby poświęcone było studjom porównawczym nad tak zajmującym przedmiotem, jak stosunki ekonomiczne u różnych grup ludzkości. Francuski badacz Letourneau poświęcił wprawdzie w wykładzie „Socjologji" kilka kartek genezie prawa własności, lecz uczynił to nazbyt pobieżnie. Lavelaye znowu w „Własności pierwotnej" zajmuje się tylko ludami, stojącymi już na pewnym stopniu cywilizacji, to samo czyni wielu innych; napróżno jednak szukałby czytelnik w tych dziełach jakiejkolwiek szerszej wzmianki o stosunkach ekonomicznych u ludów pierwotnych. Śmiało więc rzec możemy, że Ziber po raz pierwszy dotknął tej nieznanej, acz ciekawej dziedziny.

Wynik jego studjów przedstawia się jak następuje: Całokształt stosunków ekonomicznych stanowi nie jakąś zastygłą, nieruchomą i skrzepłą kategorję, lecz przeciwnie w nieustającej znajduje się ewolucji, przelewając się w coraz nowe kształty. W ten sposób wśród różnych stadjów rozwoju ludzkości natrafiamy na odmienne formy produkcji i konsumcji, znachodząc w zamian u ludów najbardziej od siebie oddalonych, lecz stojących na jednakim szczeblu rozwoju, takież same kształty i stosunki ekonomiczne.

Punktem wyjścia stosunków społecznych jest ustrój rodowy, opierający się nie na stosunkach terytorjalnych jak obecne państwa, lecz na związkach krwi. Takiem jest pożycie społeczne ludów myśliwskich i pasterskich a nawet nawpół już osiadłych; dopiero w fazie bytu osiadłego rozluźniają się węzły rodowe, łączące jednostki wspólnego pochodzenia, a ich miejsce zajmują stosunki terytorjalne, chociaż ślady pierwotnych instytucji długo jeszcze utrzymują się pod postacią prawa zwyczajowego. Najniższą z obecnie istniejących faz społecznego obcowania, przedstawiają ludy czysto myśliwskie i żyjące z rybołówstwa. Kolektywizm stanowi u nich dominującą, a nawet prawie wyłączną formę stosunków ekonomicznych. Nie spostrzegamy tu jeszcze żadnego innego podziału pracy, prócz tego, który wynika z fizjologicznych różnic między kobietą a mężczyzną, lub z różnic wieku. Kooperacja zjawia się w swej najprostszej formie: zupełnej równości jednostek i ich czynów. Polowanie odbywa się zbiorowo a przyjmuje w niem udział całe plemię (spostrzegamy to w Australji, wśród

wyspiarzy Oceanu Spokojnego, w wielu razach u Czerwonoskórych, Eskimosów, tubylców Syberji, w południowej Afryce itd.). Ten sam charakter zbiorowej pracy cechuje pierwsze początki rolnictwa, kiełkujące już u wielu ludów myśliwskich (tubylcy Brazylji). Uprawa polega na tem, że wybiera się kawałek ziemi, oczyszcza z krzaków i podpala, poczem tuziemcy sieją na nim znane sobie gatunki zboża, a po roku lub dwóch przechodzą do innego kawałka. Taka uprawa roli rozwinęła się prawdopodobnie z tego sposobu polowania, w którym zwierzynę nagania się ogniem — przynajmniej tak mniema Ziber. Zbiorową pracę spostrzegamy również wśród innych zajęć, np. plecenia sieci, wyrabiania wielkich łodzi, budowy mieszkań itd. Oczywiście, wspólna taka budowa mieszkań, łodzi, sieci i innych przedmiotów, zbiorowe polowania lub połowy ryb, a wreszcie uprawa kolektywna roli i hodowli bydła — wszystko to wywołuje i utrzymuje zbiorową konsumcję: wspólne używanie domów, łodzi, sprzętu owoców i plonów, oraz łupów myśliwskich, (np. w mieszkaniach wyspiarzy Oceanu Spokojnego, tubylców międzymorza Panamskiego i t. d., zamieszkuje po setce i więcej ludzi.) Odpowiednio do tego kształtują się pojęcia o własności — nie masz tu jeszcze indywidualnej własności ziemskiej, lecz istnieje już wszędzie pojęcie własności plemiennej: każde plemię wrogo odnosi się do pozostałych i na swe terytorjum nie daje wstąpić nikomu bez swego zezwolenia. Wymiana bywa tedy dorywcza; w większej ilości wypadków zupełnie jej braknie. Gdzieniegdzie poczyna się już wytwarzać pojęcie własności indywidualnej, a to pojęcie dotyczy przedewszystkiem przedmiotów, jedynie w sposób indywidualny spożywanych: ozdób, broni, łódek na jednę osobą itd. Lecz gromada powstrzymuje nagromadzenie tych przedmiotów przy pomocy rozmaitych zwyczajów, jak szeroko rozgałęziony systemat podarunków, gościnności lub bezzwrotnych pożyczek. Posiadający np. więcej niż dwa jedno osobowe czółna, ustępuje natychmiast ten nadmiar pod naciskiem prawa zwyczajowego nieposiadającym, czy to w formie podarunku, czy to pożyczki i t. d. Tendencja wyrównania indywidualnego majątku należy objaśniać takie zjawiska, jak np. że wyspiarz Oceanu Spokojnego, otrzymawszy przy wymianie cokolwiek od Europejczyka, dzieli się z całą gromadą (jednemu daje lufę strzelby, drugiemu łoże, trzeciemu zamek). Drugim objawem indywidualizacji jest fakt, że większa część dostaje się temu, kto pierwszy zoczył, podstrzelił i t. d. zwierzę, co stanowi niejako premię zręczności. U ludów rolniczych spostrzegamy jeszcze jeden krok naprzód: indywidualne użytkowanie drzew owocowych (kokosów). Na tym też szczeblu zaczyna się pojawiać niewolnictwo, jest ono atoli objawem natury sporadycznej i nie posiada zgoła takich uciążliwych form, jakie przyjęło na plantacjach nowoczesnych Ameryki. Stopniowa idywidualizacja własności najjaskrawiej może występuje wśród Eskimosów, tego par excellence myśliwskiego ludu, gdzie miejsce zwierza lądowego zajmują twory morskie. Indywidualną własność stanowi odzież, przybory do szycia i obrabiania drzewa, broń do polowania i jednoosobowe łodzie; własność całej rodziny stanowią większe łodzie, namiot i nieznaczny zasób prowizji; dalej idzie własność zamieszkałych w jednym domu rodzin: dom mieszkalny, zapas żywności dla uczt świątecznych i t. d., następnie mamy tu do czynienia z własnością całej osady (mięso i tłuszcz fok, złowionych na leżach zimowych i t. d.), wreszcie własność całego szeregu osad. Jeśli zaś w posiadaniu oddzielnej jednostki zbierze się zbyt wielki zasób przedmiotów, to wówczas następuje, wiadomą nam drogą pożyczki, podarunku i t. d. wyrównanie; praca jest tu jedynem kryterjum indywidualnej własności.

Stosunki te przybierają nowe formy, coraz bardziej się rozwijają w miarę tego jak w zajęciach ludów myśliwskich coraz większą rolę odgrywać poczyna pasterstwo i rolnictwo. Ponieważ niepodobna zatrzymywać się nad różnymi przejawami tego procesu, ograniczymy się przeto na ogólnem skreśleniu jego przebiegu. Równolegle z wzrostem bytu osiadłego, coraz więcej indywidualizuje się produkcja, własność i spożycie. Z zbiorowej własności ziemskiej całego plemienia wyosabnia się własność oddzielnych szczepów (rodów czyli klanów), a z tej oddzielnych rodzin; to samo spostrzegamy w zakresie produkcji i spożycia. Indywidualizuje się ongi zbiorowa praca i konsumcja, wzrasta podział pracy, dążąc do skrystalizowania się pod postacią kast i wywołując większą prawidłowość wymiany a z czasem oddzielną klasę kupców i wytworzenie powszechnie wymiennego towaru: pieniędzy. Własność nieruchoma indywidualizuje się w ten sposób, że ze zbiorowej własności naprzód wyosabnia się użytkowanie przedmiotu a następnie i samo posiadanie. Tak np. sprzęt z pola należy już do posiewcy, gdy pole jeszcze należy do rodu, tym więc sposobem staje się wprzód indywidualnem użytkowanie z drzewa owocowego lub pola, nim samo drzewo i pole przejdą na własność prywatną. — W procesie tym przedewszystkiem wyosabnia się własność mieszkań, następnie ogrodu przed domem, dalej łąk a wreszcie lasów, a praca coraz mniejsze nadaje prawo do władania; już w pierwszych zaczątkach rolnictwa występuje nowy czynnik: dziedziczenie, a wreszcie, wraz z rolnictwem poczynają się przebijać pierwsze próby łączenia w jedną spójnię kilku plemion. Taki związek najtrwalszym bywa wtedy, gdy opiera się na naturalnie wyrosłej potrzebie systematów irygacji; w ten sposób wyłoniły się pierwotne większe społeczności, jak egipska. chińska, meksykańska i wiele innych. Wszystkie one opierały się na demokratyczno-kolektywnej organizacji rodu. W końcu na tym szczeblu poczyna wzrastać w siłę niewolnictwo, tem bardziej, iż prócz wojny zjawia się nowe źródło, dostarczające niewolników: udzielanie pożyczek, oddające dłużnika w razie niespłacenia na łaskę i niełaskę wierzyciela. Z niewolnictwem zaś i udzielaniem pożyczek, pojawia się na arenie dziejowej trzeci czynnik gromadzenia majątku: obca praca. *Wszystkie te instytucje wyrastają żywiołowo*, poniekąd bez wiedzy człowieka. Jako przykład weźmiemy wymianę. Rozpoczyna się ona już w tej fazie, kiedy człowiek utrzymuje się jeszcze z polowania, a więc kiedy krom fizjologicznego niemasz innego podziału pracy wśród plemienia. Odbywa się też ona całkowicie między różnemi plemionami, które zamieszkując odległe terytorja, wskutek tych warunków posiadają odmienne przedmioty (mieszkańcy pomorza — muszle na ozdoby, a mieszkańcy lądu skóry zwierzęce.) Geneza więc wymiany i handlu tkwi zewnątrz pierwotnej grupy społecznej, i według wszelkiego prawdopodobieństwa powstała z tych walk, jakie toczą się bezustannie między obcemi sobie plemionami na tym szczeblu rozwoju ludzkości. Nie masz bowiem innych zetknięć plemienia z plemieniem — prócz wzajemnych napadów, a ponieważ wymiana należy do zewnętrznych zetknięć, przeto naturalnem jest, że powstała ona z owych wyłącznie praktykowanych stosunków grabieży. Wymiana nawet i później nosi na sobie cechy, wskazujące na taki jej początek. Dzicy Brazylji na akt wymiany zjawiają się uzbrojeni; podczas samej sprzedaży składają broń, trzymając ją obok siebie, aby uzbroić się znowu po ukończeniu targu; to samo spotykamy w wielu innych miejscowościach. Wreszcie do tejże kategorji należeć zdaje się i zwyczaj, że sprzedaż odbywa się nieosobiście: — ofiarowujący swój towar pozostawiają go na wiadomem miejscu i oddalają się; wtedy przychodzą nabywcy i kładą

oddawany w zamian wytwór i oddalają się również; poczem znowu wracają ofiarowujący i, jeżeli zadowoleni są z ilości położonych w zamian wytworów, zabierają je i odchodzą, jeśli zaś nie — wykazują w odpowiedni sposób swe niezadowolnienie i znowu się oddalają itd., aż nie otrzymają pożądanego rezultatu. Stopień stałości wymiany jest pewnego rodzaju barometrem, wskazującym jak głęboko w ustrój rodowy wkorzenił się podział pracy i osiadły byt, a zarazem o ile ustrój ów został już podkopanym, wymiana bowiem stanowi wraz z wojną jeden z najważniejszych czynników, rozkładających pierwotne kształty społecznego pożycia i stwarzających ustroje kastowe.

Odpowiednio do warunków produkcji, a następnie produkcji i wymiany kształtuje się cały widnokręg etyczny, rodzinny i prawny ludów. Wraz z indywidualizacją narzędzi pracy ścieśnia się pierwotne grono rodzinne i zmienia się stanowisko kobiety, aż póki wraz z zapanowaniem własności wyłącznie indywidualnej, macierzyństwo nie ustąpi swego pierwszorzędnego stanowiska ojcowstwu. Pierwotne jednak instytucje długo utrzymują się przy życiu, jako akty religijne (święta prostytucja, zwyczaje znane pod nazwą „muru“ tj. powszechnej grabieży), lub jako czyny moralne i obyczajowe (jałmużny, składanie przymusowe podarunków, itd.), wkraczając w ustroje zupełnie sobie obce i przechowując się niby „szczątkowe“ zjawiska społeczne. Nie wchodząc w zmiany, jakie dotykają społeczne pożycie w miarę przemian stosunków ekonomicznych, wskażemy jedynie na ewolucję, której ulega pojęcie „władzy.“ Grubo się ten myli, ktoby poszukiwał wśród ludów, opartych na kolektywizmie produkcji i spożycia jakiejś oddzielnej od reszty gminu, stałej władzy; takiej tu braknie najzupełniej, zjawia się ona bowiem jedynie w chwili wypraw wojennych lub ogólnych przedsiębiorstw, jak polowanie, akt wymiany i t. d. Na czele wtedy staje najstarszy, najodważniejszy lub najdoświadczeńszy.

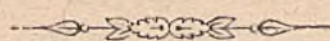
Taka jednostka prowadzi wyprawę lub kieruje łowami, w imieniu innych wymienia wytwory — lecz po za nią stoi najwyższa instancja: gmin cały, bez ceremonji usuwający „wodza,“ jeśli dostrzeże silniejszego. Po za aktem wyprawy lub polowania, wódz staje się zwykłym członkiem plemienia a godność jego staje się dziedziczną dopiero w chwili, gdy indywidualizacja życia społecznego dosięgła nader wysokiego stopnia lub jeśli pożycie społeczne wskutek np. irygacji wymaga jednolitego kierownictwa. W każdym razie jedno i drugie każe przypuszczać istnienie już osiadłego trybu życia; atoli i w tej fazie władca nie wyosabnia się jeszcze z pośród gminu; dla zupełnego wyosobnienia się trzeba wielu innych warunków, w rozbiór których dla braku miejsca wdawać się nie będziemy. Nareszcie zauważmy jedynie, że podział pracy, indywidualizacja życia ekonomicznego, upadek rodowego a powstanie terytorjalnego społeczeństwa, przeniesienie punktu ciężkości z macierzyństwa na ojcowstwo i powstanie dziedzicznej osobnej od gminu władzy kierującej, postępują razem. Podścieliskiem jednak wszystkiego bywa ewolucja ekonomiczna: „Jedynie sumienne studja nad organizacją pracy społecznej, mogą należycie i zadawalniająco wyjaśnić istotę i właściwości politycznej, prawnej, religijnej i innych stron bytu ludów pierwotnych.“

Po za głównym tokiem myśli autor odsłania nam źródło nieporozumień ciągłych między europejczykami a dzikimi — przez niezrozumienie wzajemnych poglądów prawnych. Tak np. kiedy dziki, „sprzedając“ europejczykowi ziemię, w istocie oddaje ją tylko na czasowe użytkowanie, tamten sądzi, że nabył ją na wieczystą własność — stąd ciągłe walki i t. d.

Również ciekawe światło rzuca autor na przypisywany ludom pierwotnym popęd do grabieży — to nie kradzież, lecz zastosowanie do przepisów istniejącego wśród ludów pierwotnych prawa zwyczajowego: wyrównywania indywidualnej własności. Jednem słowem dzieło Zibera stanowi nader ważny i ciekawy przyczynek do dziejów pierwotnej ludzkości.



Kronika spółczesna.



Kilka słów z powodu agrarnego przesilenia w Galicji.

Zbadać ekonomiczny i polityczny rozwój wszystkich bez wyjątku dzielnic ojczyzny, przysłuchać się wszystkim tętnom życia społecznego, rozpatrzeć warunki rozwoju postępowego na przyszłość i środki ku jego urzeczywistnieniu, jednem słowem zbadać wszechstronnie społeczeństwo polskie tak w statycznym jako też dynamicznym względzie — oto zadanie, jakie sobie stawimy. Naginając do niego system prowadzenia kroniki, musimy się wyrzec praktykowanego po codziennych i tygodniowych pismach notowania jak największej liczby faktów i ograniczyć się jedynie na poruszaniu ważniejszych.

Wychodząc z tego założenia, winnibyśmy rozpocząć kronikę naszą od przeglądu działalności tak pierwszorzędnej instytucji jaką jest sejm krajowy. Rażąca atoli dysharmonja między mnóstwem naglących potrzeb kraju, a ważnością powziętych uchwał, oziębłość na sprawy sięgające głębiej i obejmujące szersze warstwy społeczne (jak poruszone przez ks. Kopycińskiego kwestje zmniejszenia lat służby nauczycieli i podwyższenia subwencji dla kółek rolniczych), niechęć do zadośćuczynienia żądaniom rozszerzania praw języka rusińskiego, wszystko to sprawia, że relacja o działalności sejmu posłużyć może raczej do charakterystyki tego ostatniego, niż do znalezienia odpowiedzi na cisnące się pod pióro pytanie: drogą jakich reform zamierzają reprezentanci kraju wydźwignąć go z chronicznej niedoli?

Dla tego też z powodu ciążącego obowiązku scharakteryzowania całości obrad sejmowych, odkładamy sprawozdanie o nich do ukończenia posiedzeń, a na teraz zajmiemy się innym faktem, w którym wyraźniej zarysował się prąd opinji publicznej, szukającej ratunku przeciwko jednej z klęsk grożących krajowi.

Mówimy tutaj o ostatnim wiecu rolniczym.

Dnia 11. b. m. zjechali się właściciele wielkiej posiadłości ziemskiej do stolicy kraju na wiec rolniczy. Upiór przesilenia agrarnego wypędził szlachtę z wioskowych dworów, każąc jej szukać we wspólnych naradach środków zażegnania klęski, która przywaliła swym ciężarem wielką i małą posiadłość w Galicji.

W zaproszeniu wystosowanem do ogółu rolników przez Towarzystwo gospodarskie okręgu Tarnopolskiego, odzywają się inicjatorowie wiecu w sposób następujący:

„Wiadomo powszechnie, iż istniejące przesilenie w stosunkach cen i odbytu na płody gospodarstwa wiejskiego, dotknęło w pierwszym rzędzie kraje rolnicze, a w szczególności nasz kraj, jako ściśle rolniczy i nie posiadający innych źródeł dochodów.

Do pogorszenia tego smutnego stanu ekonomicznego, wynikłego już z samego przesilenia, przyczynia się nadto i to, że najwyższy stosunkowo podatek gruntowy, pobierany w Austrji — w kraju naszym o tyle jest cięższy, iż z jednej strony do podatku tego dodawane dodatki krajowe, znacznie są wyższe niż we wszystkich innych krajach koronnych, z drugiej natomiast kraj nasz w ciągłej progresji tego podatku zostaje. Jeżeli dalej weźmiemy na uwagę politykę krajową, protegującą wywóz zboża z krajów sąsiednich z najwyższą szkodą dla produkcji własnej, nieprzepuszczenie rolnictwa do taniego państwowego kredytu, ustawiczne reformy wprowadzane na niekorzyść gorzelnictwa krajowego, a wreszcie brak ceł ochronnych od strony sąsiednich państw rolniczych — to odsłonią nam się z łatwością przyczyny upadku renty gruntowej w kraju naszym i powszechnego niemal zubożenia.“

Na innem znowu miejscu jeden z przedstawicieli szlachty zachodnich powiatów czarnemi barwami kreśli obecną sytuację: „Bezwzględna stagnacja wszystkich interesów, całego obrotu ekonomicznego w kraju... każdemu już dała się uczuć... W epoce, gdy samo podtrzymanie gospodarstwa przez zbieg wielorakich przyczyn stało się wątpliwem, zjadamy oszczędności deponowane po kasach...“

Baltazarowe słowa, jakie przesilenie wypisało nad drzwiami dworów i pałaców, przeraziły ich właścicieli — klęska atoli stokroć więcej daje się uczuć masie rolniczego ludu, dotkniętego przed rokiem powodzią i uginającego się pod ciężarem podatków i długów bankowych.

Zanim przystąpimy do wymienienia uchwalonych na wiecu rezolucji, podamy w ogólnych zarysach przyczyny, które wywołały obecną rozpaczliwą sytuację.

Nie będziemy mówili o przesileniu, spowodowanem zamorską konkurencją, jako zjawiskiem ogólnem, a natomiast powiemy słów parę o czynnikach, które wśród powszechnego bankructwa gospodarstw rolnych wyróżniają położenie Galicji. Do takich indywidualnych cech, charakteryzujących stan nasz ekonomiczny, należą w pierwszym rzędzie wysokość stałych podatków gruntowych wraz z dodatkami krajowymi. W r. 1880 miał miejsce szacunek dochodu gruntowego dla regulacji podatku. Podwyższono wówczas niemal o 100% dawną normę podatkową, tak że gdy w r. 1880 ogólna suma podatku gruntowego wynosiła 4,600.000 złr., w r. 1881 uiścili opodatkowani podwójną sumę 9,200.000 złr. Rząd pragnąc wówczas ulżyć krajowi, wydał ustawę, mocą której nowy podatek gruntowy miał być sposobem stopniowanym pobierany. W ten sposób dopiero po upływie lat dziesięciu tj. od r. 1892 pobieranoby stale ową dziewięciomiljonową sumę. Mimo to jednak urzędy podatkowe w nakazach płatniczych zamieszczały należytość, która według właściwej interpratacji prawa powinna była być dopiero po latach dziesięciu uiszczoną.

Tak więc Galicja w ciągu ostatnich lat czterech zamiast $21\frac{1}{2}$ miljonów złr., wniosła do kas podatkowych 37 miljonów, czyli innemi słowy nadpłaciła $15\frac{1}{2}$ miljonów złr. Do tego dodać należy dodatki krajowe rosnące (w ostatnich zwłaszcza latach) w progresji arytmetycznej, tak że na przyszły rok spodziewać się można 32% dodatku. Jeżeli już sama wysokość sum podatkowych

dawała się we znaki, to system egzekucyjny, stosowany z bezwzględnością tam, gdzie z samej natury rzeczy potrzebnem jest umiarkowanie, skazywał masy opodatkowanych na ruinę i ustawiczne, co się tyczy włościan, zapożyczanie się u wioskowych lichwiarzy. Obecnie dzięki wyśrubowanemu systemowi podatkowemu, właściciele gruntów opłacają podatki w wysokości 23% od czystego zysku, tak że według opinji jednego z mówców wiecowych, wielcy posiadacze stracili w b. r. 19 złr. 50 ct. na morgu pszenicy. Procent ten u włościan jest o wiele wyższy, ponieważ grunta włościańskie szacowano ogólnie podług wyższej normy wydatności produkcyjnej.

Dalszym czynnikiem zgubnym dla naszego rolnictwa, są wygórowane taryfy kolejowe. Pozycje taryfy eksportowej dla galicyjskich produktów rolnych są o wiele wyższe od taryfy ustanowionej dla importu towarów zagranicznych; w ten sposób opłaty kolejowe, jak słusznie wyraził się Wojciech Dzieduszycki, są cłem na wywrót i premją dla obcych produktów. — Czy kwestja obniżenia taryfy zostanie pomyślnie rozwiązaną dla Galicji. o tem wątpić należy. Koleje prywatne wówczas jedynie zgodziłyby się na obniżenie, gdyby rolnicy nasi zaimponowali większą, niż dotychczas masą towarów eksportowanych na dalsze rynki monarchji lub zagranicy; lecz o zwiększeniu naszej produkcji rolnej w stosunku takim, któryby odpowiadał rozwojowi produkcji zagranicznej, nie może być mowy. — Nakoniec rolnictwu naszemu brakuje taniego kredytu. Bank austro-węgierski pozostaje w rękach wielkich kapitalistów, którzy wyzyskują fundusze jego na własną korzyść, ułatwiają bowiem kredyt przemysłowcom, nie troszcząc się o producentów rolnych.

Tyle co do samego rolnictwa. Że niski stan naszego przemysłu stoi w pewnym ścisłym związku z upadkiem rolnictwa, o tem nie potrzebujemy zdaje się nadmieniać. Są one ze sobą skute jak Lelum i Polelum wspólnym łańcuchem. Po tych ogólnych uwagach przejdziemy do rezulucji uchwalonych na wiecu, nadmieniając, że na tydzień przed nim odbył się zjazd rolników z całej dawnej ziemi przemyskiej, na którym uchwalono te same prawie wnioski z małemi zmianami.

Szereg rezolucji przyjętych dnia 11. b. m. można podzielić na pięć głównych punktów. Wiec żąda ustanowienia ceł dla zboża i mąki na wszystkich granicach państwa austro-węgierskiego, przynajmniej w wysokości ceł zaprowadzonych w państwie niemieckiem, ustawami wydanemi w r. b. Dalsze wnioski wiecu dotyczą konieczności reformy taryf kolejowych, w kierunku ochrony krajowych interesów rolniczych, przemysłowych, handlowych i bezpośredniego przypuszczania rolnictwa do kredytu w Banku austro-węgierskim. Wreszcie wiec domaga się obniżenia w drodze ustawodawczej głównej sumy płaconego podatku gruntowego, oznaczonego ustawą z r. 1881 przynajmniej o 25% ułagodzenia teraźniejszych norm egzekucyjnych i reformy ustawy o gorzelnictwie. Żądaniom, wyrażonym w uchwalonych wnioskach, ma zadość uczynić rząd przedlitawski, do którego wiec zwraca się z prośbą o rozpoczęcie akcji rachunkowej. Czy odniosą one skutek, czy rząd, który dotychczas popierał przemysł innych prowincji z uszczerbkiem dla galicyjskiego rolnictwa, weźmie obecnie to ostatnie w swą pieczę, czy odpowie nadziejom, jakie w nim pokładają nasi właściciele wiekszych posiadłości — przyszłość okaże; — nam się jednak zdaje, że nawet w razie przychylnego postępowania rządu, prawo ekonomicznej konkurencji, działające z nieugiętą siłą żywiołową, nie da się powstrzymać w swych następ-

stwach żadnem obostrzeniem ustawodawczem, póki społeczeństwo nie wejdzie na drogę prawdziwie społecznych reform i nie zacznie pracy u podstaw.

Wychodźtwo włościan z Królestwa.

Któryś z ekonomistów twierdził, że najlepszym probierzem dobrobytu ekonomicznego narodu i społeczeństw, jest w naszych czasach wysokość cyfry wychodźców, którą rocznie dostarczają. W twierdzeniu tem jest wiele prawdy. Na całej kuli ziemskiej niema dziś jeszcze takiej miejscowości, w której miałoby miejsce istotne przeludnienie, t. j. gdzieby suma produktów krajowych nie była dostateczną do wyżywienia zajętych produkcją pracowników. Lecz współczesny nam ustrój ekonomiczny ma to do siebie, iż wyradza biedę tam, gdzieby jej z natury rzeczy być nie powinno. Gdy podział własności — ziemi i kapitałów —ześrodkowuje narzędzia produkcji w ręku niewielkiej liczby właścicieli, tam ogół ludzki zajęty jest nie wytwarzaniem tych dóbr ekonomicznych, które mu są istotnie do życia potrzebne, lecz stosuje się do woli i wskazówek przedsiębiorców, a ci znów oglądają się przedewszystkiem na potrzeby rynku powszechnego. Ztąd też anomalje tak na pozór nielogiczne i nieprawdopodobne, jak ta np., którą obecnie w kraju naszym widzimy: właściciele wielkich posiadłości mają swe składy i magazyny zbożowe, zapchane zbożem, którego nikt nie kupuje i z którem nie wiedzą co robić, a obok tego chłop głodny i wyzuty z ojcowizny, uciekać chce z kraju do Ameryki, do Rosji a nawet na Sybir.

Nigdzie może tak dobitnie cyfry statystyczne nie wykazują zależności wychodźtwa ludu wiejskiego od warunków podziału własności, jak przy porównaniu danych z prowincyj państwa niemieckiego. Okazuje się, iż najgęściej zaludnione kraje monarchji pruskiej — jak prowincje nadreńskie lub Westfalja — wychodźców prawie nie dostarczają; przeciwnie Poznańskie, Prusy, Pomorze — gdzie zaludnienie jest najmniejszem, przodują w tym względzie. Zagadka zostanie rozwiązaną, gdy wspomnimy, iż w pierwszych prawie cały lud włada ziemią, w drugich zaś $^3/_4$ ludności jest na służbie najemnej w wielkich posiadłościach.

To nam objaśnia różnicę pomiędzy przeludnieniem sztucznem a istotnem.

Że w krajach polskich — Królestwie, Galicji zachodniej, Poznańskiem, Pruskim Szlązku — może istnieć tylko to ostatnie, tego dowodem zarówno mała stosunkowo w porównaniu z krajami Europy zachodniej gęstość ich zaludnienia, jakoteż znaczna suma wywozu zagranicznego produktów rolnych z Polski.

Wychodźtwo polskie jest więc z tego względu faktem stanowczo ujemnym, którego przyczyny są sztuczne i który racjonalna polityka ekonomiczna, uwzględniająca w całej pełni interesy warstw pracujących, usunąćby mogła.

Dziś jednak — fakt istnieje i rok rocznie wzrasta. Z krajów polskich, prowincje pod panowaniem pruskiem będące, przodowały nawet w szeregu wszystkich krajów niemieckich i dostarczały przez lat kilka sumę wychodźców większą, niż wszelkie inne prowincje monarchji pruskiej razem wzięte. To samo, choć w mniejszym nieco stopniu, miało miejsce w Galicji. Jedno tylko królestwo dotąd było wyjątkiem w tym względzie. I nie trudno wskazać dlaczego.

Przyznać potrzeba, że rząd rossyjski przeprowadził u nas reformę włościańską z większem uwzględnieniem interesów ludu, niż inne rządy, którym ulegamy, a nawet niżby mogło przeprowadzić Towarzystwo rolnicze lub jakakolwiek inna instytucja szlachecka krajowa. Konstatując fakt, nie łudzimy się, rzecz prosta, co do jakości pobudek, które w tej działalności rządowi przewodniczyły. Nie była tu bodźcem oczywiście ani miłość ludu, ani chęć dopomożenia naszemu włościaństwu — bo ten sam rząd dla swych własnych włościan w gubernjach wielkorosyjskich okazał się daleko mniej łaskawym. Przeprowadzali reformę w nich sami „pomieszczycy" i tylko duchowi demokratycznemu i inteligencji rossyjskiej, jej szczerej sympatji dla swojego ludu — przypisać należy, iż bądź co bądź cokolwiek dla włościan zrobionem zostało. Państwo jednak nie omieszkało obciążyć lud podatkami, które w pewnych miejscowościach dochodzą do tego, że chłop zarobkiem ubocznym dopiero wypłacić się może, bo cały dochód z jego roli na pokrycie podatku nie wystarcza.

Słowem, reforma włościańska w Polsce, Litwie, Ukrainie, w krajach białoruskich, litewskich, estońskich — był to przedewszystkiem środek polityczny w ręku rządu rossyjskiego. Zgniecenie szlachty, w której upatrywał jedynego wroga, stworzenie antagonizmu klasowego, pozyskanie sympatji włościan dla tronu cesarskiego — oto motywy działalności rządowej w kwestji włościańskiej.

Stało się niestety to, co przewidywał już Lelewel w 1829 r., gdy zaklinał Sejm królestwa kongresowego do podjęcia i przeprowadzenia reformy włościańskiej, jeśli nie z poczucia obowiązku społecznego — to przynajmniej z obawy, by sprawy nie podjął się rząd obcy i nie wyzyskał jej na swoją korzyść. Kastowością przesiąknięta szlachta wtedy ani słyszeć o tem nie chciała.

Jeśli jednak — zapomniawszy o motywach — rozpatrywać będziemy rezultaty reformy, to nie widzimy racji zaprzeczać jej — jak to czynią zaślepieni szowiniści lub wzdychający do szlacheckich ideałów ekonomiści — wielu stron dodatnich. Zniesienie zupełne wszelkich daremszczyzmn — które w Poznańskiem lub Galicji chłop polski wykupywać musiał, dokonanie operacji wykupu przez państwo za pomocą listów likwidacyjnych, wreszcie znakomite powiększenie ogólnej ilości włościan właścicieli — oto są dobre strony reformy rossyjskiej, korzystnie ją wyróżniające. Ze stanowiska interesów polskiego ludu — nie możemy faktów tych nie podnieść.

A jednak — jak wszędzie w polityce rossyjskiej, wewnętrznej lub zewnętrznej — zabrakło konsekwencji, wytrwałości. W obowiązującem w Królestwie prawodawstwie agrarnem, znać w wielu punktach jakąś chwiejność, niewykończenie, brak stanowczości lub konsekwencji — że tu wskażemy tylko parę przykładów:

Niewolno naprzykład osobom pochodzenia niewłościańskiego nabywać grunta kmiece. A jednak nabywają je ciągle i z dniem każdym najwięcej żydzi. I dzieje się to zupełnie prawnie, a mianowicie z powodu, iż mała garstka żydów, posiadających ziemię przed rokiem 1861, na gruntach tych została uwłaszczoną i do stanu włościańskiego wpisaną. Otóż wszyscy ich krewni — a wiadomo, jak są rozległe koligacje naszych izraelitów i jak łatwo każdy za krewnego ujść może — również do stanu włościańskiego wpisywać się mogą i tem samem prawo posiadania zdobywają.

Dalej, zachowano włościanom serwituty, ważną i konieczną gałąź gospodarstwa włościańskiego, jak to przyznają nawet ekonomiści szlacheckiego zakroju (Łapicki). Jednocześnie jednak dozwolono na zamianę i co gorsza pozostawiono

tę zamianę dobrowolnej ugodzie stron. Znane nam są osobiście wypadki, w których włościanie przy zamianie niemiłosiernie przez „starszych braci“ oszukiwani byli, a to dzięki osobistym serdecznym stosunkom panów dziedziców z komisarzem włościańskim lub władzą powiatową. W tej kwestji zwłaszcza stanowisko rządu jest chwiejnem, niezdecydowanem. Z każdym rokiem — ku wielkiej uciesze prasy i publicystów warszawskich — włościanin polski traci lasy, łąki, z których przez wieki użytek ciągnął i które niewiadomo czem zastąpi w przyszłości.

Jeszcze jeden przykład: niewolno dzielić osad włościańskich niżej 6 morgów. Lecz cóż ma począć chłop, gdy ani taniego kredytu nie posiada, któryby mu dozwolił spłacić rodzeństwa, ani też nie ma możności nabycia ziemi na dogodnych warunkach. Prawo, które miało zapobiegać wytwarzaniu się proletarjatu, tworzy go właśnie, bo często dla równego działu sprzedają dzieci odziedziczoną po ojcach osadę. Wreszcie liczna klasa parobków dworskich, przy uwłaszczaniu wcale nie uwzględniona, stanowi jądro proletarjatu rolnego w Królestwie.

Słowem reforma włościańska przez rząd rossyjski w Polsce rozpoczęta w duchu demokratycznym na połowie drogi utknęła. Snać obawiają się w Petersburgu, by wzrosłe w zamożność i oświatę włościaństwo polskie, po uzyskaniu warunków rozwoju ekonomicznego, nie upomniało się o swe prawa w dziedzinie moralnej i umysłowej. Szlachta dla Rosji już dziś straszną nie jest: lecz zwarte szeregi włościan polskich, domagające się praw narodowych i swobód politycznych, stałyby się siłą, z którą liczyćby się potrzeba. Przebudzenie się życia umysłowego w Polsce — to koniec gospodarki rossyjskiej, to początek nowej w Polsce ery. Nie dziw więc, iż w Petersburgu przyspieszenia tej chwili nie życzą sobie wcale.

Odbiegliśmy jednak nieco od przedmiotu naszego, chcąc dać poznać czytelnikom stan ogólny kwestji włościańskiej w zaborze rossyjskim.

W takim stanie rzeczy położenie ekonomiczne ludu, a przynajmniej pewnych jego części, pogarszać się musi.

Symptomaty złego zarysowują się z dniem każdym coraz wyraźniej — a w ich szeregu na pierwszym planie postawić potrzeba wychodźtwo włościan.

Pierwsze wieści o tym ruchu nadchodziły już roku zeszłego z okolic pogranicznych w państwie pruskiem: z Kaliskiego i z Rypińskiego w Płockiem. Wskutek agitacji agentów niemieckich Towarzystw przewozowych — którzy w tych wypadkach nie szczędzą słów, by łatwowiernych do podróży zachęcić i malują w pięknych barwach obraz dostatku i pomyślności, jakie oczekują każdego za Oceanem, w niektórych okolicach wioski całe wyludniały się z najzdolniejszych i najzdrowszych pracowników. Ruch do Ameryki jest jednak w Królestwie o wiele mniejszym niż w innych krajach polskich. Natomiast rozwija się tu wychodźtwo w kierunku przeciwnym, ku Wschodowi, co oczywiście w następstwach swych jest dla nas zupełnie równoznacznem.

Tak w roku zeszłym do cesarstwa rosyjskiego ciągnęli tłumnie tkacze, pozbawieni roboty, wskutek zastoju ekonomicznego, z miejscowości fabrycznych, z Łodzi, Zgierza, Pabianic, Zduńskiej Woli, Sieradza, Aleksandrowa, Konstantynowa i innych. Przesiedlali się pojedyńczo albo całemi rodzinami. Rzucając rzemiosło, szli w nadziei nabycia lub wydzierżawienia gruntów; lecz podróż i koszta nieodłączne od wysprzedaży ruchomości, pochłaniały całe ich oszczędności, przybywali więc na miejsce literalnie z gołymi rękami.

W końcu w ostatnich miesiącach zwrócił na siebie uwagę ogólną fakt, przechodzący w tym względzie zwykłe granice, niesłychanej wagi i doniosłości. W powiecie koneckim, w guberni radomskieji, raptem prąd wychodźczy ogarnął całą grupę wiosek okolicznych; chłopi na wyprzódkę wyprzedawali swoje grunta i ruchomości i wybierali się nie mniej nie więcej tylko do Syberji, do gubernji Tomskiej.

Trudno jest zbadać dokładnie, jaki był początek tego ruchu. Nie ulega jednak wątpliwości, iż popierały go i agitowały indywidua z polecenia i rozkazu Hurki, który w odezwach przesyłanych oficjalnie do gubernatora radomskiego, sprawę tę nazywał „diełom gosudarstwiennoj ważnosti“ i żądał jej popierania. Z okolic tych wyjechał był przed kilkunastu laty do Syberji chłop Joniab. Ten dostawszy spory i urodzajny kawał gruntu, (60 dziesięcin), doszedł wkrótce do znacznej zamożności i dostatku. Pisywał więc listy do krewnych i znajomych, zachęcając do wstąpienia w jego ślady, a wieści te rozdmuchiwano gorliwie. Dość iż skutkiem tych namów i agitacji, pewnego dnia zjawiło się w Warszawie 286 włościan powiatu koneckiego, którzy rozłożywszy się obozem na dworcu terespolskim, w dalszą podróż gotowi się byli puścić. Szczęściem, iż większość żadnych środków do tego nie posiadała. Rząd zaś widocznie cofnął się przed wydatkiem znacznej sumy, potrzebnej dla przewiezienia wychodźców do miejsca przeznaczenia. Dość że trzy tylko rodziny, liczące 26 osób, lepiej od innych zaopatrzone, puściły się w dalszą drogę. Resztę zaś odesłano napowrót do domów, przyczem tranzakcje i sprzedaż, jakie wychodźcy poczynili, unieważniono i grunta napowrót im zwrócono.

Tym razem więc sprawa pomyślny obrót przyjęła. Niemniej jednak oznaki niebezpieczeństwa zbyt są wyraźne, by je lekceważąco pominąć można było.

Jakże się wobec tego zachowuje inteligencja miejscowa, co piszą i radzą nasze pisma wszelkich obozów i odcieni? Niestety przyznać potrzeba, iż panuje w tym względzie u nas dotąd tradycyjna kastowość poglądów, staroszlachecka niechęć do ludu.

A najprzód — jakeśmy to w jednem z pism prowincjonalnych spotkali — użalanie się na emigracją włościan, pochodzi przedewszystkiem z obawy o robotnika, lub o taniość siły roboczej. Podnosząc fakt, że wychodzą zwykle jednostki najzdolniejsze i najpracowitsze, skarżą się panowie właściciele wielkich posiadłości, że ich „szczupłe dochody i tak jeszcze zmiejszyć się będą musiały,“ bo ziemie nasze, tj. dworskie, „przy pomocy tej pozostałej garstki niedołęgów, nie będą mogły być należycie obrobione“ itd.

Tak się zapatruje na wychodźtwo „warstwa przodująca narodowi,“ która swe interesy kieszeniowe z dobrem narodu identyfikuje.

Patryjoci starego zakroju utyskują na brak przywiązania do ziemi ojczystej ludu, na demoralizację, postęp itp. Ratunek widzą w moralnym wpływie dworów, księży, a jako lekarstwo zalecają, rozdawanie ludowi broszur, przeciw emigracji wymierzonych. Są i tacy, co z powodu historji koneckiej nie szczędzili włościanom epitetów „ciemnego i chciwego chłopstwa,“ „głupich i łakomych kmiotków“ itd. i w ogóle rozpuścili wodze tuzinkowemu dowcipowi reporterji warszawskiej. A jednak chłop, szukający szczęścia poza krajem, w pojmowaniu obywatelskich obowiązków stoi na równi z tą całą falangą naszych inżynierów, górników, lekarzy i t. d., którzy do Rosji „na karjerę“ jadą — i u tych samych dziennikarzy pochwały i zachętę znajdują.

Lecz to są poglądy prasy konserwatywnej, szlacheckiej, w ogóle ludzi, przywykłych do innego punktu widzenia na sprawy krajowe, z którymi polemika jest bezowocną i wręcz nawet niemożliwą.

Lecz cóż mówi o tem nasza prasa tak zwana postępowa? jak się ona zachowuje wobec tych ważnych faktów życia naszego ludu?

Odpowiedzią na to najlepszą jest artykuł wstępny jednego z pism postępowych pod tytułem „Do pracy.“ Myślą przewodnią, jest w nim ów osławiony program ekonomiczny o podboju rynków wschodnich, o zalewaniu Rosji towarami polskimi — co jak na pismo, uchodzące w pewnych kołach prawie za radykalne, jest co najmniej dziwnem i niekonsekwentnem. Lecz nawet w najgorszych chwilach wszechwładztwa u nas programu pracy organicznej, w czasie największej powagi teorji merkantylnych lub kapitalistyczno-handlowych, nikt się nigdy nie poważał do zalecania emigracji, jako lekarstwa na biedę wewnętrzną. W artykule wspomnianym i to nawet uczyniono. Znajdujemy tam kategoryczną zachętę i poradę do rzemieślników naszych zwróconą, ażeby przesiedlali się do Nadamurskiego kraju; autor wylicza nawet zajęcia, które tam szczególniej popłacać mogą, kreśli dokładną marszrutę tej wędrówki, podaje koszta przejazdu i t. d. Zdaniem jego szczególnie „szewcy, krawcy, kucharze i kucharki, cieśle, ślusarze, mularze, kowale, garncarze, bednarze, malarze, modniarki, zegarmistrze, zrobiliby tam bardzo dobre interesa.“

Znajdujemy więc tu — w piśmie postępowem — teorję nawskróś egoistyczną i karjerowiczowską, w której dobry interes jednostki uznano za kryterjum w pracy społecznej. I zauważmy jeszcze, iż teorję tę wygłasza pismo, które niedawno jeszcze obronę interesów włościańskich nazywało „szowinistycznem opieraniem się na spóźnionych dźwigniach społecznych,“ chęcią odwrócenia koła dziejowego napowrót“ — a przecież właśnie w pierwszym rzędzie emigracja jest „zażegnywaniem rozwiązania kwestji społecznej“ — i to podjętem nie w imię interesu pięciomiljonowej ludności wiejskiej, lecz dla dobra kilkudziesięciu jednostek, które na tem „dobry interes“ zrobić mogą.

Tak to się przyjmuje radykalizm na gruncie warszawskim!*)

Słowem, jak widzimy, w zapatrywaniach inteligencji na tak żywotną sprawę naszego życia, nie spotykamy nigdzie racjonalnego pojmowania obowiązków publicznych, nie widać głębszego poglądu na sprawę emigracji. Wszędzie przegląda albo interes kasty, albo co gorzej jeszcze indywidualistyczny egoizm.

W chwili kiedy nas Niemcy wyganiają z własnych naszych siedzib, kiedy rząd rossyjski usiłuje wyciągać lud nasz do wędrówki na Syberję — my nie umiemy się zdobyć na odpór przynajmniej moralny, jeśli pozbawieni już jesteśmy możności przeciwdziałania faktycznego.

*) Zauważmy jeszcze, iż w obecnem położeniu ekonomicznem artykuły podobne mogą mieć skutki fatalne. Chęć wzbogacenia się jest bez wątpienia w większości wypadków silniejszą od poczucia obowiązków solidarności plemiennej lub klasowej. Ani patrjotyzm, ani przywiązanie do pewnych ideałów społecznych, nie zatrzymają w kraju tych, którym karjera na Syberji w pięknych przedstawi się barwach. I wistocie artykuł ten został tu powtórzony przez „Gaz. Rzemieślniczą“, która opatrzyła go jeszcze następującym dodatkiem: „Powinniśmy się starać — pisze autor artykułu — ażeby nie dać wszędzie osiedlać się Niemcom, którzy zalewają świat cały. Tem bardziej obowiązek ten cięży na was, że w kraju mało jest pracy...“ A więc do liczby naszych obowiązków patrjotycznych przybył jeden nowy, a mianowicie: obrona Syberji od powodzi niemieckiej. Co za pieczołowitość o dobro Nadamurskiego kraju!

A jednak w kwestji tej dwóch zdań być nie może, jeśli tylko z ogólnonarodowego, z ludowego stanowiska na kwestję spojrzymy.

Wychodźtwo pozbawia kraj ludzi najzdolniejszych i najenergiczniejszych — i to jest jego szkodą bezpośrednią. Następnie demoralizuje ogół, bo przeszkadza rozwojowi solidarności, skoro jednostkom daje możność zdobywania lepszych warunków bytu przez odrywanie się od pnia rodzinnego. Wreszcie w kreśleniu programu pracy społecznej, w wskazówkach, co do kierunku rozwoju krajowego — chodzić nie może i nie powinno o wzbogacenie się kilku lub kilkunastu jednostek.

Rzeczywistego nadmiaru ludności w Królestwie nie ma: długie jeszcze lata kraj będzie w stanie wyżywić swą ludność obficie. Nędza ludu roboczego u nas może być skutkiem przyczyn najrozmaitszych, tylko nie przeludnienia! A dopóki tego nie ma, dopóty o emigracji mowy być nie powinno. Na miejsce naszych wychodźców wciskają się Niemcy, żydzi, Rossjanie — co jeszcze bardziej rozkłada społeczeństwo nasze, które i tak już jednolitością się nie odznacza. Z drugiej zaś strony wobec łatwości, z jaką my Polacy ulegamy wpływom cywilizacyjnym sfery, w której przebywamy — dla kraju, dla narodowości naszej wszystko jest jedno, czy chłop podąży do Ameryki, czy też na Sybir lub do gubernij mohylowskiej i pskowskiej. Zawsze są to siły stracone bezpowrotnie — a nie jesteśmy zdaje się społeczeństwem na tyle bogatem w zasoby żywotne, by na stratę tę obojętnie patrzeć lub jeszcze popierać i do niej namawiać.

Emigracja więc włościan — bezwarunkowo szkodliwa dla naszych interesów narodowościowych, ekonomicznie ani jest konieczną w warunkach naszych, ani nawet ulgę jakąkolwiek, choćby chwilową, jest w stanie przynieść. Będąc tylko wskazówką nieomylną obniżania się dobrobytu ekonomicznego ludności, powinna skłaniać do zbadania istotnej przyczyny złego, które tkwi we współczesnej organizacji ekonomicznej. Na prasie zaś ciąży obowiązek, by zwróciła uwagę ogółu na groźne zjawiska społecznego rozkładu, zarysowujące się coraz wyraźniej i w tem naszem społeczeństwie „wybranem."

Kronika francuska.

Paryż 15 grudnia 1885.

(Partje polityczne we Francji).

„Od roku 1870, pisał niedawno jeden z publicystów francuskich, *) jedno właściwie zagadnienie, brutalnie wyrażone w r. 1871. na serjo postawione zostało. Zagadnienie to dotyczy własności indywidualnej i jakkolwiek fakt ten zasłaniać mogą łudzące pozory, nie trudno jednak wykazać że reformatorskie plany jednych i opór drugich sprowadzają się ostatecznie do atako-

*) L'évolution prochaine, „Revue Contemporaine", Septembre 1885.

wania lub obrony z a s a d w ł a s n o ś c i... za żądaniami radykalnych, sięgającemi mniej lub więcej daleko, kryje się wielki ruch rewolucyjny"... Zdanie powyższe, wyrzeczone przez bystrego obserwatora i praktycznego polityka, nie oswojonego z materjalistycznym kierunkiem w nauce społecznej popiera przecież socjologiczną teorję, która w materjalnych warunkach ekonomicznych widzi źródło wszystkich zmian, zachodzących w życiu i stosunkach społecznych. Gdyby tedy według tej podstawowej zasady szeregowały się partje polityczne francuskie mielibyśmy dwa tylko obozy: K o s e r w a t y s t ó w i r e w o l u c j o n i s t ó w, inaczej i n d y w i d u a l i s t ó w i k o l e k t y w i s t ó w.

Klasyfikacja taka nie dawałaby jednak dokładnego obrazu rzeczywistości, i nie wyczerpywałaby przedmiotu, który scharakteryzować zamierzamy. Dany ustrój własności, taki a nie inny układ stosunków ekonomicznych, kładzie wprawdzie wyraźnie swe piętno na wszystkich objawach życiowych, wpływ tej przyczyny kardynalnej odbija się na wszystkich stosunkach społecznych, treści ich jednak w całości nie wyczerpuje. Lubo dążenie do zachowania lub zmiany pozycji materjalnej da się odszukać na dnie wielu, bardzo nawet idealnych aspiracji, to jednak na gruncie tym wyrastają wyobrażenia i kierunki, które często daleko odwodzą swych zwolenników od pierwotnego założenia. Poboczne te prądy, łącząc się z politycznemi lub etycznemi pragnieniami ożywiającemi szerokie masy ludności, żłobią sobie osobne koryta, wytwarzają własne tradycje, które długo bardzo przeważny wpływ wywierają.

Przystępując tedy do zapoznania się z pewnemi konkretnymi stosunkami społeczno-politycznymi nie dosyć jest mieć na uwadze oderwane li algebraiczne wzory socjologiczne, lecz trzeba wejść w same stosunki realne, które z ogólnego punktu widzenia mogą nas mało nawet interesować, mogą przedstawiać wiele objawów wyjątkowych, drugorzędnych, ujawniających z trudnością istnienie naczelnych praw socjologicznych, dla danych jednak ramek czasu i miejsca mogą być wszystkiem prawie.

Wiadomo powszechnie, że wielki przełom 1879 roku uwieńczył się zwycięztwem liberalnej burżuazji francuskiej nad starym arystokratyczno-kościelno-monarchicznym porządkiem. Byłoby atoli błędnem mniemanie, że od owej pamiętnej daty mieszczaństwo francuskie dzierży samowładnie w swem ręku nie tylko losy własne lecz i całego kraju. Zaznaczyć tylko można, że burżuazja, rozbiwszy przy pomocy ludu dawny ustrój despotyczny i kastowy, otworzyła szerokie szranki dla swej działalności i wpływów — do wyłącznego atoli samowładztwa nie doszła. Przyglądając się stosunkom dzisiejszym widzimy, że nawet dawny ów przedrewolucyjny porządek nie jest jeszcze całkowicie pogrzebany. Klerykalizm, arystokratyzm, monarchizm, wszystkie te kierunki nie ustąpiły bynajmniej z pola i nawet usiłują się odradzać. W łonie znowu liberalnego obozu wytworzyło się głębokie rozdwojenie między konserwatywnym indywidualizmem i radykalnym kolektywizmem, który występuje coraz natarczywiej, starając się zepchnąć burżuazję z uprzywilejowanego stanowiska, na jakiem ją postawiły zmiany dokonane u schyłku zeszłego wieku i dalszy rozwój stosunków społecznych.

Do upadku cesarstwa w dniu 4 września 1870 r. widzimy naprzeciwko siebie dwa przedewszystkiem obozy: zwyciężony cezaryzm, konkurujący z monarchjami z bożej łaski i z woli ludu, oraz tryumfujący republikanizm, które wypełniają swą walką cały prawie dotychczasowy żywot trzeciej republiki.

Obozów tych utożsamiać niepodobna z konserwatystami i rewolucjonistami w tem znaczeniu, jakeśmy tym nazwom nadali powyżej. I ci i tamci są tu po jednej i po drugiej stronie, a jednak walczą tu z sobą dwie zasady, dwie tradycje, dwa różne widzenia, dwie wreszcie koterje, spychające się nawzajem. Walka zbacza tedy z podstawowego gruntu stosunków materjalnych ekonomicznych i odbywa się w sferze usiłowań, mających zbyt mało związku z współczesną ewolucją ekonomiczną. Ludzie spierają się czy Fracja nazywać się ma monarchiczną, czy republikańską?

Dla monarchistów samo słowo „republika" jest uosobieniem wszystkiego złego; czapka frygijska jest im wstrętną. Republikanie odpłacają pięknem za nadobne.

Przyjrzyjmy się niektórym etapom tej walki. Republikanom chodzi tu o swobody polityczne przedewszystkiem. Radykalny program republikański ogłoszony jeszcze w r. 1869 żądał zniesienia budżetu wyznań i oddzielenia kościoła od państwa, zupełnej swobody pracy i zwolnienia jej od kaucji i stempla..., reformy podatkowej, zniesienia stałej armii...

Program ten podpisał Gambetta oświadczając przytem, że „nie tylko się nań zgadza, lecz przysięga spełnić" tę umowę i na zawsze pozostać wiernym wszechwładnemu ludowi. *) W początku swym, trzecia Republika była, jak wiadomo, bez republikanów; rządzili nią monarchiści, to też długo przyszło czekać na urzeczywistnienie niektórych choćby tylko z tych skromnych żądań. Po nieudaniu się macmahonowskiego zamachu stanu w r. 1877, a właściwie dopiero po śmierci Gambetty zjednoczony na gruncie oportunizmu obóz republikański przystąpił do spełnienia tych życzeń. Jakoż istotnie prawo o wolności zebrań nosi dopiero datę 30 czerwca 1881 r.; swoboda prasy uchwaloną została w dniu 29 lipca 1881 r.; prawo o stowarzyszeniach czeka dopiero swej prawodawczej kolei; syndykaty zaś zawodowe robotnicze ulegalizowane zostały uchwałą z dnia 21 marca 1881 r. *) Rządy istotnie republikańskie we Francji datują się dopiero od wyborów 1881 r., które oddały władzę w ręce Unii republikańskiej, zawiązanej nad świeżą mogiłą Gambetty w myśl jego programu. Radykalny odcień oportunistów ogłaszał wówczas program następujący: Rewizja konstytucji, zreformowanie lub zniesienie senatu, swoboda prasy, zebrań i stowarzyszeń, oddzielenie kościoła od państwa, sekularyzacja majątków zakonnych, reforma sądownictwa, wybieralność sędziów, rozszerzenie kompetencji sądów przysięgłych i zmniejszenie kosztów sądowych; zredukowanie służby wojskowej do lat trzech i zniesienie istytucji ochotników jednorocznych; rozszerzenie swobód gminnych, zaprowadzenie podatku od dochodu, zmiejszenie podatków pośrednich, rewizja taryfy kolejowej i... utworzenie kasy emerytalnej dla inwalidów pracy. *) Program ten podpisał obecny prezes gabinetu Brisson.

Kadencja parlamentarna 1881 — 1885 r. była pierwszą, w której obóz republikański miał stanowczą przewagę. Monarchiści zredukowani zostali do nieznacznej mniejszości, z którą się liczyć przestano; partja rebublikańska mogła się swobodnie różniczkować. Zaczęła się też formować na skrajnej lewicy odrębna partja radykalna, nabierająca coraz więcej znaczenia. Oportuniści jednak stanowili przeważającą większość rządową pod przewodnictwem Ferry'ego.

*) Laisant. La politique radicale. Paris 1885 str. 12.
*) Broszura l'oeuvre de la Republique. Paris 1885.
*) La politique radicale Str. 13.

Zasługuje na zaznaczenie samo pochodzenie „oportunistów“. Jest to klasa zawodowych polityków, która się uformowała w walce z cezaryzmem. Za cesarstwa dobijali się oni swobód publicznych i dążyli do przywrócenia repubIiki. Wychowani na wzorach Wielkiej rewolucji zrobili z niej rodzaj kultu, którego dogmata stały się dla dzisiejszych republikanów francuskich źródłem natchnienia i wskazówkami postępowania. Na gmachach publicznych we Francji wyryto dziś wszędzie godła pierwszej rewolucji: wolność, równość i braterstwo. Bije się przed niemi czołem, nie pytając, czy hasła te zostały już wcielonemi w życie. Wielu zdaje się, że są radykalnymi bardzo republikanami, gdy modlą się do wspomnień Wielkiej rewolucji, podobnie jak chrześcjanie korzą się przed słowami ewangelji i późniejszymi do niej dodatkami, nie zaś przed jej duchem... W tradycjach pierwszej rewolucji republikanie francuscy zaczerpnęli gorącą nienawiść do klerykalizmu, dążą też wszelkimi sposobami do wyswobodzenia się z pod kościelnej opieki. W tym względzie przekonania większości republikanów a przedewszystkiem oportunistów są akcentowane najwyraźniej. Główną też zasługą ich rządów jest nadanie oświacie ludowej świeckiego wyłącznie charakteru, oraz uczynienia wykształcenia początkowego bezpłatnem i obowiązkowem.

Daleko mniej stanowczości okazali oportuniści w innych punktach programowych. Zapowiadana od dawna rewizja konstytucji zrobiła fiasco na zeszłorocznym kongresie wersalskim, doprowadziła bowiem tylko do zniesienia senatorów dożywotnich, usunięcia monarchicznych pretendentów od prezydentury w Republice i zniesienia modłów kościelnych przy rozpoczęciu sesji parlamentarnej. Kwestja pozostaje więc nadal otwartą. Radykalni domagają się dziś zniesienia senatu, a nawet prezydentury w Republice (dzisiejszy prezydent Grevy był właśnie w początku ery republikańskiej autorem wniosku tej treści). Przeciwnicy oskarżają radykalnych, że dążą do zaprowadzenia konwentu, któryby zniósł nietylko senat, lecz prezydenturę i ministerja, a zagarnąwszy w swe ręce władzę ustawodawczą i wykonawczą, przeprowadził cały szereg reform socjalno-demokratycznych. Należy jednak nie zapominać, że zarówno oportuniści jak radykalni dzisiejsi nie mają wcale dokładnego wyobrażenia o reformach socjalnych, jakieby zaprowadzić wypadało. Punkt ten ogólnikowo wpisuje się zawsze do programów dla zjednania sobie głosów robotniczych, o rzeczywistem atoli jego wypełnieniu żaden z oportunistów nie myślał dotąd na serjo. Program ten pozostaje do wypracowania francuskiej partji robotniczej i nowemu radykalnemu stronnictwu. Rząd republikański robił dotąd tylko próby w tym kierunku. Z prób tych zasługuje na uwagę wybrana w roku zeszłym przez Izbę komisja 44-ch, która postawiła sobie za zadanie zbadanie położenia robotników miejskich i wiejskich. Komisja rozsyłała delegacje w różne strony i ogłosiła wiele cennych materjałów. Na wyszczególnienie zasługuje raport przedstawiony przez Clemenceau o stanie robotników górniczych w kopalniach węgla w Anzin, gdzie w roku zeszłym była długotrwała zmowa. Zmowa w Anzin zwróciła nietylko uwagę komisji 44-ch: na podstawie zaszłych tam wypadków i stosunków stale istniejących osnuł mistrz francuskiego naturalizmu, Zola, wspaniały swój utwór ostatni Germinal... Do kategorji usiłowań rządowych w kierunku rozstrzygnięcia kwestji socjalnej należy także utworzona za inicjatywą b. ministra spraw wewnętrznych p. Waldeck-Rousseau przy temże ministerstwie osobna ankieta w sprawie stowarzyszeń robotniczych. P. minister przy otwarciu prac tej ankiety wypowiedział pamiętną mowę, w której zaznaczył kategorycznie, że praca zorganizowana

w stowarzyszenia produkcyjne, popierana przez państwo i instytucje gminne, zastąpić winna ustrój oparty na pracy najemniczej. Ankieta przesłuchała wielu bardzo interesowanych i wydała cenne w tej sprawie materjały.

Wszystko to jednak były tylko próby. Oportuniści nic dotąd nie zrobili w sprawie reform socjalnych, jeżeli nie brać w rachubę uchwały zeszłorocznej, legalizującej syndykaty zawodowe. Uchwalone w roku zeszłym prawo o delegatach górniczych, otwierające robotnikom furtkę do wglądania w sprawy zarządu kopalń, spoczywa dotąd w senacie.

Reformatorska chwiejność oportunistów, ich pomiatanie zasadami i pochopność do kompromisów wywołały przeciwko nim opozycję, wychodzącą zarówno ze sfer konserwatywnych jak i radykalnych. Najbardziej jednak zdyskredytował się oportunizm w sprawie tonkińskiej. Dla powetowania bezbarwnej polityki wewnętrznej rozpoczęli oportuniści uplanowaną na rozległą skalą politykę kolonialną. Rządy czujące chwiejący się grunt pod nogami szukają nowego blasku w awanturniczych wojnach zaborczych. Takiem ryzykownem przedsięwzięciem była dla oportunistów wyprawa tonkińska i wojna z Chinami. Przewlekła i kosztowna wyprawa o wątpliwych nader korzyściach wywołała w kraju ogólną opozycję. Niewątpliwie dzisiejszy ustrój burżuazyjny, nie znajdujący dostatecznego pola zbytu dla swej nadprodukcji wewnątrz kraju, zmuszony jest szukać nowych, choćby dalekich targów, dla rozszerzenia granic swej eksploatacji. Ażeby jednak z usiłowań podejmowanych w tym kierunku, burżuazja czuła się zadowolnioną muszą one przynosić dość rychło namacalne rezultaty i kosztować niewiele. Korzyści tych Tonkin nie obiecywał zbyt pośpiesznie. Burżuazja, której oportuniści obiecywali złote góry wyczekiwała dość cierpliwie zapowiadanej manny zysków, opozycja jednak nie milczała. Monarchiści radzi byli znaleźć powód do napaści na rząd republikański i zręcznie wyzyskiwali liczne błędy popełnione przy prowadzeniu tej dalekiej wyprawy. Radykalni od samego początku wyprawy byli jej niechętni, widzieli bowiem całą awanturniczość przedsięwzięcia, prowadzonego dla odwrócenia oczów od spraw wewnętrznych. Niefortunny telegram wysłany przez generała Briere de l'Isle z pod Lang-Son spowodował upadek oportunistycznego gabinetu. Miejsce Ferry'ego zajął Brisson z radykalnej lewicy. Radykalni tryumfowali. Nowy jednak gabinet ogłosił się bezprogramowym i tymczasowym, wyczekując rezultatu zbliżających się wyborów i ponownego obioru prezydenta Republiki dla zajęcia bardziej określonego stanowiska.

Wybory 4 października zgotowały Republice niespodziankę. Wzmocniły one wprawdzie żywioł radykalny, zwiększyły atoli jednocześnie opozycję monarchiczną. Ujrzała się ona w posiadaniu 200 przeszło głosów, co w Izbie liczącej 584 posłów tworzy mniejszość, mniejszość jednak poważną. Wzrost monarchicznej opozycji wznowił starą antytezę monarchji i republiki. Naprzeciw koalicji różnych partyj monarchicznych należało postawić koalicję republikańską; pod tym też hasłem odbywały się powtórne wybory 18 października. Zjednoczenie w obozie republikańskim odbyło się nie na podstawie oportunistycznego, lecz radykalnego programu. Stanęły naprzeciw siebie dwa wyraźnie rysujące się stronnictwa: konserwatywny monarchizm i radykalny republikanizm. W obec takiego jasnego zarysowania się partji walczących — środek stracił na znaczeniu. Jedna część republikanów przychyliła się ku radykalizmowi... druga wiąże się dziś dopiero w osobne stronnictwo konserwatywno-liberalne. Na czele tej partji stanął b. członek lewego centrum, poseł Ribot. Stara się on przekonać konserwatystów, że łącząc swe losy z monarchją są na błędnej drodze. Kierunek

monarchiczny, twierdzi p. Ribot, jest na swój sposób rewolucyjnym. Stara on się zwrócić Francję do czasów przedrewolucyjnych, co jest chimerą niemożliwą do urzeczywistnienia, a przeto naraża kraj i konserwatywne interesy na rewolucyjne przewroty. Propagandę w tym kierunku prowadził przewódca konserwatywnych republikanów jeszcze przed wyborami 4 października, wypowiedziawszy przy tej sposobności programową mowę w Saint-Pol w Pas-du-Calais. Wyborcy puścili jednak te roztropne uwagi mimo uszu i pozostawili samego mówcę na koszu. W Pas-du-Calais przeszła lista monarchiczna. Po tej porażce konserwatywno liberalny republikanizm nie dał jeszcze za wygraną.

W Paryżu zawiązało się stowarzyszenie obchodu stuletniej rocznicy pierwszej rewolucji, które postanowiło przeciwdziałać radykalizmowi, przez podniesienie liberalnych tradycji pierwszych lat rewolucji 1879 r. Stowarzyszenie to wysadziło przy uzupełniających wyborach w Paryżu 13 grudnia osobny komitet wyborczy i ogłosiło własną listę. Ribot przytem wypowiedział znowu wielką mowę, wzywając konserwatystów do kupienia się pod liberalny sztandar republikański. Lista zgromadziła pewną liczbę głosów, co oczywiście nie wywarło żadnego wpływu na przebieg wyborów, które wypadły w duchu radykalnym. Propaganda Ribot'a zmierza do racjonalnego grupowania się stronnictw na podstawie klasowej; w większości jednak konserwatywnego obozu tradycje monarchizmu są zbyt silne, ażeby głosy te zaważyły na szali. Pod sztandarem liberalnego konserwatyzmu kupi się natomiast pewna liczba zamożnego mieszczaństwa, które posiada wielkie zasoby pieniężne, jest jednak nader ubogie w parlamentarnych obrońców i publicystyczne talenta. Zachodzi tu ciekawy fakt, że liberalna burżuazja, aczkolwiek silna swem stanowiskiem społecznem i majątkiem, jest przecież politycznie bezsilną i nie wywiera dość wyraźnego wpływu na grupowanie się stronnictw parlamentarnych. Zaznaczamy tu zjawisko, nie wdając się w jego rozbiór tym razem.

Nie ulega wątpliwości, że wyrzeczenie się przez konserwatystów monarchicznych aspiracji, uprościłoby znakomicie sprawę wewnętrzych zapasów partyjnych, trudno jednak wierzyć w powodzenie, natychmiastowe przynajmniej, tej propagandy. Wyobrażenia monarchiczne są silnie zakorzenione w zwolennikach tak lilji burbońskich, jak i zwolennikach napoleońskiego koguta. Prócz tego legitymiści i dobrowolni poddani orleańskiego „domu francuskiego" wiążą swe nadzieje z widokami partji klerykalnej, do składu której wchodzą nie tylko konserwatyści, lecz w ogóle gorliwi wyznawcy wojującego katolicyzmu; wiadomo zaś, że katolicyzm obejmować usiłuje wszystkie klasy i myśli nawet o socjalizmie, walka więc tu z klasowego — schodzi na grunt wyznaniowy. Zwolennicy znowu cezaryzmu, bonapartyści, rację swego bytu widzą w idei silnej władzy wykonawczej w przeciwieństwie do pochłaniającego wszystko parlamentaryzmu, stają więc na gruncie, na którym spotkać się mogą nawet z republikanami pewnego odcienia. Walka tu także przestaje być klasową, a staje się przedewszystkiem polityczną.

Bądź co bądź najbliższa przyszłość we Francji należy do partji radykalnej, winniśmy więc przejrzyć się jej przedewszystkiem.

Epigonowie gambettowskiego oportunizmu przeżyli się, upadli pod ciężarem popełnionych błędów; zwyciężyła ich chwiejność w działaniu i miałkość poglądów. Posłuchajmy, co sądzi radykalizm o tym nieoportunistycznym oportunizmie. „Oportunizm, pisze jeden z radykalnych, to rządy kilku na ich własną korzyść, to rząd kasty. Radykalizm — to rządy kraju całego. Oportunizm jest samo-

lubną eksploatacją głosowania powszechnego — radykalizm to wyzwolenie ogólne. Oportunizm to pełne hipokryzji wykręcanie się od reform — radykalizm to kierunek reformatorski. Oportunizm to orleanizm zaszczepiony na republice — radykalizm te republikańska respublika." „Rewolucja francuska, ten wielki wysiłek ku wyzwoleniu człowieka, woła tenże autor, rewolucja 89 roku od lat przeszło osiemdziesięciu powstrzymana w swym zwycięskim pochodzie, będzie li dalej prowadzoną, czy też wciąż powstrzymywaną?"

Radykalizm też najogólniej rzeczy biorąc, pragnie prowadzić dalej rozpoczęte od wieku już dzieło materjalnego, moralnego i umysłowego wyzwolenia człowieka, wyzwolenia go z powijaków klerykalizmu i pęt administracyjnej samowoli; pragnie on zabezpieczyć jego „prawa", sprowadzić panowanie wolności, równości i braterstwa na ziemi... W jaki sposób dojść do tego celu w warunkach niniejszych radykalizm nie dopytuje się zbyt skwapliwie, zapatrzony z jednej strony w ideały pierwszej rewolucji, zaprzątnięty z drugiej codzienną walką z monarchją i klerykalizmem. Radykalizm parlamentarny, której tworzył w ubiegłej kadencji osobną grupę (extrême gauche) pod przewodnictwem Clemenceau ogranicza dziś swe wymagania do zlikwidowania wyprawy tonkińskiej, oddzielenia kościoła od państwa i zaprowadzenia powszechnego głosowania przy wyborach do senatu. Radykalizm ten zobaczymy niebawem u steru, objęcie bowiem przewodnictwa gabinetu przez Clemenceau jest kwestją niezbyt dalekiej przyszłości.

Od czasu atoli gdy radykalizm odcienia Clemenceau przychodzi do władzy i staje się bardziej umiarkowanym, w Izbie i po za Izbą wytwarza się i organizuje nowy radykalizm „nieprzejednanych" (intransigeants). Najwybitniejszym reprezentantem tego kierunku na skrajnej lewicy w Palais Bourbon jest dziś Rochefort, w prasie zaś dziennik jego l'Intransigeant.

Nieprzejednani idą ręka w rękę z radykalistami Clemenceau, gdy idzie o porzucenie Tonkinu, oddzielenie kościoła od państwa etc.; manifestowali już atoli parokrotnie swą niezawisłość, odmawiając Clemenceau swego poparcia w sprawie zgody i kompromisu z oportunistami lewego odcienia. Nieprzejednani są dziś skrajną lewicą parlamentarnego radykalizmu, tak jak radykalizm był krańcowem skrzydłem oportunizmu.

W kierunku reform społecznych nieprzejednani nie wypowiedzieli się dotąd w sposób dość wyraźny lubo przybrali dziś nazwę radykalistów socjalistycznych (radicaux socialistes). Po za plecami ich atoli w Izbie i prasie stoją dziś grupy i koła, które starają się narzucić swój program menerom radykalnym. W sferach tych przyjmuje się też myśl obowiązującego mandatu (mandat impératif), gdy radykaliści dawniejszego pokroju wolni byli od wszelkich zobowiązań w tym względzie. Dla zapoznania z tym odcieniem wpływowego dziś radykalizmu przytoczymy tu program wyborczy, uchwalony przez 70 grup i związków radykalnych, program przyjęty przez l'Intransigeant, la France libre i inne dzienniki radykalne tej barwy.

Program dzieli się na dwie połowy: polityczną i ekonomiczną. Każda zawiera artykułów pietnaście.

W części politycznej komitet republikański radykalno-socjalistyczny domaga się: całkowitej rewizji konstytucji przez zgromadzenie wybrane w tym celu; zniesienia senatu i prezydentury w Republice; zniesienia ministrów i zastąpienia ich przez urzędników mianowanych przez zgromadzenie. Jedynego i nieustającego zgromadzenia ustawodawczego, wybieranego na lat trzy i odnawianego co

roku w jednej trzeciej części. Kwestja pokoju lub wojny, według tego programu pozostawioną ma być uchwale całego narodu, zarówno jak sprawa rewizji konstytucji. Zaleca się przytem rozstrzygnięcie pojednawcze w drodze międzynarodowego sądu polubownego. Swoboda osobista winna być zagwarantowana zupełnie, równie jak absolutna swoboda słowa, prasy, zebrań i stowarzyszeń. Prawo przeciwko stowarzyszeniu międzynarodowemu robotników winno być zniesione. — W kraju zaprowadzona ma być decentralizacja departamentalna i gminna. Gmina zachowuje jaknajpełniejszy samorząd „w granicach zgodnych z jednością Francji.“ Urzędnicy i mandatarjusze publiczni są osobiście i majątkowo odpowiedzialni; wysokie pensje znoszą się. — Zupełne oddzielenie kościoła od państwa, zniesienie budżetu wyznań i poddanie kleru pod prawa ogólnie obowiązujące. Majątki kongregacji religijnych wracają do narodu i gmin. — Sądy są wybieralne, sądownictwo bezpłatne. Atrybucje sądów przysięgłych rozszerzają się; tajne postępowanie śledcze znosi się. — Kodeks cywilny ulegnie rewizji w duchu zasad równości. Kobiecie przyznane zostaną prawa cywilne, dzieci „prawe“, „nieprawe“ zostaną zrównane w swych prawach. Poszukiwanie ojcowstwa będzie dozwolone. Ciężary, przywileje i monopole sądowe znoszą się (adwokatura itd.). Znoszą się również tytuły szlacheckie i kara śmierci. — Służba wojskowa ma być obowiązującą i równą dla wszystkich. Służba czynna ograniczoną do lat trzech. Stała armja zostanie stopniowo zniesioną i zastąpioną uzbrojeniem ogólnem obywateli. Armja używaną będzie wyłącznie do obrony granic Republiki. — Równość dzieci w obec wychowania. Wykształcenie całkowite świeckie i bezpłatne wszystkich stopni, zawodowe i ogólne. Utrzymywanie dzieci kosztem narodu podczas całego perjodu nauczania. — Zabrania się spełniania jednocześnie różnych urzędów i funkcji publicznych jednej osobie. Czas trwania mandatów ograniczony. Wszystkie ciała wybieralne wynagradzane są za swą pracę. — Głosowanie powszechne jest absolutnym wyrazem ludowego zwierzchnictwa. — Ogólna amnestja za wykroczenia polityczne i prawne.

Część ekonomiczna zawiera punkta następujące: Rewizja systemu podatkowego. Zniesienie rogatkowego i taks na artykuły spożywcze. Zaprowadzenie podatku postępowego od dochodu, oraz specjalnego podatku od spadków. Spadki w linjach pobocznych znoszą się i przechodzą na rzecz skarbu. Dług publiczny ulegnie stopniowemu zniesieniu, równie jak i budżet wydatków nadzwyczajnych. Własność publiczna uznaną zostanie za niesprzedawalną; poddane zostaną rewizji wszystkie umowy, mające przedmiotem odstąpienie własności publicznej (kopalnie, drogi żelazne itd.). Prawo o delegatach górniczych rozszerzone zostanie do wszystkich przedsiębiorstw kierowanych przez państwo. — Prawo o stowarzyszeniach z r. 1867 ulegnie rewizji w duchu demokratycznym. Robotnicy otrzymają prawo reprezentacji na walnych zgromadzeniach akcjonarjuszów. Oznaczoną zostanie długość dnia pracy; praca dzieci poniżej lat 14 zostanie zakazaną. — Wykształcenie zawodowe znajdzie szerokie zastosowanie. Izby syndykalne zawodowe czuwać będą nad szkołami nauki zawodowej. — Książeczki robotnicze zostaną zniesione. Kredyt dla stowarzyszeń robotniczych zorganizowany. Bank francuski ulegnie reorganizacji. Ustawodawstwo dotyczące izb syndykalnych i rad pojednawczych ulegnie zmianie. — Utworzoną zostanie kasa narodowa dla ofiar pracy. Kasy robotnicze administrowane będą przez robotników wyłącznie. — System karny ulegnie zmianie...

Oto w ogólnych zarysach program radykalistów socjalistycznych — o tyle niezupełny i chwiejny w części ekonomicznej, o ile wyraźny i ściśle określony w politycznej.

M. Wiszowaty.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Stanisław Maniecki.**